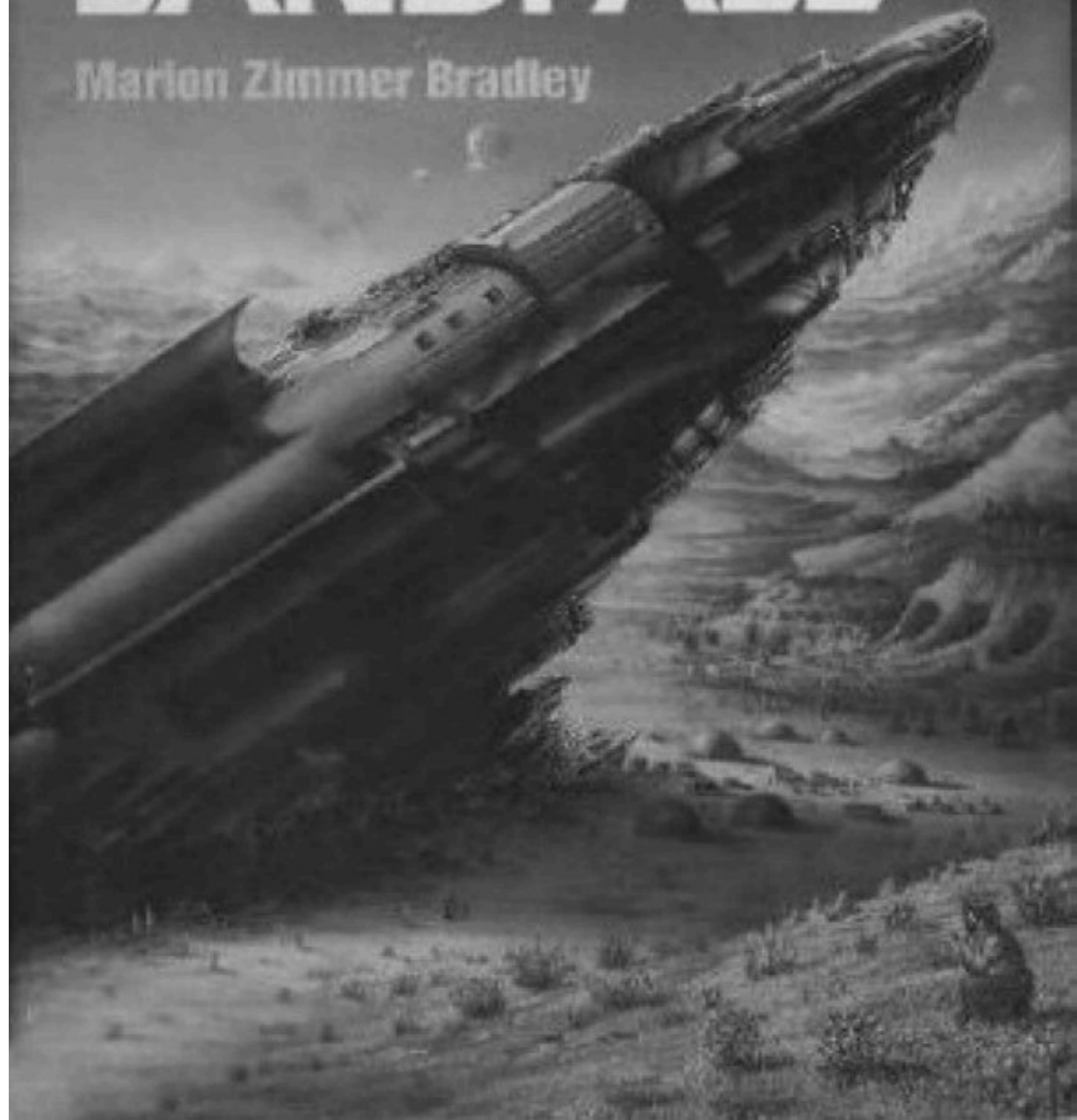


DARKOVER LANDFALL

Marion Zimmer Bradley



BRADLEY MARION

ZIMMER

Kroniki Drakoveru 01:

Rozbitkowie na darkoverze

Marion Zimmer Bradley

przełożyła Aleksandra Jagiełowicz

Wydawnictwo ALFA Warszawa 1996



Tytuł oryginału

Darkover Landfall

Copyright © 1972 by Marion Zimmer Bradley

Projekt graficzny serii JACEK TOFIL

Ilustracja na okładce JAKUB KUŹMA

Redaktor serii

MAREK S. NOWOWIEJSKI

Redaktor tomu URSZULA PRZASNEK

For the Polish edition

Copyright © 1996 by Wydawnictwo ALFA-WERO Sp. z o.o.

ISBN 83-7001-942-0

Wydawnictwo ALFA-WERO Sp z o.o. – Warszawa 1996 Wyd. I

WYDAWNICTWO ALFA-WERO Sp. z o.o. – WARSZAWA 1996

Wydanie pierwsze

Drukarnia WN ALFA-WERO Sp. z

O.O.

Zam. 1083/95

Cena zł 15,- (150 000,-)

Spis treści:

[EPILOG... 164](#)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pomieszczenie, w którym znajdowała się aparatura sterująca, było najmniej wprawdzie zniszczone, ale za to trudno dostępne, bowiem wielki statek międzygwiazdny leżał przechylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Drabinki i rampy wyjściowe prowadziły wszędzie, tylko nie na powierzchnię, drzwi za to wiodły donikąd. Jeszcze nie określono pełnego zakresu szkód – na to jeszcze trzeba było poczekać – ale wyglądało, że mniej więcej połowa pomieszczeń załogi i trzy czwarte części pasażerskiej praktycznie nie nadawały się do zamieszkania.

Na wielkiej polanie pospiesznie wzniesiono już około pół tuzina małych szałasów i przypominający namiot szpital polowy. Wykonano je głównie z plastikowych płacht i gałęzi tutejszych żywicznych drzew, ściętych piłami elektrycznymi i narzędziami ciesielskimi należącymi do wyposażenia kolonistów. Wszystkie te prace odbywały się przy wtórze zdecydowanych sprzeciwów kapitana Leicestera, którego przekonaly dopiero argumenty, że w przestrzeni kosmicznej jego rozkazy były święte, ale na planecie dowództwo przejmowała Grupa Ekspedycyjna Kolonistów.

Właściwie problem był tylko jeden i nikt – przynajmniej do tej pory – nawet nie próbował go rozwiązać: nie była to właściwa planeta.

Była jednak piękna, stwierdził Rafael MacAran, stojąc na niewielkim wzniesieniu ponad rozbitym statkiem. Przynajmniej ta część, którą widzieli, chociaż nie było tego aż tak wiele. Grawitacja była odrobinę słabsza niż na Ziemi, a zawartość tlenu nieco większa i samo to wywoływało uczucie błogości i euforii u każdego, kto urodził się i wychował na Ziemi. Nikt, kto pochodził z Ziemi, tak jak Rafael MacAran, nie znał tak słodkiego i żywicznego zapachu powietrza, nie miał okazji oglądać o tak czystym i

jasnym poranku odległych wzgórz.

Wznosiły się one wokół nich gdzieś w nieskończoność, fałda za fałdą zmieniały barwę: najpierw ciemnozielone, dalsze ciemnobłękitne, aż po najmroczniejsze odcienie fioletu i purpury. Ogromne słońce było intensywnie czerwone, barwy świeżej krwi, a tego poranka można było dostrzec jeszcze cztery księżyce, zawieszane na turniach odległych gór jak wielkie, różnobarwne klejnoty.

MacAran zdjął plecak, wyciągnął tranzyt i zaczął montować trójnóg. Pochylił się, aby wyregulować instrument, i otarł pot z czoła. Boże, jakże tu gorąco, a przecież noc była lodowata. Śnieżyca, której się zupełnie nie spodziewali, zeszła z gór tak szybko, że ledwo mieli czas, by znaleźć schronienie! Teraz śnieg leżał wokół w topniejących łąkach. MacAran zdjął nylonową parkę i znów otarł czoło.

Wyprostował się i rozejrzał w poszukiwaniu właściwego horyzontu. Dzięki nowemu modelowi altimetru, który kompensował siły grawitacyjne, wiedział już, że znajdują się około tysiąca stóp nad poziomem morza... albo tego, co byłoby poziomem morza, gdyby na tej planecie znajdowały się jakieś zbiorniki wodne. Tego jednak na razie nie mogli stwierdzić z całą pewnością. Podczas lądowania awaryjnego wszyscy byli tak przerażeni, że nikt, oprócz trzeciego oficera, nie przyjrzał się uważniej planecie z przestrzeni. Ale trzeci oficer, kobieta, zmarła w dwadzieścia minut po uderzeniu, w czasie gdy wciąż jeszcze wydobywali ciała ze zrujnowanego mostku.

Wiedzieli, że w tym systemie są trzy planety: jedna była gigantyczną bryłą zamarzonego metanu, druga małą, nagą skałką, bardziej księżycem aniżeli planetą, jeśli nie brać pod uwagę jej samotnej orbity. Ta była właśnie trzecią. Należała do określanych przez Ziemskie Siły Eksploracyjne jako klasa M – przypominająca Ziemię i prawdopodobnie zdatna do zamieszkania. Jedyne, czego byli pewni, to tylko to, że się na niej znaleźli, nie licząc naturalnie informacji, które zdobyli w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin. Czerwone słońce, cztery księżyce, skrajne zmiany temperatury, góry – tyle tylko zdołali stwierdzić w trakcie krótkich przerw podczas wydobywania i identyfikowania zwłok, organizowania prowizorycznego szpitala polowego i ściągania wszystkich sprawnych ludzi do opieki nad poszkodowanymi, wraz z jednoczesnym pospiesznym wznoszeniem szalasów.

Rafael MacAran zaczął wyciągać z plecaka instrumenty pomiarowe, ale po chwili zrezygnował. Usiadł i zamyślił się. Doszedł do wniosku, że bardziej, niż mu się wydawało, potrzebował krótkiej chwili samotności – chwili, by przyjść do siebie po licznych, straszliwych przeżyciach ostatnich kilku godzin. Gdyby podobną katastrofę

zakończoną wstrząsem mózgu przeżył na przeludnionej Ziemi, natychmiast wylądowałby w szpitalu. Tu oficer medyczny, zajęty cięższymi przypadkami, sprawdził tylko jego odruchy, dał mu kilka proszków przeciwbólowych i powrócił do cięższej rannych i umierających. MacArana wciąż jeszcze bolała głowa, ale po

przespanej nocy cofnęły się zaburzenia wzroku. Tak więc następnego dnia, jak wszyscy w miarę sprawni ludzie, których nie wcielono do grupy medycznej lub załóg technicznych, został przydzielony do kopania masowych grobów. A potem przyszedł wstrząsający moment, gdy wśród ofiar ujrzał Jenny.

Jenny. Był pewien, że jest bezpieczna i zdrowa, ale zbyt zajęta własnymi sprawami, by go odnaleźć i uspokoić. I nagle pośród zmiażdżonych ciał ujrzał srebrzystobiałe włosy swej jedynej siostry. Nie było nawet czasu na łzy, zbyt wielu ludzi zginęło. Zrobił tylko tyle, ile mógł. Złożył raport Camilli Del Rey, zastępcy kapitana Leicestera do spraw identyfikacji, że nazwisko Jenny MacAran powinno zostać przeniesione z listy nie odnalezionych, ale najprawdopodobniej żywych, na listę zmarłych.

Jedyną reakcją Camilli było zdławione, ciche: „Dziękuję, MacAran”. Nie było czasu na współczucie, żałobę ani nawet na zdawkowe grzeczności. A przecież Jenny była bliską przyjaciółką Camilli, kochała tę cholerną Del Rey jak własną siostrę... Rafael zupełnie nie rozumiał, dlaczego, ale kochała ją jednak, więc musiał istnieć jakiś powód. Gdzieś, w głębi ducha, miał nadzieję, że Camilla wyleje łzy, których jemu zabrakło. Ktoś przecież powinien opłakać Jenny, a on nie mógł. Jeszcze nie teraz.

U jego stóp, w wielkiej niecce o średnicy co najmniej pięciu mil, porośniętej niskimi krzewami i krzaczastymi drzewami, leżał statek. Rafael, patrząc z tej odległości, doznał nagle dziwnego uczucia pustki. Kapitan Leicester wraz z ludźmi z załogi miał próbować ocenić uszkodzenie i określić czas niezbędny dla dokonania napraw. Rafael nie wiedział nic na temat funkcjonowania statków kosmicznych, jego dziedziną była geologia, miał jednak wrażenie, że statek chyba już nigdzie nie poleci.

Odsunął od siebie tę myśl; taką opinię mogli wygłosić technicy. W końcu znali się na tym, a on nie. W ostatnich dniach widział już ich sztuczki graniczące z cudem. W najgorszym przypadku będzie to niedogodna przerwa w podróży, trwająca kilka dni lub tygodni, potem znów ruszą w drogę, a na gwiazdnej mapie Sił Eksploracyjnych pojawi się nowa planeta przewidziana do kolonizacji. W końcu, mimo wyjątkowo chłodnych nocy, wydawała się całkowicie zdatna do zamieszkania. Może dostanie nawet jakąś niewielką nagrodę za udział w odkryciu. Mogliby wydać ją na ulepszenie

kolonii Coronis, kiedy już tam dotrą. A za pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, jako Starzy Osadnicy kolonii Coronis, będą mieli co wspominać...

Ale jeśli statek nigdy nie podniesie się w powietrze...

Nie, to niemożliwe. Ta planeta nie była zatwierdzona do kolonizacji, nie były sporządzone żadne mapy. Co innego kolonia Coronis – Phi Coronis Delta – tamta była kwitnącą osadą górniczą. Funkcjonował już port kosmiczny i działała załoga, składająca się z inżynierów i techników, pracujących tam już od lat i przygotowujących ją do zasiedlenia. Poznano już tamto środowisko. Przecież nie

można tak po prostu osiedlić się w nieznanym świecie, bez przygotowania i odpowiedniej technologii. To zupełnie niemożliwe.

Ale to należało w końcu do kogoś innego, on miał co robić. Przeprowadził wszystkie możliwe obserwacje, sporządził notatkę i spakował trójnog, aby ruszyć w powrotną drogę. Bez trudu lawirował po kamienistym zboczach, między gęstymi zaroślami i drzewami, a plecak dzięki tutejszej grawitacji ważył bardzo niewiele. Wspinaczka była łatwiejsza niż na Ziemi i MacAran rzucił tęskne spojrzenie ku odległym górcom. Może, jeśli pobyt się przeciągnie, będzie mógł wyrwać się na krótką wyprawę. Próbkę skał i badania geologiczne na pewno przydadzą się Ziemskim Siłom Eksploracyjnym, a sama wspinaczka będzie na pewno przyjemniejsza niż na Ziemi, gdzie wszystkie parki narodowe, od Yellowstone po Himalaje, przez trzysta dni w roku zatłoczone były turystami.

Uważał, że każdy powinien mieć prawo spróbować swych sił we wspinaczce. Ruchome chodniki i windy zainstalowane na zboczach Mount Rainier, Everestu oraz Mount Whitney z pewnością były ułatwieniem dla starszych i dzieci, dzięki temu i oni mogli zobaczyć niezwykle zakątki, MacAran jednak tęsknie myślał o wyprawie w prawdziwe, dzikie góry, bez ruchomych chodników, bez wyciągu krzeselkowego! Wspiął się już i na Ziemi, ale człowiek czuje się głupio, szarpiąc się na stromym zboczu, kiedy obok nastolatki przejeżdżają wyciągiem krzeselkowym i chichoczą na widok wapiaka, który chciał spróbować trudniejszej drogi!

Raz jeszcze spojrzął na góry i stwierdził, że na niektórych ze zboczy widać poczerniałe plamy – pozostałości po pożarze. Najprawdopodobniej przecinka, w której spoczywał statek kilka lat temu musiała być podobną plamą. Dobrze, że system przeciwpożarowy statku zapobiegł wybuchowi w momencie upadku. Gdyby tak nie było, ci, którzy przeżyli, wpadliby wprost w rozszalały płonący las. Należy zachować ostrożność. Ziemianie dawno już zatracili instynkt samozachowawczy i nie pamiętają,

czego może dokonać ogień w lesie. Koniecznie trzeba to umieścić w raporcie.

Zaledwie wszedł na teren katastrofy, a jego krótka euforia ulotniła się. Poprzez półprzezroczyste ścianki szpitala polowego widział niekończące się rzędy nieprzytomnych lub półprzytomnych ludzi. Trochę dalej kilku mężczyzn obciosało ścięte drzewa, inni budowali kopułę demakcyjną. Schronienie tego typu, wzniesione na trzech wspornikach, mogło powstać w ciągu pół dnia.

Zaczął się zastanawiać nad treścią raportu sekcji technicznej. Wokół rozbitego statku kręciło się kilku mechaników, ale nie widać było, aby cokolwiek zrobili. Na pierwszy rzut oka statek nie miał szans wystartować w najbliższym czasie.

Kiedy mijał szpital, wyszedł właśnie jakiś młody człowiek w poplamionym i zmiętym

mundurze sekcji medycznej i zawołał:

–Rafe! Mat kazał ci zaraz po powrocie zameldować się w Pierwszej Kopule.

Zwołano zebranie i jesteś potrzebny. Ja też zaraz tam idę z raportem sekcji medycznej, jestem najwyższy rangą spośród tych, bez których w szpitalu sobie poradzą.

Był to niewysoki mężczyzna drobnej budowy, o ciemnoblond włosach i ciemniejszej, kręconej bródce. Wydawał się zmęczony, jakby nie spał w nocy. MacAran zawahał się.

–Jak tam w szpitalu? – zapytał.

–Od północy nie zanotowano już zgonów, cztery osoby wyciągnęliśmy ze stanu krytycznego. Wygląda na to, że jednak nie ma wycieków z reaktora – ta dziewczyna z

Comm nie miała oparzeń radiacyjnych, a wymioty spowodowane były jedynie mocnym uderzeniem w splot słoneczny. Dzięki Bogu chociaż za takie dobrodziejstwa... gdyby nastąpił wyciek, wszyscy bylibyśmy już martwi, a planeta nie

nadawałaby się do życia.

–O, tak, napęd M-AM ocalił wiele istnień – odparł MacAran. – Wydajesz się bardzo zmęczony, Ewenie. Spałeś choć trochę?

Ewen Ross potrząsnął głową.

–Nie, ale stary hojnie obdarzył nas środkami dopingującymi i moje silniki wciąż jeszcze są na chodzie... Po południu prawdopodobnie padnę i nie obudzę się przez następne trzy dni, ale na razie jeszcze jakoś się trzymam. – Zawahał się, nieśmiało spojrzął na przyjaciela i rzucił: – Słyszałem o Jenny, Rafe. Prawdziwe nieszczęście. Tyle dziewczyn z tamtego obszaru wyszło bez szwanku. Byłem pewien, że jej też nic się nie stało.

–Ja też. – MacAran głęboko zaczerpnął tchu. – Czyste powietrze zaciążyło mu w piersi. – Nie widziałem Heather. Czy...

–Z Heather wszystko w porządku. Przydzielono ją do grupy pielęgniarek. Ani zadrapania. Sądzę, że po tym zebraniu ustalą ostateczną listę ofiar, rannych i ocalałych. A co ty robiłeś? Del Rey powiedziała mi, że zostałeś gdzieś wysłany, ale nie powiedziała po co.

–Wstępne rozpoznanie – odparł MacAran. – Nie mamy pojęcia o położeniu, wielkości i masie planety, ani o klimacie, ani o porach roku... w ogóle o niczym.

Wydaje mi się jednak, że znajdujemy się niedaleko od równika i... zresztą, pełny raport złożę na zebraniu. Wchodzimy od razu?

–Tak. Pierwsza Kopuła.

Ewen powiedział to tak po prostu, że MacAran zastanowił się, jak ludzką rzeczą jest próba natychmiastowego nadania nazw dla ustalenia lokalizacji i orientacji. Byli tu tylko trzy dni i od razu pierwszy prowizoryczny budynek stał się Pierwszą Kopułą, a połowe schronienie dla rannych – szpitalem.

Wewnątrz plastikowej kopuły nie było miejsc do siedzenia, ale na ziemi położono kilka płóciennych płacht i ustawiono kilka pustych skrzynek, a dla kapitana Leicestera ktoś nawet przyniósł składane krzesło. Obok, na skrzyni, z notatnikiem i przenośnym pulpitem na kolanach siedziała Camilla Del Rey, wysoka, smukła, ciemnowłosa dziewczyna. Długie, poszarpane cięcie na jej policzku spięto plastikowymi klamrami. Otulona była w ciepły mundur roboczy załogi, ale zrzuciła grubą kurtkę, pozostając jedynie w cienkiej, obcisłej bawełnianej koszulce. MacAran szybko odwrócił wzrok -do licha, co ona kombinuje? Jak może na oczach tylu ludzi siedzieć w samej bieliźnie? To wręcz nieprzyzwoite... Niemal jednocześnie spojrzął na poranioną, ściągniętą twarz dziewczyny i natychmiast ją rozgrzeszył. Było gorąco, panował upał, a poza tym była przecież po służbie i miała prawo. do odrobiny komfortu. Jeśli ktoś tu w ogóle zachowuje się niewłaściwie, to właśnie ja. Gapię się na dziewczynę i to w takiej chwili...

Stres. Po prostu stres, nic więcej. Jest tyle cholernie ważnych rzeczy, o których niebezpiecznie teraz myśleć i mówić...

Kapitan Leicester podniósł siwą głowę. Wygląda jak trup, pomyślał MacAran. Prawdopodobnie i on od katastrofy nie zmrużył oka.

Kapitan zwrócił się do Del Rey.

–Czy to już wszyscy?

–Tak sędzę.

–Panie, panowie – odezwał się kapitan. – Sytuacja jest wyjątkowa, formalności zbyteczne, dlatego czasowo zapomnijmy o etykiecie. Ponieważ mój protokolant jest w

szpitalu, oficer Del Rey łaskawie zgodziła się pełnić rolę sekretarza. Wezwałem tutaj reprezentantów wszystkich grup, aby potem każdy mógł w oficjalny sposób poinformować swoją załogę o tym, co się dzieje, a tym samym zredukować do minimum plotki i domysły na temat naszej sytuacji. Pamiętam, co się działo, kiedy byłem na Penascola. Wszędzie, gdzie się zbierze więcej niż trzydzieści pięć osób, natychmiast zaczynają się plotki i domysły. A zatem zapoznajmy się tu z niezbędnymi

informacjami i nie wierzmy w to, co ktoś powiedział czyjemuś najlepszemu przyjacielowi albo usłyszał w mesie, zgoda? Zacznijmy od techników. Co z silnikami?

Wstał główny inżynier – na imię miał Patrick, ale MacAran nie znał go osobiście. Był to chudy, niezgrabny mężczyzna, przypominający ludowego bohatera Lincolna.

–Źle – stwierdził lakonicznie. – Nie twierdzą, że nie można ich naprawić, ale sterownia jest w kawałkach. Dajcie nam tydzień na ich posortowanie, a wtedy będziemy mogli powiedzieć, ile czasu zajmie naprawa. Od chwili zlikwidowania bałaganu potrzebujemy powiedzmy... około trzech tygodni, do miesiąca. Wolałbym jednak nie stawiać moich rocznych zarobków na ten termin.

–Ale statek można naprawić? – dopytywał się Leicester. – Nie jest całkiem zniszczony?

–Nie sędzę – odparł Patrick. – Do diabła, lepiej, żeby nie był! Możemy potrzebować paliwa, ale z tym wielkim konwerterem to nie problem, każdy węglowodór się nada,

nawet celuloza. Oczywiście, mówię tu o konwersji energii w systemie podtrzymania

życia. Sam napęd działa na zasadzie implozji antymaterii. – Zaczął omawiać szczegóły

techniczne, ale Leicester przerwał mu, nim MacAran całkiem się zgubił.

–Daj spokój, szefie. Najważniejsze jest to, że silniki można naprawić. Wstępna ocena terminu – trzy do sześciu tygodni. Oficerze Del Rey, jaka sytuacja na mostku?

–Teraz są tam mechanicy, kapitanie, i za pomocą palników usuwają pocięty metal. Konsola komputera zdemolowana, ale główne banki są w porządku. System biblioteczny także.

–Gdzie największe szkody?

–Potrzebujemy nowych siedzeń i pasów w całej kabinie... mechanicy mogą się tym zająć. Oczywiście, musimy także przeprogramować komputer, ustalić nasz punkt przeznaczenia, biorąc pod uwagę nową lokalizację. Powinno to być całkiem łatwe, ale najpierw musimy stwierdzić, gdzie się znajdujemy.

–A zatem i tam także nie ma nieodwracalnych szkód?

–Szczерze mówiąc, kapitanie, za wcześnie o tym mówić. Może to tylko pobożne życzenia, ale jeszcze się nie poddałam.

–Cóż, sprawy wyglądają tak źle, że już gorzej nie mogą – mruknął Leicester. – Wydaje mi się, że wszyscy mamy skłonność dostrzegania tylko najciemniejszych stron. Może to i dobrze; wszystko, co lepsze od najgorszego, będzie miłą niespodzianką. Gdzie doktor Di Asturien z sekcji medycznej?

Ewan Ross poderwał się.

–Szef uważał, że nie powinien wychodzić. Właśnie stara się wraz ze swoimi ludźmi zabezpieczyć to, co pozostało z zapasów leków. Dlatego mnie tu oddelegował. Nie było więcej zgonów, wszyscy zmarli zostali już pochowani. Do tej pory nie ma żadnych oznak nieznanymi chorobami niewiadomego pochodzenia, ale wciąż sprawdzamy próbki powietrza i gleby. Będziemy te badania kontynuować, w celu sklasyfikowania znanych i nieznanymi bakterii. Poza tym... – zawahał się.

–Mów.

–Szef proponuje wydanie rozkazu używania wyłącznie wystawionych już latryn, kapitanie. Uważa, że nosimy w sobie wszystkie możliwe gatunki bakterii, które mogą

zaszkodzić lokalnej florze i faunie. Obszary latryn będą dokładnie dezynfekowane... ale musimy podjąć środki ostrożności, aby nie zainfekować obszarów zewnętrznych.

–To racja – odparł Leicester. – Del Rey, poproś kogoś o ogłoszenie rozkazu. Niech ludzie z ochrony dopilnują, żeby każdy dokładnie wiedział, gdzie znajdują się latryny. Żadnego odlewania się w lesie tylko dlatego, że akurat tam się znajdujesz, a w pobliżu nie ma tablicy: „Nie zanieczyszczaj terenu”.

–Kapitanie – odezwała się Camilla Del Rey. – Myślę, że należy powiedzieć kucharzom, by robili to samo ze śmieciami, przynajmniej na razie.

–Dezynfekować je? Dobry pomysł. Lovat, w jakim stanie jest syntetyzer pożywienia?

–Dostępny i działa, przynajmniej do tej pory. Wydaje mi się jednak, że nieźle byłoby zapoznać się z miejscowymi źródłami pożywienia i stwierdzić, czy możemy jeść

miejscowe owoce i korzenie, jeśli będziemy musieli. Gdyby syntetyzer nagle się zepsuł

–w końcu nie jest przeznaczony do pracy ciągłej w warunkach grawitacji planetarnych. Wtedy będzie za późno na robienie testów tutejszej żywności...

Judith Lovat, niska, krępa kobieta dobrze po trzydziestce, z zieloną odznaką Systemów Podtrzymywania Życia, spojrzała w stronę wejścia do kopuły.

–Wygląda na to, że planeta jest zalesiona. Na podstawie proporcji azotu i tlenu w atmosferze powinniśmy znaleźć coś do jedzenia. Chlorofil i fotosynteza są całkiem podobne na wszystkich planetach typu M, a końcowym produktem jest z reguły jakaś

forma węglowodanów z kwasami aminowymi.

–Zaraz wyślę botanika, żeby się tym zajął – stwierdził kapitan Leicester. – To przypomniało mi o tobie, MacAran. Przynosisz jakieś użyteczne informacje ze szczytu wzgórza?

MacAran wstał.

–Byłoby ich więcej, gdybyśmy wylądowali na równinie – powiedział. – Oczywiście, jeśli równiny istnieją na tej planecie. Udało mi się jednak stwierdzić parę rzeczy. Po pierwsze, jesteśmy mniej więcej na wysokości tysiąca stóp nad poziomem morza i z całą pewnością na półkuli północnej, ale sądząc po wysokości słońca na niebie, niezbyt daleko od równika. Wydaje mi się, że znajdujemy się u stóp ogromnego masywu górskiego, wystarczająco starego, by porastał go las, co oznacza, że w zasięgu wzroku nie ma aktywnych rozpadlin wulkanicznych ani gór, które mogłyby być efektem aktywności wulkanicznej ostatniego tysiąclecia. To nie jest młoda planeta.

–Oznaki życia? – wtrącił się Leicester.

–Mnóstwo ptaków. Małe zwierzęta, prawdopodobnie ssaki, ale tego nie jestem pewien. Więcej gatunków drzew, niż potrafię zaklasyfikować. Większość z nich to drzewa iglaste, ale zdaje się, że liściastych albo do nich podobnych też jest trochę. Są

tu także rozmaite krzewy, obsypane kwiatami i owocami. Botanik powiedziała by panu o wiele więcej. Żadnych śladów jakichkolwiek artefaktów, brak też oznak, że ziemia była uprawiana. Planeta sprawia wrażenie nietkniętej ludzką ani żadną inną stopą. Oczywiście możemy znajdować się na terenach podobnych do ziemskich stepów syberyjskich lub pustyni Gobi, z dala od wszelkich oznak cywilizacji.

Zawahał się, po czym dodał:

–Około dwudziestu mil na wschód stąd znajduje się wysoki szczyt górski, trudno go nie zauważyć, z którego moglibyśmy przeprowadzić dokładniejsze obserwacje i nawet bez skomplikowanych instrumentów dokonać wstępnej oceny masy planety.

Moglibyśmy także poszukać rzek, równin, zapasów wody lub jakichś oznak cywilizacji.

–Z przestrzeni nie było widać żadnych znaków życia – wtrąciła Camilla Del Rey.

Moray, ciężki, smagły mężczyzna, oficjalny przedstawiciel Ziemskich Sił

Eksploracyjnych, opiekun kolonistów, zapytał spokojnie:

–Czy nie ma pani na myśli braku technicznej cywilizacji? Proszę pamiętać, że tylko kilka stuleci temu statek zbliżający się do Ziemi także nie znalazłby żadnych śladów życia istot inteligentnych.

–Nawet jeśli jest tu jakaś forma cywilizacji pretechnologicznej – uciął kapitan Leicester – to tak jakby jej wcale nie było. Obojętne jakie formy życia zaludniają tę planetę, rozumne czy nie, dla nas nie ma to najmniejszego znaczenia. I tak nie pomogą nam w naprawie – statku, a jeśli będziemy zachowywać się dość ostrożnie, aby nie skazić ich ekosystemu, nie ma żadnego powodu, aby nawiązywać z nimi kontakty.

–Zgadzam się z pana ostatnim stwierdzeniem – powoli odparł Moray – ale chciałbym podnieść jeszcze jedną sprawę, o której nikt do tej pory nie wspomniał. Czy wolno?

–Pierwszą rzeczą, jaką ogłosiłem, było tymczasowe zawieszenie protokołu -burknął kapitan. – Mów.

–Jakie działania poczyniono, by stwierdzić, czy planeta jest zdatna do zamieszkania w przypadku, gdyby silniki nie nadawały się do naprawy i musielibyśmy tu pozostać?

MacArana w pierwszej chwili ogarnęło przerażenie, nie mógł wydobyć z siebie głosu, a potem uczył nagły przyływ ulgi. Ktoś wreszcie to powiedział. Ktoś jeszcze o tym myślał. On nie musiał tego mówić.

Na twarzy kapitana Leicesterera nadal malowało się przerażenie, po chwili pojawił się też grymas gniewu.

–Nie grozi nam to.

Moray podniósł się ciężko.

–Tak, słyszałem, co mówi pańska załoga, ale nie jestem w stu procentach przekonany. Myślę, że powinniśmy natychmiast rozpocząć inwentaryzację tego, co mamy, na wypadek, gdybyśmy utknęli na dobre.

–To zbyteczne – szorstko odparł Leicester. – Panie Moray, czy próbuje mi pan wmówić, że wie więcej o stanie statku aniżeli moja załoga?

–Nie. Kompletnie się nie znam na statkach kosmicznych i nawet nie mam na to ochoty. Potrafię jednak rozpoznać ruinę, kiedy ją zobaczę. Wiem, że zginęła

przynajmniej jedna trzecia pańskiej załogi, a wśród nich paru świetnych techników. Słyszałem, jak oficer Del Rey powiedziała, że wierzy – jedynie wierzy – że można naprawić komputer nawigacyjny, a wiem, że nikt nie potrafi kierować napędem M-

AM w przestrzeni międzygwiazdnej bez komputera. Musimy wziąć pod uwagę, że ten statek może już nigdzie nie polecieć. A w takiej sytuacji my także nigdzie nie polecimy. Chyba, że znajdziemy tu jakiegoś domorosłego geniusza, który w ciągu pięciu lat, wykorzystując tutejsze bogactwa naturalne i przy pomocy tej garstki ludzi, jaka pozostała, zbuduje satelitę komunikacji międzygwiazdnej. Wtedy będziemy mogli przesłać wiadomość na Ziemię lub Alpha Centaurię, lub do kolonii Coronis, żeby sobie przyjechali po swoje zbłąkane owieczki.

–Do czego pan zmierza, panie Moray? – odezwała się Camilla Del Rey

przysłumionym głosem. – Chce pan zniszczyć resztkę naszego morale? Przerazić?

–Nie. Próbuję być realistą.

–Jest pan w błędzie – wtrącił Leicester, dokonując nadludzkich wysiłków, by opanować furję, która wykrzywiła mu rysy. – Naszym pierwszym obowiązkiem i zadaniem jest naprawić statek i w tym celu możemy zaangażować każdego człowieka,

włącznie z pasażerami pańskiej grupy kolonistów. Nie możemy sobie pozwolić na oddelegowanie nawet kilku ludzi do badania tego, co jest zbyteczne – dodał z emfazą –

a zatem, jeśli było to żądanie, proszę uznać, że zostało przyjęte odmownie. Czy jest coś

jeszcze?

Moray nie miał zamiaru ustąpić.

–A co się stanie, jeśli za sześć tygodni okaże się, że nie możecie naprawić statku?

Albo za sześć miesięcy?

Leicester głęboko odetchnął. MacAran zauważył na jego twarzy nieludzkie zmęczenie i desperacki wysiłek, aby to ukryć.

–Proponuję rozważyć ten problem dopiero wtedy, gdy pojawi się na horyzoncie.

Jest takie bardzo stare przysłowie, które mówi, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Nie sądzę, aby zwłoka sześciu tygodni miała większy wpływ na nasze poddanie się, utratę nadziei i śmierć. Osobiście zamierzam żyć i poprowadzić ten statek z powrotem do domu, a każdy, kto będzie miał defetystyczne nastroje, będzie miał ze mną do czynienia. Czy wyrażam się dość jasno?

Moray najwyraźniej nie był zadowolony, ale coś go powstrzymywało, być może była to jedynie silna wola kapitana. Powoli opadł na swoje miejsce, choć grymas nie zniknął z jego twarzy.

Leicester przysunął ku sobie przenośny pulpit Camilli.

–Jest tam coś więcej? Doskonale, zdaje się, panie i panowie, że to wszystko. Listy ocalonych i rannych, a także ich stan, zostaną podane do wiadomości dziś wieczorem.

Słucham, ojczyźnie Valentine?

–Kapitanie, zostałem poproszony o odprawienie mszy żałobnej na terenie masowych mogił. Ponieważ kapelan protestancki zginął w katastrofie, chciałbym zaoferować swoje usługi wszystkim, bez względu na wyznanie, którym przydadzą się one na cokolwiek.

Na widok młodego księdza z ręką na temblaku i grubo obandażowaną połową głowy twarz kapitana Leicestera złagodniała.

–Oczywiście, koniecznie odpraw mszę, ojczyźnie. Proponuję jutro rano. Znajdź też kogoś, kto zająłby się wzniesieniem odpowiedniego pomnika. Może za kilkaset lat ta planeta zostanie skolonizowana i przyszli mieszkańcy powinni o nas wiedzieć. Sądzę, że mamy na to dość czasu.

–Dziękuję, kapitanie. Czy mogę już odejść? Jestem potrzebny w szpitalu.

–Naturalnie, ojcze. Wszyscy, którzy chcą się rozejść do swoich zadań, mogą to uczynić... a może są jakieś pytania? – Leicester odchylił się w tył na krześle – i na moment zamknął oczy. – MacAran i doktor Lovat, proszę zostać na chwilę.

MacAran oniemiał z zaskoczenia. Nigdy przedtem nie rozmawiał z kapitanem i nawet nie myślał, że ten zwrócił kiedykolwiek na niego uwagę. Czegóż może chcieć? Pozostali pojedynczo opuszczali kopułę. Ewan przelotnie dotknął jego ramienia i szepnął:

–Rafe, Heather i ja będziemy na mszy. Teraz już muszę iść. Wpadnij do szpitala, zbadam cię. Cześć, do zobaczenia.

I już go nie było.

Kapitan Leicester opadł na krzesło. Sprawiał wrażenie starego i zmęczonego, ale gdy MacAran i Judith Lovat podeszli, wyprostował się nieco.

–MacAran – odezwał się – z twojej dokumentacji wynika, że masz pewne doświadczenie w górach. Kim jesteś z zawodu?

–Geologiem. To prawda, spędziłem w górach sporo czasu.

–A zatem stawiam cię na czele krótkiej ekspedycji terenowej. Wejdźcie na tę górę, jeśli dacie radę, i rozejrzyjcie się ze szczytu. Możecie określić masę planety i tak dalej. Czy w grupie kolonistów jest jakiś meteorolog albo specjalista od pogody?

–Sądzę, że tak. Pan Moray na pewno będzie wiedział.

–Przypuszczalnie. Może to nawet dobry pomysł, żeby go o to zapytać – stwierdził Leicester. Był tak zmęczony, że mówił niewyraźnie. – Gdybyśmy mogli ocenić, jaka będzie pogoda w ciągu następnych kilku tygodni, moglibyśmy zorientować się, jakich

schronień i zabezpieczeń będą potrzebowali nasi ludzie. Sądzę, że Siłom Eksploracyjnym przydałaby się także informacja o okresie obrotu i tak dalej. Aha... pani doktor Lovat, – proszę znaleźć botanika i zoologa, najlepiej spośród kolonistów, i wysłać ich z MacAranem. Tak na wszelki wypadek, gdyby zepsuły się syntetyzery żywności.

–Czy mogę zaproponować bakteriologa, gdybym go znalazła? – podsunęła Judith.

–Dobry pomysł. MacAran, nie uszczuplaj grup naprawczych, ale bierz, kogo

potrzebujesz.

–Technika medycznego albo przynajmniej pielęgniarkę – zaproponował MacAran.

–To na wypadek, gdyby ktoś spadł w przepaść lub został nadgryziony przez jakiegoś

tutejszego tyranozaura.

–Albo złapał jakiegoś paskudnego miejscowego bakcyła – dodała Judith. –

Powinnam była o tym pomyśleć.

–W porządku, jeśli dowódca sekcji medycznej odda wam kogoś – zgodził się

Leicester. – Aha, jeszcze jedno. Pierwszy oficer Del Rey też pójdzie z wami.

–Mogę zapytać, po co? – zapytał zaskoczony MacAran. – Oczywiście, będzie nam miło, choć to trochę za ciężka wędrówka dla kobiety. To nie Ziemia, na te góry nie ma

wyciągów krzeselkowych!

Głos Camilli zabrzmiał nisko i nieco chropowato. MacAran nie wiedział, czy to smutek, zdenerwowanie, czy może jej naturalny sposób mówienia.

–Kapitanie – odezwała się – MacAran widocznie nie wie jeszcze najgorszego. Co wiesz o katastrofie i jej przyczynie?

Wzruszył ramionami.

–Zwykle plotki i pogłoski. Wiem tylko, że rozdzwoniły się alarmy. Przeszedłem w... tak zwany obszar bezpieczeństwa – dodał z goryczą, przypominając sobie zmiżdżone ciało Jenny – i następną rzeczą, którą pamiętam, było to, że wyciągano mnie z kabiny i znoszono po drabince. Koniec, kropka.

–Cóż, właśnie. Nie wiemy, gdzie jesteśmy. Nie – wiemy, co to za słońce. Nie wiemy nawet, w jakim sektorze gwiazdnym się znajdujemy. Zostaliśmy wytrąceni z kursu przez burzę grawitacyjną... to takie najprostsze wyjaśnienie. Nie będę nawet próbowała tłumaczyć, na czym to polega. Po pierwszym wstrząsie straciliśmy sprzęt do orientacji w przestrzeni i trzeba było zlokalizować najbliższy system gwiazdy z potencjalnie nadającą się do zamieszkania planetą. Muszę zatem przeprowadzić obserwacje astronomiczne, jeśli tylko będę miała okazję, i zlokalizować jakieś znane

gwiazdy. Mogę tego dokonać za pomocą odczytów spektroskopowych. Dzięki nim będę w stanie ustalić naszą pozycję w stosunku do ramienia Galaktyki i dokonać przynajmniej częściowego przeprogramowania komputera w stosunku do powierzchni planety. Łatwiej jest przeprowadzać obserwacje astronomiczne na pewnej wysokości, bo powietrze jest tam rzadsze. Nawet jeśli nie dotrę na szczyt góry, każde dodatkowe tysiąc stóp umożliwi mi dokładniejsze odczyty. – Dziewczyna wydawała się poważna i nieco pompatyczna, jakby w ten sposób próbowała odsunąć od siebie strach. – Dlatego chcę wziąć udział w waszej ekspedycji. Jestem silna i sprawna i nie boję się długiego, trudnego marszu. Wysłałabym mojego asystenta, ale jego poparzenia obejmują ponad trzydzieści procent powierzchni ciała i jeśli w ogóle wyzdrowieje – a to wcale nie jest takie pewne – długo jeszcze nie będzie w stanie gdziekolwiek się wybrać. Obawiam się, że nie ma tu nikogo innego, kto wiedziałby tyle na temat nawigacji i geografii Galaktyki, co ja. I jeśli mam być szczerą, wolałabym polegać na moich własnych odczytach.

MacAran wzruszył ramionami. Nie był męskim szowinistą, a jeśli dziewczyna uważa, że jest w stanie znieść długi marsz, to prawdopodobnie tak jest w istocie.

–Dobrze – rzekł. – To pani sprawa. Będziemy potrzebowali prowiantu na co najmniej cztery dni, a jeśli pani sprzęt jest ciężki, proszę znaleźć sobie kogoś, kto go za

panią poniesie. Każdy z nas będzie miał swój własny ekwipunek.

Obrzucił wzrokiem wilgotną, cienką koszulkę przylegającą do jej ciała i dodał:

–I proszę się cieplej ubrać, do cholery. Dostanie pani zapalenia płuc.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, które zaraz przeszło w zakłopotanie, a potem w nagły gniew. Zmierzyła go wzrokiem, ale MacAran już na nią nie patrzył. Zwrócił się do kapitana:

–Kiedy mamy wyruszyć? Jutro?

–Nie, zbyt wielu z nas nie miało wystarczającej ilości snu – odparł Leicester, otrząsając się. Po raz kolejny zapadł w stan przypominający drzemkę. – I kto to mówi... połowa mojej załogi jest w takim samym stanie. Zaraz wydam rozkaz, żeby wszyscy oprócz wartowników spali tej nocy. Jutro każdy będzie mógł się udać na mszę

za zmarłych. Pozostaną jedynie najważniejsze grupy robocze. Trzeba przeprowadzić

**wielką inwentaryzację, dużo pracy wymaga odzyskiwanie sprzętu. Wyruszenie za...
och,**

dwa, trzy dni. Czy chciałbyś kogoś konkretnego z sekcji medycznej?

–Czy mogę dostać Ewena Rossa, jeśli dowódca go puści?

**–Zgadza się – stwierdził Leicester i znowu oklapnął. Widocznie usnął na ułamek
sekundy.**

–Dziękuję – rzekł cicho MacAran i odwrócił się.

Camilla Del Rey lekkim jak piórko dotknięciem dłoni musnęła jego ramię.

**–Nie waż się go osądzać – szepnęła wściekłym głosem. – Jest na nogach od dwóch
dni przed katastrofą, bez przerwy na środkach antysenny, a jest na to o wiele za
stary! Mam zamiar dopilnować, żeby przespał pełną dobę, nawet gdybym miała z
tego**

powodu wszystkich pozamykać!

Leicester znowu się ocknął.

–... nie spałem – rzekł stanowczo. – Coś jeszcze? MacAran, Lovat?

**–Nie, kapitanie – z szacunkiem odparł MacAran i usunął się cicho, pozwalając, by
kapitan wreszcie odpoczął pod czujnym okiem pierwszego oficera. Dziewczyna stała
nad nim jak... to porównanie zaskoczyło go samego – jak wściekła, opanowana
instynktem macierzyńskim tygrysyca nad swoim małym. A może jak lwica nad starym
lwem? A tak w ogóle co go to obchodzi?**

ROZDZIAŁ DRUGI

Pomieszczenia sekcji pasażerskiej, wraz ze znajdującymi się tam rzeczami osobistymi kolonistów, zostały zalane pianą gaśniczą i wyciekającym zewsząd olejem i były po prostu niedostępne, dlatego też kapitan Leicester wydał rozkaz, aby wszyscy uczestnicy wyprawy otrzymali ciepłe, wodoszczelne kombinezony przeznaczone dla członków załogi wyruszających na powierzchnię obcej planety. Polecono im czekać z wymarszem na wschód słońca, stali więc gotowi, z plecakami pełnymi żywności na ramionach, obładowani sprzętem badawczym i prowizorycznym ekwipunkiem obozowym. MacAran czekał na Camillę Del Rey, która przekazywała ostatnie instrukcje oficerowi z mostka.

–Wschody i zachody słońca są tu tak dokładne, że aż nieprawdopodobne, masz również dokładne odczyty azymutu dla kierunku wschodu słońca. Będziemy musieli zgadywać, kiedy jest południe. Co wieczór jednak, o zachodzie słońca dokładnie na dziesięć minut zapal i skieruj w tę stronę najsilniejsze światło, jakie znajduje się na statku. W ten sposób będziemy mogli ustalić kierunek, w jakim się poruszamy, i określić, gdzie jest wschód, a gdzie zachód. Wiesz już, jak odczytuje się kąty w południe.

Obejrzała się i zauważyła stojącego z tyłu MacArana.

–Czekacie na mnie? – zapytała spokojnie. – Przepraszam, ale musi pan zrozumieć, że dokładne odczyty są nieodzowne.

–Zgadza się z tym – odparł spokojnie. – Dlaczego się pani tłumaczy? Przecież jest pani najwyższą rangą spośród nas, czyż nie, ma'am?

Uniosła w górę delikatne brwi.

–Och, więc to pana martwi? Prawdę mówiąc, wcale tak nie jest. Jedynie na mostku. Kapitan Leicester pana postawił na czele tej wyprawy i proszę mi wierzyć, jestem z tego zupełnie zadowolona. Prawdopodobnie tyle samo wiem o górach, co pan

o astronawigacji, a może nawet mniej. Wyrosłam w kolonii Alpha... wie pan, jakie tam

są pustynie.

MacAran odczuł znaczną ulgę i zarazem irytację. Ta kobieta była tak cholernie spostrzegawcza! Och, oczywiście, napięcie zmniejszy się znacznie, jeśli nie będzie musiał jej prosić jako swego zwierzchnika o pozwolenie na wydawanie rozkazów dotyczących wyprawy. Niewątpliwie jednak udało jej się w jakiś sposób sprawić, że czuł się niezręcznie, jak natręt. Po prostu cholerny idiota!

–Cóż – odparł – czekamy tylko na panią. Mamy przed sobą długą drogę w dość trudnym terenie, więc lepiej ruszajmy.

Odszedł w stronę reszty uczestników i w myślach raz jeszcze sprawdzał, czy zabrano cały potrzebny sprzęt. Nawet Ross niósł sporą część wyposażenia astronomicznego Camilli Del Rey, jako że jego apteczka zajmowała niewiele miejsca. Heather Stuart, podobnie jak wszyscy odziana w uniform powierzchniowy, mówiła coś do niego przyciszonym głosem. MacAran ponuro stwierdził, że jeśli dziewczyna wstaje o tak nieprzyzwoitej porze tylko po to, aby pożegnać Rossa, to najlepszy dowód miłości. Doktor Judith Lovat, niska i krzepka, przewiesiła przez ramię pęk małych pudełek na próbki. Ponieważ dwóch członków wyprawy nie znał, podszedł do nich, nim oni zdążyli to uczynić.

–Widzieliśmy się chyba w pokoju wypoczynkowym, ale się nie znamy...

Pierwszy z nich był wysokim, smagłym mężczyzną o orlim nosie, dobrze po trzydziestce.

–Marco Zabal. Ksenobotanik – przedstawił się. – Idę na polecenie doktor Lovat. Przywykłem do gór. Wychowałem się w kraju Basków i brałem udział w ekspedycji w Himalaje...

–Cieszę się, że idzie pan z nami. – MacAran uściśnął mu dłoń – Dobrze jest mieć w otoczeniu kogoś, kto zna góry. A pan?

–Lewis MacLeod. Zoolog, specjalista weterynarii.

–Członek załogi czy kolonista?

–Kolonista – uśmiechnął się MacLeod. Był to niski, tęgi, o jasnej karnacji

mężczyzna. – Zanim pan zapyta – nie, nie mam doświadczenia w chodzeniu po górach,

ale wyrosłem w Górach Szkockich, a tam trzeba było pokonać długą drogę, nim się

dotarło gdziekolwiek, a wokół więcej terenu było w pionie niż poziomie.

–Doskonale, to się przyda – odparł MacAran. – A teraz, kiedy jesteśmy w komplecie... Ewen, pocałuj na pożegnanie swoją dziewczynę i ruszamy.

Heather zaśmiała się cicho i włożyła kaptur. Była to drobna dziewczyna, smukła, o delikatnej budowie, a w za dużym mundurze wydawała się jeszcze drobniejsza.

–Daj spokój, Rafe. Idę z wami. Jestem dyplomowanym mikrobiologiem i na polecenie szefa sekcji medycznej będę pobierać próbki.

–Ale... – MacAran zmarszczył brwi w zakłopotaniu. Mógł zrozumieć, dlaczego Camilla chciała iść z nimi... miała więcej kwalifikacji do tego zadania niż jakikolwiek mężczyzna. Doktor Lovat być może słusznie żywiła pewne obawy...

–Prosiłem o mężczyzn – oznajmił. – Teren jest miejscami bardzo trudny.

Spojrzał na Ewena, szukając w nim oparcia, ale młody człowiek jedynie wybuchnął śmiechem.

–Czy mam ci przypomnieć ziemską Kartę Praw? Żadne prawo nie może zostać sformułowane tak, aby ograniczało prawo istoty ludzkiej do równej pracy bez względu

na pochodzenie rasowe, religię czy płeć...

–Niech cię cholera, nie kłuj mi oczu Czwartym Paragrafem – wymamrotał

MacAran. – Jeśli Heather ma ochotę pozdzierać sobie podeszwy, a ty jej na to pozwalasz, cóż ja mogę powiedzieć na ten temat? I tak podejrzewał, że Ewen wszystko

to zaaranżował. Świetnie się wyprawa zaczyna! Pomimo poważnego celu ekspedycji był tak podekscytowany perspektywą wspięcia się na dziewiczą górę, a tu okazuje się,

że musi wlec za sobą nie tylko jedną przedstawicielkę płci odmiennej, członka załogi,

która przynajmniej wygląda na wysportowaną i twardą, lecz także doktor Lovat, może

jeszcze nie staruszkę, ale na pewno nie tak młodą i pełną wigoru, jakby sobie tego życzył, no i zwiewną Heather.

–No to idziemy – rzekł i miał szczerą nadzieję, że zabrzmiało to równie ponuro, jak się czuł.

Ustawił ich w szeregu, umieszczając doktor Lovat i Heather tuż za sobą pod opieką Ewena i ruszył przodem. W ten sposób bardzo szybko mógł się zorientować, czy tempo, jakie narzucił, nie jest zbyt duże. Pochód zamykali Camilla, MacLeod i przywykły do gór Zabał. Kiedy oddalili się od statku, mijając niewielkie skupisko byle jak skleconych baraków i schronień, zza odległej linii wzgórz zaczęło się wyłaniać wielkie, czerwone słońce, jak niesamowite, nabiegłe krwią oko. W zagłębieniu terenu, gdzie leżał statek, mgła zalegała grubą warstwą, ale w miarę, jak wydostawali się z

doliny, biały tuman zaczął się rwać na strzępy i przerzedzać i MacAran mimo woli nabrał lepszego humoru. Prowadzenie takiej ekspedycji nie było w końcu rzeczą drobną. Być może na tej całkiem nowej planecie była to pierwsza od setek lat wyprawa poszukiwawcza.

Szli w milczeniu, zbyt wiele było do oglądania. Kiedy dotarli do wylotu wąwozu, MacAran zatrzymał się i czekał, aż cała grupa dołączy do niego.

–Nie mam wiele doświadczenia w wędrówkach na obcych planetach – oznajmił -ale nie wchodźcie w żadne dziwaczne krzaki, patrzcie, gdzie stawiacie stopy i mam nadzieję, że nie muszę was ostrzegać, abyście nie pili wody ani nie jedli niczego, czego przedtem osobiście nie zaaprobuje doktor Lovat. Wy dwaj jesteście specjalistami. – Pokazał palcem na Zabala i MacLeoda. – Macie jeszcze coś do dodania?

–Po prostu należy być ostrożnym – rzekł MacLeod. – Wiemy tak niewiele, na dobrą sprawę na tej planecie może się roić od jadowitych węży i gadów, ale nasze kombinezony chronią nas przed większością niewidzialnych zagrożeń. Mam też przy sobie pistolet, który może zostać użyty, ale tylko w ostateczności, jeśli napadnie nas dinozaur albo jakiś wielki drapieżnik, chociaż zawsze lepiej jest uciec, niż strzelać. Pamiętajcie, to mają być tylko wstępne obserwacje, nie dajcie się ponieść chęci zdobycia próbek i klasyfikowania. Mogą to zrobić następne grupy.

–Jeśli będą następne – mruknęła Camilla. Mówiła szeptem, ale Rafael usłyszał ją i zgromił wzrokiem.

–Wszyscy namierzają kompasem azymut tamtego szczytu – rzekł tylko. – Musicie dać znać za każdym razem, kiedy z niego zejdziemy z powodu przeszkód terenowych. Stąd jeszcze go widać, ale kiedy podejdziemy bliżej, będziemy w stanie

zobaczyć jedynie czubki drzew i najbliższe wzgórza.

Z początku był to łatwy, przyjemny spacer po lekko nachylonym zboczach, między wysokimi, głęboko ukorzenionymi pniami drzew iglastych, zaskakująco smukłymi w stosunku do wysokości, o wąskich gałęziach pokrytych długimi, niebieskozielonymi igłami. Gdyby nie przytłumiony blask słońca, można by pomyśleć, że znajdują się na Ziemi. Od czasu do czasu Marco Zabal opuszczał szereg, aby przyjrzeć się bliżej jakiemuś drzewu, liściom lub ułożeniu korzeni. Raz wyskoczyło im spod nóg niewielkie zwierzątko i natychmiast umknęło w las. Lewis MacLeod spojrzął tęsknie w ślad za nim.

–Jedno jest pewne, żyją tu ssaki futerkowe – rzekł do doktor Lovat. –

Prawdopodobnie torbacze, ale nie jestem pewien.

–Myślałam, że będzie pan zbierał okazy – odrzekła.

–Będę, ale w drodze powrotnej. Jak mógłbym utrzymać przy życiu zwierzęta, nie wiedząc, czym je karmić? Jeśli jednak martwi się pani o zapasy żywności, to muszę stwierdzić, że do tej pory wszystkie bez wyjątku ssaki na wszystkich planetach okazywały się jadalne i pożywne. Niektóre nie są może zbyt smakowite, ale najwidoczniej u wszystkich stworzeń wytwarzających mleko występuje podobny metabolizm.

Judith Lovat zauważyła, że mały tłuściutki zoolog dyszy z wysiłku, ale pominęła to milczeniem. Doskonale rozumiała jego fascynację możliwością klasyfikacji życia na nowej, całkowicie nieznaną planetę. Było to zadanie, jakie zwykle powierzano wysoko wyspecjalizowanym grupom Pierwszego Lądowania i przypuszczała, że MacAran nie wybrałby go na tę wyprawę, gdyby nie uważał, że jest on do niej fizycznie zdolny.

Podobnie myślał Ewen Ross, idący obok Heather. Żadne z nich nie traciło sił na rozmowy. Rafe nie narzuca zbyt ostrego tempa, myślał Ewen, ale i tak nie jestem pewien, jak poradzą sobie kobiety. Kiedy mniej więcej godzinę później MacAran zarządził postój, Ross zostawił dziewczynę i podszedł do niego.

–Rafe, powiedz mi, jak wysoki jest ten szczyt?

–Nie mam pojęcia, widziałem go z bardzo daleka, ale sądzę, że około osiemnastu, dwudziestu tysięcy stóp.

–Czy kobiety dadzą radę? – zatroszczył się Ewen.

–Camilla będzie musiała, ponieważ ma przeprowadzić obserwacje astronomiczne. Zabal i ja pomożemy jej, gdy będzie trzeba. Reszta może zostać na zboczach, jeśli nie

zdołają się wspiąć.

–Ja dam radę – odparł Ewen. – Pamiętaj, zawartość tlenu w powietrzu jest tu większa niż na Ziemi, niedotlenienie nie złapie nas tak nisko.

Spojrzał na współtowarzyszy ekspedycji, siedzących na trawie i odpoczywających. Tylko Heather Stuart pobierała próbki ziemi i wkładała je do jednej ze swych rurek. Lewis MacLeod wyciągnął się jak długi i ciężko dyszał z przymkniętymi oczami. Ewen spoglądał nań z pewną troską. Zauważył coś, czego nie dostrzegła nawet doktor Lovat, ale nie odezwał się ani słowem. Nie mógł jednak zażądać, odesłania go, w każdym razie nie samego.

Młodemu lekarzowi wydało się nagle, że MacAran śledzi tok jego myśli, gdyż w tej chwili zapytał:

–Nie wydaje ci się to wszystko za łatwe, za proste? Gdzieś przecież musi być jakaś pułapka. Za bardzo przypomina mi to piknik w rezerwacie leśnym.

Niezły piknik, pomyślał Ewen. Pięćdziesięciu pięciu zabitych i ponad setka rannych w czasie katastrofy. Nie powiedział tego na głos, gdyż przypomniał sobie, że Rafe stracił siostrę.

–Dlaczego nie, Rafe? Czy jest jakieś prawo, które mówi, że nieznana planeta musi być niebezpieczna? Może po prostu jesteśmy tak przystosowani do pozbawionego ryzyka życia na Ziemi, że obawiamy się choćby na cal odejść od naszej wspaniałej, bezpiecznej technologii. – Uśmiechnął się. – Czyżbym nie słyszał, jak klniesz, że na Ziemi wszystkie góry, nawet zbocza zjazdowe są tak wygładzone, iż traci się poczucie własnej godności? Nie wiem zresztą... nigdy nie bywałem w niebezpiecznych miejscach.

–Może tu ci się uda – odparł MacAran, ale wciąż miał ponurą minę. – Jeśli tak by było, to dlaczego robią tyle zamieszania wokół grup Pierwszego Lądowania, gdy wysyłają je na nowe planety?

–Mogę ci zadać to samo pytanie. Może na planecie, na której nigdy się nie rozwinęła ludzka rasa, jej naturalni wrogowie także nie istnieją?

Słowa te powinny pocieszyć MacArana, ale tak się nie stało. Poczuł, jak po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Jeśli człowiek nie był częścią tej planety, czy może na niej przeżyć? Nie powiedział jednak tego na głos.

–Lepiej ruszajmy. Mamy przed sobą jeszcze długą drogę. Chciałbym dotrzeć do

zbocza przed zmrokiem.

Podszedł do MacLeoda, który z trudem podnosił się na nogi.

–W porządku, doktorze MacLeod?

–Mów mi Mac – odparł starszy mężczyzna z bladym uśmiechem. – Nie jesteśmy na statku. Tak, wszystko w porządku.

–Jesteś specjalistą od zwierząt. Czy masz jakąś teorię, dlaczego nie widzimy większych stworzeń niż wiewiórki?

–Nawet dwie – odparł MacLeod z szerokim uśmiechem. – Pierwsza, oczywiście mówi, że większych zwierząt tu po prostu nie ma. Druga, ta, ku której się skłaniam, sugeruje, że kiedy nasza szóstka... nie, siódemka z takim hałasem przedziera się przez zarośla, to wszystko, co ma mózdzek choć trochę większy od wiewiórczego, trzyma się z daleka!

MacAran zachichotał i stwierdził, że jego osobista ocena małego grubaska podskoczyła o kilka dobrych punktów.

–Czy mamy zachowywać się ciszej?

–Nie wiem, jak mielibyśmy to zrobić. Wieczór będzie najlepszym sprawdzianem. Większe mięsożerne zwierzęta, jeśli istnieje tu jakakolwiek analogia do Ziemi, wyjdą wówczas na żer, spodziewając się, że zaskoczą swoje naturalne ofiary we śnie.

–Lepiej zatem postarać się, aby nie schrupały nas przez pomyłkę – zauważył

MacAran i spojrzął na pozostałych uczestników wyprawy, którzy tymczasem zarzucili

plecaki i wrócili do szyku. Istotnie, zupełnie zapomniał o tym jednym, drobnym

szczegóły. Rzeczywiście, na Ziemi troska o bezpieczeństwo spowodowała

wyeliminowanie wszelkich zagrożeń, z wyjątkiem tych, które tworzyli sami ludzie.

Nawet na safari jeżdżono w oszklonych ciężarówkach. Dlatego nie przyszło mu do głowy, że noc może być dla nich takim zagrożeniem.

Przez czterdzieści minut maszerowali przez coraz gęściej rosnące drzewa i zarośla. Nagle Judith przystanęła, boleśnie trąc oczy. Mniej więcej w tym samym momencie Heather podniosła dłonie i spojrzała na nie ze zgrozą. Ewen, który szedł u jej boku,

zatrzymał się natychmiast.

–Co się dzieje?

–Moje ręce... – Śmiertelnie pobladła Heather wyciągnęła dłonie.

–Rafe, zaczekaj – krzyknął Ewen i wszyscy się zatrzymali. Ross chwycił smukłe

palce Heather i podniósł do oczu, uważnie obserwując błyskawicznie występujące na

skórze zielone cętki. Za jego plecami rozległ się nagle głos Camilli:

–Judy! O Boże, spójrzcie na jej twarz!

Ewen obrócił się do doktor Lovat. Jej policzki i powieki pokryte były zielonkawymi cętkami, które wydawały się rosnać, puchnąć i pęcznieć w oczach. Judy zacisnęła powieki i próbowała podnieść do nich ręce. Camilla powstrzymała ją łagodnie.

–Nie dotykaj twarzy, Judy. Doktorze Ross, co to takiego?

–Skąd u diabła mam wiedzieć? – Ewen powiódł wzrokiem po zebranych wokół niego towarzyszach.

–Czy ktoś jeszcze zielenieje? – zapytał. – Nie? To dobrze. Proszę wszystkich, aby trzymali się z daleka, dopóki nie dowiemy się, co tu mamy. Heather! – zawołał i ostro szarpnął ją za ramię. – Przestań natychmiast! Na razie jeszcze nie umierasz, wykazujesz zresztą wszelkie oznaki życia.

–Przepraszam. – Dziewczyna z trudem się opanowała.

–Dobrze. A teraz powiedz, co dokładnie czujesz? Czy te cętki bolą?

–Nie, do cholery! Swędzą! – Była zgrzaną, zaczerwienioną, rude włosy w nieładzie spadły jej na ramiona. Uniosła dłoń, aby je odgarnąć, ale Ewen powstrzymał ją, starając się dotykać jedynie rękawa kombinezonu.

–Nie dotykaj twarzy – ostrzegł. – To właśnie zrobiła doktor Lovat. Pani Lovat, jak się pani czuje?

–Nie najlepiej – odparła Judy z pewnym wysiłkiem. – Twarz mi płonie, a oczy... sam pan zresztą widzi.

–Rzeczywiście. – Ewen zauważył, że jej powieki także stają się zielonkawe.

Wyglądała groteskowo.

W duchu zastanawiał się, czy widać po nim, jak okropnie się boi. Tak jak pozostali wychowany został na opowieściach o egzotycznych zarazach, jakie występują na innych planetach, był jednak lekarzem i walka z nimi należała do zakresu jego obowiązków.

–W porządku – zawołał głosem tak spokojnym, na jaki go tylko było stać. – Proszę się cofnąć, ale bez paniki. Gdyby to była zaraza przenoszona przez wiatr, wszyscy już bylibyśmy chorzy i to jeszcze tej samej nocy, kiedy wylądowaliśmy. Doktor Lovat, czy są jakieś inne objawy?

–Nie – rzekła Judy z wymuszonym uśmiechem – Poza tym, że się boję...

–To się nie liczy... przynajmniej na razie – zauważył Ewen.

Wyjął z apteczki sterylne opakowanie, a z niego parę gumowych rękawiczek. Szybko zmierzył jej puls.

–Nie ma częstoskurczu ani przyspieszonego oddechu. A ty, Heather?

–W porządku, tylko cholernie swędzi.

Ewen uważnie obserwował wysypkę. Początkowo punkciki były malutkie, ale wkrótce każdy z nich zaczął się rozrastać w pęcherzyk.

–No, to zaczynamy eliminację – rzekł. – Co robiłyście, ty i doktor Lovat, czego nie robił nikt inny?

–Pobierałam próbki gleby – odparła. – Szukałam bakterii ziemnych i okrzemków.

–A ja oglądałam jakieś liście – oświadczyła Judy. – Chciałam sprawdzić, czy mają wystarczającą ilość chlorofilu.

Marco Zabal podciągnął mankiety kombinezonu.

–Zabawię się w Sherlocka Holmesa – oznajmił. – Odpowiedź jest tutaj.

Pokazał nadgarstek, na którym widniały dwie czy trzy zielone kropki.

–Panno Stuart, czy pobierając próbki musiała pani odsuwać na bok jakieś liście?

–Tak, oczywiście, takie płaskie, czerwonawe – odrzekła, a Marco potwierdził skinieniem głowy.

–Jak każdy szanujący się ksenobotanik wszystkie rośliny badam w rękawiczkach, dopóki nie jestem pewien, czego się po nich spodziewać. Stwierdziłem występowanie olejku eterycznego, ale uznałem, że to nic takiego. Prawdopodobnie jest to jakiś

daleki krewniak *Rhus toxicodendron* - to znaczy sumaka jadowitego. Zgaduję też, że jeśli objawy przychodzą tak szybko, jest to zwyczajne uczulenie kontaktowe, które nie będzie miało żadnych skutków ubocznych. – Jego długa, wąska twarz rozjaśniła się uśmiechem. – Spróbujcie maści antyhistaminowej, jeśli jakąś macie, a pani doktor trzeba chyba zrobić zastrzyk. Oczy ma tak spuchnięte, że nie będzie widziała, dokąd idzie. Od tej pory też nie próbujcie podziwiać żadnych ładnych listeczków, dopóki ja ich nie obejrzę, jasne?

Ewen zastosował się do jego wskazówek z ulgą tak wielką, że niemal bolesną. Czuł, że nie potrafiłby stawić czoła zarazie z innej planety. Potężna dawka antyhistamin szybko uporała się ze spuchniętymi oczami Judith Lovat, choć zielone zabarwienie powiek pozostało. Marco Zabal pokazał wszystkim nieszczęsny liść, zamknięty w przezroczystym plastikowym pudełku na próbki.

–On właśnie sprawia, że zieleniejecie – oznajmił oschle. – Nauczcie się trzymać z daleka od nieznanych roślin.

–Jeśli wszystko już w porządku, ruszajmy – odezwał się MacAran. Ulga była tak wielka, że aż mu się zrobiło słabo. A jakie jeszcze niebezpieczeństwa mogą cziąć się w niewinnie wyglądającym drzewie lub kwiatku?

–Wiedziałem, że to miejsce jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe – mruknął do Ewena.

Zabal usłyszał jego słowa i zachichotał.

–Mój brat był członkiem grupy Pierwszego Lądowania, która wyruszyła na Coronis. Był to jeden z powodów, dla których się tam wybierałem. Dlatego też przypadkiem wiem wiele na ten temat. Siły Eksploracyjne nie publikują informacji o tym, jak zdradzieckie mogą być nowe planety, ponieważ nikt na naszej kochanej, bezpiecznej Ziemi nie chciałby na nie wyruszać. No i oczywiście, zanim pierwsze duże grupy kolonistów zjawią się na miejscu, załogi technologiczne zdążą pousuwać największe zagrożenia i, ujmując to łagodnie, co nieco wygładzić to i owo.

–Idziemy – rozkazał MacAran nie komentując tych rewelacji. Planeta jest dzika,

ale cóż on może na to poradzić? Powiedział, że chętnie podejmie ryzyko, a teraz miał do tego okazję.

Dalsza droga odbyła się bez wypadków i około południa zatrzymali się, aby zjeść zabrany ze statku lunch i umożliwić Camilli Del Rey sprawdzenie czasomierza i możliwie jak najdokładniejsze wyznaczenie momentu południa.

Rafe podszedł bliżej, kiedy obserwowała niewielki kijek wetknięty w ziemię.

–Wytłumacz mi, co robisz?

–Chwila, kiedy cień jest najkrótszy, to południe. Notuję zatem co dwie minuty jego długość, a kiedy zacznie się znów wydłużać, południe – to znaczy słońce dokładnie na południku – znajdzie się w tym dwuminutowym odcinku czasu. Taka dokładność w stosunku do lokalnego południa całkowicie wystarczy dla naszych potrzeb. – Obróciła się ku niemu i spytała cicho: – Czy Judy i Heather naprawdę czują się dobrze?

–O tak. Ewen cały czas je obserwuje. Nie wiemy, jak długo potrwa, nim zielony kolor zacznie znikać, ale czują się doskonale.

–Omal nie wpadłam w panikę – przyznała. – Judy Lovat sprawiła, że wstydzę się sama siebie. Zachowała się tak spokojnie.

Zauważył, że „porucznik Del Rey”, „doktor Lovat”, „doktor MacLeod” ze statku, gdzie i tak niezbyt wielu przyjaciół spotykało się na prywatnym gruncie, niepostrzeżenie przeistoczyli się w Camillę, Judy i Maca. Odpowiadało mu to. W końcu mogą tu jeszcze posiedzieć jakiś czas. Mruknął pod nosem coś w tym stylu, po czym nagle rzucił:

–Czy wiesz może, jak długo potrwa naprawa?

–Nie mam pojęcia – odparła. – Kapitan Leicester mówi o sześciu tygodniach, jeśli w ogóle będziemy w stanie ją przeprowadzić.

–Jeśli?

–Oczywiście, że naprawimy statek – odparła szybko i ostro, odwracając głowę. – Musimy. Nie możemy tu pozostać.

Ciekaw był, czy przemawia przez nią realna ocena faktów czy optymizm, ale wolał się nie dopytywać. Kiedy znów się odezwał, były to jedynie banalne uwagi o jakości racji żywieniowych i słowa nadziei, że Judy znajdzie tu jakieś możliwości zdobycia pożywienia.

W miarę jak słońce powoli zbliżało się do odległych łańcuchów górskich, robiło się chłodniej. Zerwał się też silny wiatr. Camilla z obawą spojrzała na nadciągające chmury.

–Koniec obserwacji astronomicznych na dziś – mruknęła. – Czy na tej cholernej planecie co noc pada?

–Zdaje się, że tak – krótko odparł MacAran. – Może to tylko sprawa pory roku, ale

jak dotąd, przynajmniej w południe jest gorąco, potem przychodzi szybkie ochłodzenie, po południu chmurzy się, wieczorem pada deszcz, a około północy - śnieg. Rano zaś jest mgła.

–Te zmiany pogody chyba oznaczają – zauważyła marszcząc brwi – że jest wiosna. Pięciodniowe obserwacje to za mało. Dni jednak są coraz dłuższe, mniej więcej o trzy minuty każdy. Planeta ma chyba trochę większe pochylenie osi od Ziemi, co wyjaśniałoby gwałtowne zmiany pogody. Może jednak, kiedy śnieg przestanie padać i zanim mgła się podniesie, niebo przejaśni się na chwilę... – zamilkła zamyślona.

MacAran nie przeszkadzał jej. Zaczął rozglądać się za miejscem na obozowisko, bo poczuł na twarzy pierwszą falę drobnej mżawki. Lepiej znaleźć się pod dachem, nim mżawka przerodzi się w ulewę.

Znajdowali się na zboczu, u ich stóp rozpościerała się duża, niemal bezdrzewna dolina. Wprawdzie nie mieli zamiaru przez nią przechodzić, ale wydawała się taka przyjemna i zielona. Rozciągała się na dwie trzy mile na południe i MacAran zaczął rozważać niewielkie zboczenie z trasy, aby uniknąć problemów z obozowaniem pod drzewami. Wyglądało na to, że wśród wzgórz jest wiele takich właśnie niewielkich kotlinek, a przez tę w dodatku przepływało coś, co wyglądało jak wąska struga wody. Strumień? Potok? Może będą mogli uzupełnić swoje zapasy wody? Ledwie to zaproponował, a MacLeod natychmiast odparł:

–Oczywiście, trzeba sprawdzić wodę. Jednak bezpieczniej będzie, jeśli pozostaniemy pod osłoną drzew.

–Dlaczego?

MacLeod bez słów wskazał coś, co sprawiało wrażenie jak stada zwierząt. Nie widzieli ich zbyt wyraźnie, ale wyglądem i wzrostem przypominały małe kuce.

–Dlatego – rzekł MacLeod. – Wydają się spokojne, może nawet są udomowione.

Pasą się, więc nie są też mięsożerne. Nie chciałbym jednak znaleźć się na ich drodze,

jeśli coś je w nocy przestraszy i wpadną w panikę. Wśród drzew przynajmniej będziemy bezpieczniejsi.

Obok nich stanęła Judy.

–Ich mięso może się nadawać do jedzenia. Może dałoby się je udomowić, jeśli ktoś

kiedykolwiek skolonizuje tę planetę. To zaoszczędziłoby kłopotów z importem zwierząt rzeźnych i pociągowych z Ziemi.

MacAran obserwował powolny, płynny ruch stada po szarozielonej łące i przyszło mu do głowy, że to źle, jeśli człowiek patrzy na zwierzęta jedynie przez pryzmat własnych potrzeb. Do diabła, ja też w końcu zjadłbym dobry stek, czemuż więc miałbym prawić kazania? Może za kilka tygodni już nas tu nie będzie, a to stado zwierząt, obojętne jak się nazywają, na zawsze pozostanie w spokoju?

W nasilającej się mżawce rozbili na zboczu obóz, a Zabal zajął się rozpalaniem ogniska.

–O wschodzie słońca muszę wejść na szczyt i spróbować odnaleźć nasz statek - oznajmiła Camilla. – Będą zapalać światła, żeby ułatwić namiar.

–W tym deszczu nic nie zobaczysz – ostro zaprotestował MacAran. – Widoczność wynosi teraz około pół mili. Nie byłoby widać nawet bardzo silnego reflektora. Wejź pod plandekę, jesteś całkiem przemoczona!

Okręciła się na pięcie, żeby spojrzeć mu w twarz.

–Panie MacAran, czy mam panu przypominać, że pan mi nie może mi rozkazywać? Pan jest dowódcą grupy wywiadowczej, ja jestem tutaj po to, aby wykonywać moje obowiązki służbowe! – Odwróciła się i ruszyła w górę zbocza.

MacAran rzucił się w ślad za nią, przeklinając w czambuł wszystkie baby-oficerów.

–Odejdź! – prychnęła na niego. – Mam wszystkie przyrzady i poradzę sobie!

–Sama przed chwilą powiedziałaś, że jestem dowódcą grupy. Doskonale, a zatem jeden z moich rozkazów brzmi, że żaden członek grupy nie oddala się samotnie! Żaden. I obowiązuje to także pierwszego oficera na statku!

Spojrzała, ale już bez słowa, i ruszyła przed siebie, zaciągając wokół twarzy kaptur kurtki, aby ochronić się przed zimnym, zacinającym deszczem, który wzmagał się z każdą chwilą. Po chwili MacAran usłyszał, jak Camilla pomimo silnej latarki, którą oświetlała sobie drogę, pośliznęła się na kępie trawy. Dogonił ją i wziął pod ramię, a kiedy próbowała się wyrwać, fuknął:

–Nie bądź głupia, pani porucznik! Jeśli złamiesz nogę, będę cię musiał nieść przez

resztę drogi... albo zawrócić. Dwie osoby być może zdołają przejść tam, gdzie sama nie

dałabyś rady. No już, łap mnie za ramię.

Nie poruszyła się.

–Gdybyś była mężczyzną, nie bawiłbym się w prośby – warknął. – Po prostu wydałbym ci rozkaz!

Zaśmiała się krótko.

–W porządku – powiedziała i wzięła go pod ramię. Strumienie światła dwóch latarek igrały po mokrej ziemi, szukając drogi. Rafe słyszał szczęknięcie zębów Camilli,

ale dziewczyna nie skarżyła się ani słowem. Zbocze było coraz bardziej strome i pod koniec MacAran musiał wspinać się pierwszy i wciągać ją za sobą. Rozejrzała się wokoło, szukając punktu orientacyjnego.

–Może to tam? – mruknęła niepewnie, wskazując palcem przebijający przez strugi deszczu słaby odblask światła. – Kierunek wydaje się prawidłowy.

–Jeśli używają lasera, to tak. Laser może przebić się z tej odległości nawet przez deszcz.

Światło zamigotało, znikło na chwilę i znowu zabłysło.

–Chodź – rzekł MacAran. – Deszcz zaczyna przemieniać się w grad. Chodź, musimy zejść, zanim zjedziemy po lodzie!

Droga była stroma i śliska. Nagle Camilla pośliznęła się i stoczyła w dół, zatrzymując dopiero na pniu drzewa. Leżała tam, półprzytomna, dopóki MacAran nie zauważył jej w świetle latarki. Jęczała i szlochała, ale kiedy podał jej rękę, potrząsnęła głową i sama dźwignęła się na nogi.

–Poradzę sobie jakoś, dziękuję – mruknęła niechętnie.

Była wykończona i doszczętnie upokorzona. Całe życie wbijano jej do głowy, że praca na równych prawach z mężczyznami to jej obowiązek. W świecie, jaki знаła, świecie przycisków i maszyn, siła fizyczna nie miała większego znaczenia. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, iż jedyny wysiłek, jaki poznała, to ćwiczenia gimnastyczne w sali rekreacyjnej na statku lub stacji kosmicznej. A teraz nagle, nie wiadomo dlaczego, była zbyt słaba, żeby unieść własne ciało. Uznała, że niegodna jest

swojego wysokiego stanowiska. Oficer na statku powinien być bardziej sprawny niż jakiś cywil! Dreptała ostrożnie w dół zbocza, stawiając stopy z przesadną ostrożnością, a łzy zmęczenia i osłabienia zamarzały jej na policzkach.

MacAran podążał za nią, nieświadom zupełnie jej wewnętrznej walki, ale z pochylenia ramion i pleców odgadywał zmęczenie. Po chwili objął ją w talii.

–Powiedziałem ci już, że jeśli złamiesz nogę, będę cię musiał nieść – rzekł łagodnie. – Nie rób nam tego Camillo.

A po chwili wahania dodał:

–Pozwoliłabyś, żeby Jenny ci pomogła, prawda?

Bez słowa wsparła się na jego ramieniu. Pokierował jej niepewnymi krokami w

stronę słabego światła, przebłyskującego przez materiał namiotu. Gdzieś wysoko nad ich głowami, w gęstych koronach drzew, krzyknął nocny ptak, zagłuszając na chwilę łomot gradu. Poza tym panowała cisza, nawet odgłos ich kroków brzmiał obco.

Wewnątrz namiotu MacAran poczuł, że opada z sił. Z wdzięcznością przyjął od MacLeoda kubek parującej herbaty i ostrożnie przecisnął się do miejsca, gdzie Ewen rozłożył jego śpiwór. Popijając gorący płyn ocierał warstwę lodu z powiek i rzęs. Heather i Judy cicho cmokały na widok zmarzniętej twarzy Camilli i krzątały się po ciasnym namiocie, szukając dla niej suchego koca, podając gorący napój i pomagając wyplątać się z zeszywniałej kurtki.

–Co się tam dzieje? – mruknął Ewen. – Deszcz? Grad? Śnieżyca?

–Zdaje się, że wszystko naraz. Chyba mieliśmy szczęście i przyjemność zaplątać się w sam środek jakiejś burzy równikowej. Nie wyobrażam sobie, żeby tak mogło być przez cały rok!

–Macie swoje odczyty? – zapytał Ewen, a kiedy MacAran twierdząco skinął głową, dodał szybko: – Powinien był pójść jeden z nas. Pani porucznik naprawdę nie nadaje się do takiej wspinaczki. Ciekaw jestem, czy wiesz, po co to zrobiła?

MacAran z ukosa spojrzął na Camillę, która siedziała owinięta w koc i popijała gorącą herbatę, podczas gdy Judy wycierała jej splątane, mokre włosy.

–*Noblesse oblige* - mruknął niespodziewanie dla samego siebie.

–Wiem, co masz na myśli – skinął głową Ewen. – Przyniosę ci trochę zupy, którą

Judy wyczarowała z żelaznych racji. Dobrze jest mieć wśród siebie specjalistę od żywienia.

Byli zmęczeni i nie mieli nawet ochoty na rozmowę o tym, co dotychczas zobaczyli. Zresztą wycie wiatru i zacinaanie gradu zagłuszały ich słowa. W ciągu pół godziny wszyscy pochłonęli kolację i skryli się w śpiworach. Heather przytuliła się do Ewena, ułożyła głowę na jego ramieniu. MacAran, który leżał tuż obok, przyglądał się tym splecionym ciałom z niezrozumiałą zazdrością. Wydawali się tak bliscy sobie, choć niewiele to miało wspólnego z seksem. Mówił o tym każdy ich gest, każde przesunięcie ciała tak, aby ulżyć i pomóc drugiej osobie. Przypomniało mu to chwilę, kiedy Camilla oparła się o niego ramieniem i uśmiechnął się smutno w ciemności. Spośród wszystkich kobiet na statku ona jedna nie interesowała się nim w najmniejszym nawet stopniu, a on także jej serdecznie nie znosił. Cholera, nie mógł jednak nie podziwiać!

Leżał przez chwilę, całkiem przytomny, wsłuchując się w wycie wiatru w ciężkich koronach drzew, w trzask i huk, kiedy wichur zwałił jedno z nich. Boże! Gdyby spadło na namiot, zginęliby wszyscy na miejscu! W dziwne dźwięki, które mogły być szelestem i odgłosem zwierząt galopujących przez zarośla.

Po chwili zasnął niespokojnym, płytkim snem. Słyszał jęki i szepty MacLeoda, pojedynczy krzyk Camilli, wywołany zapewne jakimś koszmarem, ale po chwili znów zmęczenie go pokonywało. Dopiero nad ranem, gdy burza ucichła i deszcz przestał padać, zasnął jak zabity i jak przez mgłę docierały do niego jedynie odgłosy wydawane przez nieznane stworzenia i ptaki, wędrujące po nocnym lesie i odległych wzgórzach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jeszcze przed wschodem słońca obudziła go wstająca Camilla. W panującym w namiocie półmroku stwierdził, że dziewczyna usiłuje wcisnąć się w kombinezon. Cicho wysunął się ze śpiwora i podszedł do niej.

–Co się dzieje?

–Deszcz ustał i niebo jest czyste. Nim mgła się podniesie, chciałabym przeprowadzić kilka obserwacji nieba i analiz spektrograficznych.

–Jasne. Pomóc ci?

–Nie. Marco poniesie sprzęt.

W pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale wzruszył ramionami i wślizgnął się z powrotem do śpiwora. W końcu, co go to obchodzi? Camilla dała mu aż nadto wyraźnie do zrozumienia, że wie, co robi, i nie potrzebuje jego czujnego matkowania.

Mimo to nie mógł już zasnąć, dręczony jakimś niezrozumiałym niepokojem. Leżał w męczącym półśnie, słysząc odgłosy budzącego się lasu. Wśród drzew nawoływały się ptaki, niektóre łagodnie i słodko, inne ostro i chrapliwie. W zaroślach rozlegały się skrzeki i trzaski, a gdzieś z oddali dobiegał dźwięk, który dziwnie przypominał warczenie psa.

I nagle ciszę rozdarł straszliwy wrzask – wycie niezaprzeczalnie ludzkie, chrapliwy krzyk cierpienia i grozy, który zabrzmiał dwukrotnie i załamał się w przerażający, bulgocący jęk. Potem nastąpiła cisza.

MacAran, na pół rozebrany, wyskoczył z namiotu. Ewen wybiegł pół kroku za nim, a dalej reszta zaspanych, oszołomionych i wystraszonych uczestników wyprawy. Pobiegli w górę zbocza, skąd dobiegał głos wzywającej pomocy Camilli.

Jej sprzęt, ustawiony wcześniej na małej polance na szczycie wzgórza, leżał teraz porozrzucany. Na trawie, wijąc się i wydając nieartykułowane dźwięki leżał Marco Zabal. Był spuchnięty, a jego twarz wykrzywiał ohydny grymas. Camilla wściekle otrzepywała go dłonią okrytą rękawicą.

Ewen ukląkł przy skręcającym się Zabalu.

–Szybko, co się stało? – rzucił.

–Zwierzęta... podobne do owadów – szepnęła wyciągając drżące dłonie. Na

rękawicy leżał mały pomarańczowo-zielony zgnieciony stwór, nie dłuższy niż dwa cale, z zakrzywionym jak u skorpiona ogonem i przerażającymi „kłami”.

–Wszedł na ten pagórek, usłyszałam, jak krzyczy, a potem upadł...

Ewen wyciągnął apteczkę i szybko położył dłoń na sercu Zabala. Klęczącej obok Heather kazał rozciąć ubranie chorego. Twarz Marca była skurczona i z każdą chwilą bardziej sina, ramię spuchło mu okropnie. Był już nieprzytomny i jęczał w delirium.

Jakaś silna trucizna paraliżująca system nerwowy, pomyślał Ewen. Oddech był coraz słabszy, akcja serca coraz wolniejsza. Mógł tylko podać bardzo silny środek stymulujący i czekać – na wypadek, gdyby potrzebne było sztuczne oddychanie. Nie miał nawet odwagi podać czegokolwiek, co ulżyłoby cierpieniom Marca – niemal wszystkie środki przeciwbólowe zaburzyłyby oddychanie. Czekał więc, wsłuchując się poprzez stetoskop w nierówne bicie serca, dopóki nie stwierdził, że rytm staje się bardziej regularny. Podniósł głowę i przelotnie spojrzął na pagórek. Chciał zapytać Camillę, czy i ona została ukąszona, ale nie, choć dwa ohydne insekty zaczęły już się wspinać po jej ramieniu. Nakazał, aby wszyscy trzymali się z daleka od tego mrowiska, kopca termitów, czy jak tam to nazwać. Tylko przypadek uratował nas przed rozbiciem na nim namiotu w ciemności, pomyślał. MacAran i Camilla wracając też tylko cudem w nie nie wleźli... a może mrówki zasypiają pod śniegiem?

Minuty mijały. Zabal, który zaczął oddychać bardziej regularnie, pojękiwał z cicha, ale nie odzyskał przytomności. Wielkie, ociekające mgłą słońce powoli wznosiło się ponad otaczające ich wzgórza.

Ewen wysłał Heather do namiotu po resztę sprzętu medycznego. Judy i MacLeod zaczęli przygotowywać jakieś śniadanie, Camilla ze stoickim spokojem przeliczała te odczyty astronomiczne, które zdołała zebrać, zanim zaatakowały ich mrówki-skorpiony, jak tymczasowo ochrzcił stworzenia MacLeod. MacAran podszedł i stanął nad nieprzytomnym Zabalem.

–Będzie żył? – zapytał wciąż klęczącego przy chorym młodego lekarza.

–Nie wiem. Myślę, że tak. Nigdy nie leczyłem podobnego przypadku, z wyjątkiem jednego i jedyne w mojej karierze ukąszenia przez grzechotnika. Jedno jest pewne, dziś na pewno nie ruszy w dalszą drogę, nie wiem także, czy jutro będzie do tego zdolny.

–Może powinniśmy przenieść go do namiotu? – zaproponował MacAran. – Nie wiadomo, czy tu w trawie nie łązi więcej tych stworzeń.

–Jeszcze nie teraz. Może za kilka godzin.

MacAran z przerażeniem spoglądał na leżącego u jego stóp nieprzytomnego Marco. Nie powinni zwlekać zbyt długo, ale grupa była tak dobrana, że nie mógł pozwolić sobie na odesłanie do statku ani jednego człowieka.

–Musimy kontynuować wyprawę. Przeniesiemy Marco do namiotu, gdzie będzie bezpieczny, a ty zostaniesz, aby nad nim czuwać. Pozostali także mogą wykonywać swoje zadania tu, w okolicy: pobierać próbki ziemi, roślin i okazy zwierząt. Ja jednak muszę przeprowadzać obserwacje ze szczytu, a porucznik Del Rey także powinna dokonywać odczytów astronomicznych z możliwie największej wysokości. Pójdziemy tak daleko, jak tylko się da. Jeśli szczyt okaże się niedostępny, nie będziemy próbować. Przeprowadzimy wszystkie obserwacje, skąd będzie to możliwe, i wrócimy.

–Może lepiej byłoby poczekać i zobaczyć, czy nie zdołamy iść z wami? Nie wiemy, jakie jeszcze niebezpieczeństwa mogą kryć się w tym lesie...

–To kwestia czasu – oschle odparła Camilla. – Im szybciej dowiemy się, gdzie jesteśmy, tym szybciej zdołamy... – Nie dokończyła.

–Pewnie byłoby lepiej – zgodził się z Ewenem MacAran – ale droga może być bezpieczniejsza dla mniejszej grupy, może nawet dla jednej osoby. Szanse są i tak jednakowe. Lepiej jeśli zrobimy tak, jak powiedziałem.

Decyzja zapadła. Ponieważ Zabal, choć minęły już dwie godziny, nie wracał do przytomności, zanieśli go na zaimprovizowanych noszach do namiotu. Było nieco dyskusji na temat rozbitcia grupy, ale nikt nie opierał się zbyt stanowczo i MacAran mógł się przekonać, że już stał się przywódcą, którego słowo jest prawem. Zanim słońce znalazło się nad ich głowami, dokonano podziału zapasów i zdążyli przygotować się do drogi. Ze sobą mieli jedynie żywność, mały namiot awaryjny i instrumenty Camilli.

Nim wyruszyli, stanęli nad nieprzytomnym Zabalem, który wprawdzie zaczął jęczeć i rzucać się, ale nie odzyskiwał świadomości. MacAran czuł się podle, że zostawia go tylko w rękach Ewena, ale nie mógł zrobić nic innego. W końcu celem ich

wyprawy było zebranie jak największej ilości informacji o planecie, a Camilla powinna dokonać obserwacji, które pozwoliłyby na określenie położenia w Galaktyce.

Ale coś jeszcze nie dawało mu spokoju. Czyżby o czymś zapomniał? Nagle Heather zdjęła z siebie skafander i ciepły sweter, który miała pod spodem.

–Camillo, włóż to – poprosiła cicho. – Jest cieplejszy niż twój. Tam na górze będziecie mieli tylko ten mały namiocik!

Camilla zaśmiała się i potrząsnęła głową.

–Tu także będzie zimno – rzekła.

–Ale... – Twarz Heather była ściągnięta i pełna cierpienia. – Proszę, weź to. Nazwij mnie głupią, jak chcesz. Powiedzmy, że mam... przeczucie, ale proszę, weź to!

–Ty też? – sucho zaśmiał się MacLeod. – Pani porucznik, lepiej proszę to wziąć.

Myślałem, że tylko ja mam jakieś zwariowane przeczucia. Nigdy nie brałem ESP zbyt poważnie, ale kto wie, może na obcej planecie jest to jeden ze sposobów na przeżycie?

Przecież nie zaszkodzi pani wzięcie tych kilku ciepłych rzeczy?

MacAran zdał sobie sprawę, że jego dziwny niepokój także ma coś wspólnego z pogodą.

–Weź je, Camillo – rzekł. – Jeśli rzeczywiście są takie ciepłe. Ja także wezmę

kurtkę Zabala, a zostawię mu swoją. I, jeśli macie, zabrałbym jakieś zapasowe swetry.

Nie poświęcajcie się, ale rzeczywiście macie lepsze schronienie na wypadek śniegu niż

my, a poza tym na górze często bywa bardzo zimno.

Z zaciekawieniem przyglądał się MacLeodowi i Heather. Nigdy nie brał poważnie tego, co słyszał na temat ESP, ale jeśli dwoje ludzi z grupy czuło coś takiego, a i on czuł się jakoś dziwnie... może to po prostu sprawa podświadomego postrzegania czegoś, czego świadomie nie potrafili zarejestrować. W końcu nie potrzeba aż ESP, aby w górach, na obcej planecie o tak paskudnym klimacie przewidzieć burzę śnieżną!

–Dajcie jeszcze jakieś zapasowe koce – rzekł. – Mamy ich kilka. I ruszamy.

Zanim Heather i Judy skończyły pakowanie, odciągnął Ewena na krótką rozmowę w cztery oczy.

–Czekajcie tu na nas co najmniej osiem dni – rzekł. – Postaramy się co wieczór, o zachodzie słońca nadawać sygnały. Jeśli za osiem dni nie będzie ani nas, ani sygnału,

wracajcie na statek. Jeśli zdołamy wrócić, wszystko w porządku, ale jeśli nie –
przejmujesz dowództwo.

Ewen nie chciał pozostać sam.

–Co ja zrobię, jeśli Zabal umrze? – zapytał.

–Pochowasz go – odparł MacAran. – A cóż by innego? Obejrzał się i skinął na Camillę.

–Idziemy, poruczniku!

Opuścili polanę nie oglądając się. MacAran szedł równym krokiem, nie za szybko i nie za wolno.

W miarę, jak wspinali się wyżej, ziemia była coraz mniej porośnięta, rzadziej rosły drzewa i zaczęły się już pojawiać nagie skały. Pochylenie zbocza nie było zbyt duże, ale gdy zbliżyli się do szczytu góry, u stóp której obozowali, MacAran zarządził postój i krótki posiłek. Z miejsca, w którym stali, mogli dostrzec pomarańczowy kwadracik namiotu; z tej wysokości niewiele większy od plamki.

–Jak daleko zaszliśmy? – Camilla naciągnęła obramowany futrem kaptur skafandra.

–Nie potrafię określić. Pięć, może sześć mil na wysokość dwóch tysięcy stóp. Jak tam głowa? Boli?

–Trochę – skłamała dziewczyna.

–To tylko zmiana ciśnienia, zaraz się do niego – przyzwyczaisz – pocieszył ją. – Dobrze, że grunt wznosi się stopniowo.

–Trudno uwierzyć, że zeszłej nocy spaliśmy tam... tak daleko w dole – szepnęła nieco drżącym głosem.

–Za skarpy nie będzie go już widać. Jeśli masz zamiar się wycofać, stchórzyc, to twoja ostatnia szansa. Stąd w dwie godziny będziesz na dole.

–Nie kuś – wzruszyła ramionami.

–Boisz się?

–Oczywiście. Nie jestem idiotką. Ale nie stchórzę, jeśli ci o to chodzi. MacAran wstał, przelękając ostatnie kęsy.

–Idziemy zatem. Uważaj, gdzie stawiasz nogi, zaczynają się już skały.

Ku jego zaskoczeniu nie sprawiało jej trudności pokonywanie spiętrzonych gładów w pobliżu szczytu. Nie musiał jej pomagać, ani szukać łatwiejszej drogi. Ze szczytu rozciągała się rozległa panorama: jedna dolina z szeroką polaną, gdzie rozbili obóz, druga – gdzie leżał ich statek. Z tej odległości nawet przez silną lornetkę MacAran widział jedynie ciemną kreskę, która mogła być statkiem. Dużo lepiej widoczna była przecinka, którą zrobili, wyrabując drzewa na schronienia.

Oddał lornetkę Camilli.

–Pierwszy ślad człowieka na tym dziewiczym świecie.

–I mam nadzieję, że ostatni – odparła.

Chciał zapytać wprost, czy statek może zostać naprawiony, nie miał jednak czasu, aby o tym myśleć.

–Tam, pośród skał, jest strumień – rzekł – a Judy sprawdziła wodę już kilka dni temu. Na pewno bez kłopotu znajdziemy dość, aby napęlić nasze manierki, więc nie musisz się ograniczać.

–Mam bardzo sucho w gardle. Czy to może być efekt wysokości?

–Może. Na Ziemi nie weszlibyśmy tak wysoko bez odpowiedniego ekwipunku, ale tu stężenie tlenu w powietrzu jest większe. – MacAran ostatni raz spojrzął na pomarańczowy prostokąt namiotu widoczny w dole i przerzucił lornetkę przez ramię. – Cóż, następny szczyt będzie wyższy, więc lepiej ruszajmy. – Zauważył, że Camilla przygląda się małym, pomarańczowym kwiatuśkom, rosnącym w skalnej rozpadlinie. – Lepiej ich nie ruszaj. Nigdy nie wiadomo, co tu może kąsać.

Obróciła się z pomarańczowym kwiatkiem w palcach.

–Za późno – rzekła ze smutnym uśmiechem. – Jeśli mam paść trupem po zerwaniu kwiatka, lepiej będzie, jeśli dowiem się o tym teraz, a nie później. Nie jestem taka pewna, czy chcę żyć na planecie, gdzie niczego nie można dotknąć. – I nieco poważniej

dodała: – Musimy podjąć pewne ryzyko, Rafe, a nawet wtedy może nas zabić coś, o czym nigdy w życiu nie pomyślelibyśmy. Wydaje mi się, że powinniśmy po prostu podjąć wszystkie niezbędne środki ostrożności... i wierzyć w szczęście.

Po raz pierwszy od katastrofy zwróciła się do niego po imieniu; czuł, że wbrew własnej woli nieco złagodniał.

–Oczywiście, masz rację – rzekł. – Niewiele możemy zrobić, żeby mieć całkowitą pewność, chyba że zaczniemy chodzić w kombinezonach kosmicznych. A to byłaby paranoja. Gdybyśmy byli grupą Pierwszego Lądowania, wiedzielibyśmy, jakiego ryzyka nie należy podejmować, a tak rzeczywiście musimy liczyć na łut szczęścia. –
Zaczynało się robić gorąco, więc zdjął wierzchnią warstwę odzieży. – Ciekaw jestem, jak poważnie można brać przeczucia Heather dotyczące pogody?

Ruszyli na drugą stronę grzbietu skalnego. Po dwóch czy trzech godzinach poszukiwania przejścia odkryli małe, krystalicznie czyste źródło, tryskające ze skalnej rozpadliny, i napełnili manierki. Woda była czysta i słodka. MacAran zaproponował, żeby iść wzdłuż strumienia, będzie to z całą pewnością najkrótsza droga.

O zmroku zachodzące słońce zaczęły przesłaniać coraz gęstsze chmury.

Znajdowali się w dolinie, skąd nie mogli przesłać sygnału ani na statek, ani drugiej grupie. Nim rozbili namiot i MacAran zdołał rozpalić niewielkie ognisko, zaczął padać drobny deszczyk. Klnąc przeniósł więc ogień pod połę namiotu, licząc, że uchroni go przed deszczem. Udało mu się trochę podgrzać wodę, zanim gwałtowny podmuch zdławił niewielki płomień. Poddał się i wrzucił ususzone racje żywnościowe do ledwie ciepłej wody.

–Proszę bardzo – rzekł. – Niezbyt smaczne, ale jadalne i pożywne... przynajmniej mam taką nadzieję.

Camilla skosztowała i skrzywiła się, ale ku jego wielkiej uldze nie powiedziała ani słowa. Śnieg z deszczem zaciągał coraz mocniej, wcisnęli się więc do namiotu i starannie zaciągnęli połę. Wewnątrz było tak ciasno, że tylko jedno z nich mogło się położyć, drugie musiało siedzieć skulone – niestety, namioty awaryjne były jednoosobowe. MacAran już otworzył usta, aby wypowiedzieć jakąś kąśliwą uwagę na temat przytulnych warunków, ale spojrzał na ściągniętą twarz Camilli i zrezygnował. Wyplątał się z plecaka i skafandra, po czym zaczął rozwijać śpiwór.

–Mam nadzieję, że nie cierpisz na klaustrofobię – rzekł tylko.

–Oficerem na statku kosmicznym zostałam, kiedy miałam siedemnaście lat. Czy

mogłabym cierpieć na klaustrofobię? – W ciemności wyobraził sobie jej uśmiech.

Po tym stwierdzeniu żadne z nich nie miało już wiele do powiedzenia, raz tylko Camilla odezwała się w ciemność:

–Ciekawe, jak się czuje Marco? – Ale MacAran nie potrafił jej na to odpowiedzieć, a nie było sensu rozważać, jakim ułatwieniem byłaby obecność tak doświadczonego alpinisty jak Zabal.

Zanim zapadł w sen, zapytał jeszcze:

–Czy będziesz chciała wstać i spróbować zrobić jeszcze kilka odczytów z gwiazd?

–Nie, chyba zaczekam, aż będziemy na szczycie, jeśli tam w ogóle dojdziemy. Wkrótce jej oddech się wyrównał i MacAran uznał, że zasnęła. Przez chwilę leżał

bez ruchu, zastanawiając się, co jeszcze ich czeka. Na zewnątrz deszcz chłostał gałęzie drzew. Słysząc jakiś szelest, mogło to być przechodzące przez zarośla zwierzę lub podmuch wiatru. Spał czujnie, reagując na najmniejszy dźwięk. Raz czy dwa Camilla krzyknęła coś przez sen i MacAran natychmiast budził się, nasłuchując. Czyżby miała śladowe objawy choroby wysokościowej? Zawartość tlenu zawartością tlenu, ale szczyty są dość wysokie, a każdy kolejny wyższy od poprzedniego. Cóż, będzie musiała się przystosować albo i nie. Nim zasnął, pomyślał jeszcze, że to wspaniały temat dla

reżysera – mężczyzna z piękną kobietą na obcej planecie, pełnej niebezpieczeństw. Zdawał sobie sprawę, że pożąda Camilli – w końcu jest mężczyzną i człowiekiem – ale w takich okolicznościach seks był bodaj ostatnią rzeczą, jaka przyszyłaby mu do głowy. Może jestem za bardzo cywilizowany, z tą właśnie myślą zasnął, znużony całodzienną wędrówką.

Następne trzy dni były takie same jak pierwszy. Trzeciego wieczoru zanim jeszcze zaczął się deszcz, dotarli do wysokiej przełęczy, więc Camilla zmontowała teleskop i dokonała kilku pomiarów. MacAran ustawiał właśnie namiot, ale nie mógł się powstrzymać od zadania pytania:

–No i co? Wiesz już, gdzie jesteśmy?

–Nie jestem tego pewna. Wiem już, że to słońce nie jest żadnym ze znanych i wykazywanych na mapach, a jedyne konstelacje, jakie mogę zlokalizować z centralnych współrzędnych, są przesunięte w lewo. Podejrzewam, że jesteśmy tuż

poza spiralnym ramieniem Galaktyki. Patrz, jak mało tu gwiazd, nawet w porównaniu z Ziemią, a co dopiero z jakąś centralną planetą! Och, na pewno jesteśmy bardzo daleko od miejsca, gdzie mieliśmy dotrzeć! – Miała napięty, bezbarwny głos, a kiedy podeszła bliżej, nawet w mroku widział łzy na jej policzkach.

Bardzo chciał ją pocieszyć.

–Cóż, ale kiedy wyruszymy w dalszą drogę, będziemy wiedzieć, że odkryliśmy nową planetę, na której można żyć. Może nawet dostaniemy część znaleźnego...

–Ale to tak daleko... – urwała. – Czy możemy przesłać sygnał na statek?

–Zawsze można spróbować. Jesteśmy ponad osiem tysięcy stóp wyżej od nich i może nawet na linii wzroku. Masz tu lornetkę. Spróbujemy wyłapać ich sygnał świetlny. Oczywiście, mogą być zakryci jakimś zafałdowaniem terenu lub górą.

Objął ją ramieniem, nakierowując lornetkę. Nie cofnęła się.

–Czy masz zamiar na statek?

Podał jej dane, dziewczyna lekko przesunęła lornetkę, spoglądając na trzymany w dłoni kompas.

–Widzę światło... nie, to chyba błyskawica. Och, w końcu jakie to ma znaczenie? – Zniecierpliwiona odłożyła lornetkę. Czuł jej drzenie. – Ty lubisz takie otwarte przestrzenie, prawda?

–Tak, oczywiście – odparł. – Zawsze lubiłem góry. A ty nie?

Potrząsnęła głową. Jeden z czterech małych księżyców zabarwiał nocne powietrze bladą fioletową poświatą.

–Nie. Boję się gór – wyznała cicho. – Od chwili gdy ukończyłam piętnaście lat i zostałam wybrana do służby na statku kosmicznym, zawsze przebywałam albo na mostku, albo na stacji szkoleniowej. W ten sposób – głos zadrżał jej lekko – w ten sposób dostaje się czegoś w rodzaju... agorafobii.

–A mimo to zdecydowałaś się wziąć udział w tej wyprawie! – zawołał zdumiony MacAran.

Jego podziw i zaskoczenie odczytała jako krytykę.

–A któż inny mógłby iść? – zapytała ostro, odwróciła się i weszła do namiotu.

I znów, kiedy tylko przełknęli posiłek, tym razem gorący, bo nie było deszczu, który mógłby ugasić ognisko, MacAran długo leżał w ciemności. Zazwyczaj nocą można było słyszeć jedynie szelest deszczu i trzask chłostanych wiatrem gałęzi, tym razem las zdawał się tętnić dziwnymi dźwiękami i hałasami, jakby w jedną z niewielu pogodnych nocy wszyscy tajemniczy mieszkańcy zbudzili się do życia. Raz rozległo się dalekie wycie, które przypominało mu przesłuchiwane kiedyś na Ziemi nagranie o wymarłym leśnym wilku, potem dziwne, niemal kocie prychnięcie, niskie i chrapliwe, aż wreszcie przerażony krzyk jakiegoś małego zwierzątka. I cisza. Nagle, koło północy, rozległ się wysoki, upiorny wrzask, długi, przejmujący krzyk, który zdawał się przenikać go do szpiku kości. Brzmiał tak przerażająco podobnie do krzyku, jaki wydał z siebie Marco, kiedy zaatakowały go mrówki-skorpiony, że MacAran zbudził się i poderwał na nogi. Camilla, także wyrwana ze snu, usiadła przerażona. Krzyk rozległ się znowu i Rafe zdał sobie sprawę z tego, że żadna ludzka istota nie mogłaby wydać z siebie takiego dźwięku. Był to upiorny, zawodzący jęk, który wznosił się coraz wyżej, aż mieli wrażenie, że przechodzi w ultradźwięki. MacAran słyszał go jeszcze długo po tym, jak zapadła cisza.

–Co to było? – szepnęła Camilla, dygocząc na całym ciele.

–Bóg jeden wie. Przypuszczam, że jakieś zwierzę lub ptak.

Przeraźliwy wrzask, od którego mogły popękać bębenki w uszach, rozległ się jeszcze raz.

Camilla przysunęła się bliżej.

–To tak, jakby ktoś straszliwie cierpiał – mruknęła.

–Nie daj się ponieść wyobraźni. Nic o nim nie wiemy, to może być jego zwykły głos.

–Żadna żywa istota nie może wydawać takiego głosu – odparła stanowczo.

–Skąd to możesz wiedzieć?

–Jak możesz być tak spokojny? Oooh – jęknęła, gdy wrzask rozległ się znowu. – Wydaje mi się, jakby przenikał mnie do szpiku kości!

–Może tym dźwiękiem paraliżuje swoje ofiary – zastanawiał się MacAran. – Mnie też on przeraża... wiesz, gdybyśmy byli na Ziemi... moi przodkowie byli Irlandczykami i

gotów byłbym przysiąc, że to banshee starego Arrana przyszedł po mnie!

–Kiedy dowiemy się, co to jest, nazwiemy je banshee – zaproponowała Camilla i wcale nie żartowała. Gdy ohydny dźwięk rozległ się znowu, przycisnęła dłonie do uszu. – Uciszyć go! Uciszyć go!

MacAran uderzył ją lekko.

–To ty się ucisz, do cholery! Nie wiadomo, czy nie krąży gdzieś w pobliżu, taki duży, że mógłby pożreć mnie, ciebie i namiot. Siedzmy cicho i czekajmy, póki nie odejdzie.

–Łatwo ci mówić... – mruknęła Camilla i skrzywiła się, gdy upiorny krzyk banshee rozległ się znowu. Korzystając z ciemności przysunęła się bliżej i cichutkim głosem poprosiła: – Czy możesz wziąć mnie za rękę?

Poszukał jej dłoni. Była tak zimna, że zaczął delikatnie rozcierać palce, a kiedy dziewczyna oparła się o niego, lekko pocałował ją w skroń.

–Nie bój się. Namiot jest plastikowy i wątpię, czy smacznie pachniemy. Miejmy nadzieję, że to coś, to nasze banshee, zaraz złapie sobie jakąś smakowitą kolację i zamknie buzię.

Ponure wycie rozległo się znowu, tym razem nieco dalej i bez tej mroźnej krew w żyłach rozpaczy. MacAran poczuwszy, że dziewczyna mocniej opiera się o niego, delikatnie ułożył ją na pościeli, tak, aby głowa spoczywała na jego kolanach.

–Prześpij się lepiej – rzekł łagodnie.

–Dzięki, Rafe – szepnęła niemal niedosłyszalnie.

Kiedy zorientował się, że Camilla zasnęła, pochylił się i pocałował ją. Co za pomysł, żeby zaczynać cokolwiek w takiej chwili, zganił się w myśli, wściekły na siebie samego. Mieli zadanie do wykonania i nie było miejsca na nic osobistego. W każdym razie nie powinno być. Wiele jednak czasu upłynęło, zanim udało mu się zasnąć.

Rano wyszli z namiotu na zupełnie inny świat. Niebo było czyste, bez jednej chmurki, bez jednego pasemka mgły, a bezbarwna trawa pod ich stopami dosłownie na ich oczach pokrywała się kobiercem różnobarwnych kwiatów. MacAran nie był biologiem, ale obserwował już takie zjawiska na pustyniach i innych jałowych obszarach. Wiedział też, że na obszarach, na których panuje surowy, zmienny klimat

często rodzą się formy życia mające zdolność wykorzystania najmniejszej nawet korzystnej zmiany temperatury i wilgotności. Camilla była oczarowana

wielobarwnymi, niskimi kwiatami i owadami podobnymi do pszczoł, które uwijały się wokół nich. Była jednak już na tyle ostrożna, że nie próbowała im przeszkadzać.

MacAran patrzył przed siebie. Dalej, za wąską dolinką, przez którą płynął niewielki strumień, rozpościerały się zbocza wysokiego szczytu, który był ich celem.

–Przy odrobinie szczęścia jeszcze dzisiaj znajdziemy się na szczycie, a jutro, dokładnie w południe, będziemy mogli dokonać pomiarów. Znasz teorię – zrobić pomiary trygonometryczne odległości stąd do statku, obliczyć kąt cienia i obliczyć przybliżoną wielkość planety. Tysiąc lat temu, zanim wynaleziono wyższą matematykę, Archimedes lub ktoś inny zrobił coś takiego. A jeśli wieczorem nie będzie padać, może uda ci się przeprowadzić lepsze obserwacje z wysokości.

Uśmiechnęła się.

–Czy to nie cudowne, ile może działać jedna zmiana pogody? Czy wspinaczka będzie trudna?

–Nie sądzę. Jak mi się wydaje, będziemy mogli po prostu wspiąć się po zboczu. Widocznie na tej planecie skały zaczynają się wyżej niż gdziekolwiek indziej. Szczyty są skaliste i gołe, ale zaledwie tysiąc stóp niżej rośnie bujna roślinność. Jeszcze nie dotarliśmy do linii lodowca.

Kiedy wspinali się już na zbocze, MacAran czuł tak jak kilka dni temu entuzjazm. I co z tego, że to jakiś dziwny świat, ale i tak ma pod stopami górę, a przed sobą wyzwanie, jakim jest wspinaczka. Wejście było wprawdzie łatwe, bez skał i lodowych jęzorów, ale dzięki temu mógł swobodnie rozkoszować się górskim, czystym powietrzem i podziwiać rozległą panoramę. O rzeczywistości nie pozwalała mu jednak zapomnieć obecność Camilli i świadomość, że dziewczyna boi się otwartych przestrzeni. Obawiał się nawet, że będzie miał o to do niej żal, zwłaszcza gdy trzeba będzie pomagać na łatwych odcinkach, które sam pokonałby nawet z jedną nogą w gipsie, ale tak nie było. Wydawało mu się, że doskonale rozumie jej lęk i powolne zdobywanie coraz to nowych wysokości. Zatrzymał się kilka stóp poniżej szczytu.

–Jesteśmy. Stąd mamy doskonałą widoczność, a tam jest płaskie miejsce, gdzie możesz ustawić swój sprzęt. Zaczekamy do południa.

Spodziewał się, że Camilla okaże ulgę, tymczasem ona spojrzała na niego nieśmiało:

–Myślałam, że masz ochotę wejść na sam szczyt, Rafe. Idź, jeśli chcesz. Nie będzie

mi to przeszkadzało.

Już miał krzyknąć, że to żadna przyjemność wspinać się z przerażonym amatorem, ale zrozumiał, że nie powiedziałby prawdy. Zdjął plecak z ramion i uśmiechnął się, kładąc jej dłoń na rękę.

–To może poczekać – rzekł łagodnie. – Nie jesteśmy na wycieczce, Camillo, a to jest najlepsze miejsce, z którego możemy dokonać obserwacji. Czy ustawiłaś chronometr

tak, abyśmy mogli dokładnie określić południe?

Odoczywali na zboczu, siedząc obok siebie i spoglądając na rozciągające się w dole wzgórze i lasy. Piękne, pomyślał. Świat, który można pokochać, na którym można żyć.

–Czy myślisz, że kolonia Coronis też jest taka piękna? – zapytał od niechcienia.

–Skąd mam wiedzieć? Nigdy tam nie byłam. Poza tym, niewiele wiem o

planetach. Ta jednak jest piękna. Nigdy nie widziałam słońca takiej barwy, a te

cienie... – zamilkła, spoglądając w dół na koronkę zielonych i ciemnofioletowych cieni

w dolinach.

–Łatwo byłoby przyzwycząć się do nieba w tym kolorze – mruknął MacAran i

znowu zapadło milczenie.

Coraz krótsze cienie wskazywały, że słońce zbliża się do zenitu. Teraz, po wszystkich przygotowaniach, dokonywanie pomiarów wydało się nagle prawie niestosowne – rozkładanie stustopowego pręta aluminiowego, pomiar cienia dokładnie co do milimetra. Kiedy MacAran skończył i zabierał się do składania pręta, ograniczył się jedynie do stwierdzenia:

–Czterdzieści mil i osiemnaście tysięcy stóp wspinaczki tylko po to, żeby przez dwie minuty dokonywać pomiarów.

–I Bóg wie, ile lat świetlnych, żeby tu przybyć – wzruszyła ramionami Camilla. – Cała nauka jest taka, Rafe.

–Teraz pozostaje nam tylko czekać nadejścia nocy, żebyś mogła przeprowadzić swoje obserwacje.

Rafe złożył pręt i usiadł wśród skał, rozkoszując się przyjemnym ciepłem słońca. Camilla jeszcze przez chwilę kręciła się po obozowisku, po czym usiadła obok niego.

–Camillo, czy naprawdę uważasz, że zdołasz wykreślić pozycję planety? – zapytał MacAran.

–Mam nadzieję. Będę próbowała znaleźć znane zmienne cefeid, poobserwować je przez jakiś czas, a jeśli uda mi się z całą pewnością zidentyfikować trzy z nich, będę mogła obliczyć, gdzie się znajdujemy w stosunku do centralnego dryfu Galaktyki.

–Módlmy się zatem o jeszcze kilka jasnych nocy – odparł Rafe i zamilkł.

Camilla obserwowała, jak przygląda się skałom, znajdującym się przed nimi o niecałe sto stóp.

–Idź, Rafe. Wiem, że chcesz tam wejść. Idź, ja nie mam nic przeciwko temu.

–Nie? Nie będzie ci przeszkadzało, że zostaniesz sama?

–A kto ci powiedział, że zostanę tutaj? Myślę, że dam radę, a poza tym – uśmiechnęła się lekko – jestem równie jak ty ciekawa, co jest poza tym szczytem.

Rażno zerwał się z miejsca.

–Możemy zostawić tu właściwie wszystko oprócz manierek – stwierdził. –

Wspinaczka jest bardzo łatwa, prawdę mówiąc to tylko trochę bardziej stromy spacer.

Radość rozpierała mu serce, był szczęśliwy, że dziewczyna podziela jego nastrój. Poszedł przodem, szukając najłatwiejszej drogi i pokazując Camilli, gdzie ma stawiać stopy. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że ta wspinaczka, powodowana jedynie ciekawością, co jest po drugiej stronie, nie zaś potrzebą misji, jest nieco zbyt szalona -któż chciałby ryzykować złamanie nogi – ale nie mógł się powstrzymać. Wreszcie przebyli kilka ostatnich stóp i stanęli na szczycie. Camilla krzyknęła, trochę zaskoczona, trochę przestraszona. Wzniesienie, na którym stali, zasłaniało bowiem prawdziwy łańcuch górski, ogromny masyw, który wydawał się ciągnąć nieskończenie, aż po horyzont, otulony w wieczne śniegi, monsturalny, postrzępiony, pokryty zmarzliną. Poniżej wierzchołków leniwie płynęły blade, powolne chmury.

Rafe gwizdnął.

–Dobry Boże, Himalaje przy tym to kretowiska.

–Wydaje się, że nie mają końca. Prawdopodobnie nie zauważyliśmy go do tej pory, bo powietrze nie było zbyt czyste, za dużo chmur, mgły i deszczu. – Camilla potrząsnęła głową z podziwem. – To jak ściana dookoła świata!

–I to wyjaśnia wiele innych spraw – mruknął Rafe. – Choćby paskudną pogodę. Nic dziwnego, że ciągle pada deszcz albo grad, albo śnieg, albo coś jeszcze innego, jeśli powietrze przechodzi ponad tymi wiecznymi lodowcami! A jeśli są one przy tym tak wysokie, na jakie wyglądają... nie potrafię powiedzieć, jak są daleko, ale przy tak czystym powietrzu to może być ze sto mil... to wyjaśniałoby przechylenie osi tej planety... Na Ziemi Himalaje nazywa się trzecim biegunem. To naprawdę jest trzeci biegun, a na pewno trzecia czapa lodowa.

–Wolę jednak patrzeć w drugą stronę – odparła Camilla i odwróciła się w kierunku nieskończonych fałdów zielonofioletowych dolin i lasów. – Wolę, aby moje planety miały drzewa i kwiaty, nawet jeśli słońce jest barwy krwi...

–Miejmy nadzieję, że zobaczymy dzisiaj jakieś gwiazdy... i księżycy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ta pogoda jest wprost niewiarygodna – stwierdziła Heather Stuart, a Ewen stając w progu namiotu, odpowiedział jej łagodną drwiną:

–Co z twoją przepowiedzianą burzą śnieżną?

–Cieszę się, że się pomyliłam – odparła. – Rafe i Camilla są tam, na górze, i potrzebują dobrej pogody... Jest jednak w powietrzu coś, co mnie niepokoi – dodała i na jej twarzy pojawił się wyraz lekkiego zmieszania. – Wcale nie jestem taka pewna, że się myliłam. Jest coś dziwnego w tej pogodzie, coś, co napawa mnie lękiem. Wszystko wydaje się takie nie na miejscu!

–Wciąż bronisz honoru swojej babki-góralki i jej instynktu?

Heather nawet się nie uśmiechnęła.

–Nigdy nie wierzyłam w instynkt, nawet w górach. Teraz jednak nie jestem pewna. Jak się czuje Marco?

–Prawie bez zmian, choć Judy skłoniła go do wypicia odrobiny rosółu. Wydaje się, że jest trochę lepiej, ale puls wciąż jeszcze ma diabelnie nierówny. A właściwie gdzie jest teraz Judy?

–Poszła do lasu z MacLeodem. Kazałam jej obiecać, że nie oddali się poza kontakt wzrokowy z polanką. Dźwięk dochodzący z namiotu sprawił, że poderwali się oboje. Po raz pierwszy od trzech dni Zabal wydał z siebie inny dźwięk niż niezrozumiałe i nieartykułowane jęki. Ruszał się, usiłował usiąść.

–? *Qui paso? O Dio, mi dude... duele tanto...* - mruczał zdumionym, chrapliwym głosem.

Ewen pochylił się nad nim.

–Wszystko w porządku, Marco, jesteś w namiocie, jesteśmy przy tobie. Boli cię co?

Marco znów wymamrotał coś po hiszpańsku. Ewen bezradnie spojrział na Heather. Tylko potrząsnęła głową.

–Nie mówię po hiszpańsku. Camilla owszem, ale ja znam tylko kilka słów. Zanim jednak zdążyła odnaleźć w pamięci choć jedno z nich, Zabal mruknął:

–Też pytanie! Co to było za draństwo? Jak długo... gdzie Rafe? Ewen sprawdził

puls chorego, zanim odpowiedział:

–Nie próbuj siadać. Podłożę ci poduszkę pod głowę. Byłeś bardzo chory, myśleliśmy, że to już koniec.

A w myśli dodał ponuro: i wciąż nie jestem tego pewien. Zwinął swój zapasowy płaszcz i podłożył go pod głowę chorego. Heather próbowała tymczasem zachęcić Zabala do przełknięcia paru łyżek zupy. Nie umieraj, błagał w myśli Ewen, zbyt wielu ludzi już zginęło. Wiedział jednak, że w końcu i tak nie ma to znaczenia. Na Ziemi zazwyczaj umierali tylko starzy ludzie, tu... cóż, tu wszystko było inne. Cholernie inne.

–Nie męcz się mówieniem. Oszczędzaj siły, a my wszystko ci opowiemy.

Zapadła noc, wciąż cudownie jasna i czysta, bez mgły i deszczu. Nawet wyżej mgła nie opadała. Rafe ustawiał właśnie teleskop i inne przyrządy na płaskiej przestrzeni koło obozowiska, gdy ujrzał gwiazdy wschodzące nad szczytami, jasne i błyszczące, ale bardzo odległe. Nie odróżniłby zmiennej Cefeid od konstelacji, więc większość tego, co robiła Camilla, było dlań niezrozumiałe. Zapisywał jednak pod dyktando, starannie zasłaniając latarkę, by jej wzrok mógł przywyknąć do ciemności, długie łańcuchy liczb i współrzędnych. Po czasie, który jemu wydawał się nieskończenie długi, Camilla wyprostowała się i lekko przeciągnęła.

–Na razie tylko tyle mogę zrobić. Więcej danych zbiorę tuż przed świtem. Dalej żadnych śladów deszczu?

–Nie, na szczęście.

Zapach kwiatów unoszący się z niższych partii zbocza był słodki i upajający. Szybko zakwitające krzewy, obudzone do życia dwudniowym ciepłem i suszą, wprost eksplodowały kwieciami. Nieznane wonie przyprawiały chwilami o zawrót głowy. Zza góry wyrzał, ogromny, jasny księżyc, błyszczący bladym, perłowym światłem, a za nim, w niewielkiej odległości, drągi, pyszniący się jasnofioletową poświatą.

–Patrz, jaki księżyc – szepnęła.

–Który? – Rafe uśmiechnął się w ciemności. – Ziemianie przywykli mówić:

Księżyc. A tu może ktoś kiedyś nada im nazwy...

Siedzieli na suchej, miękkiej trawie patrząc, jak księżyce wyłaniają się z za gór i wypływają na niebo.

–Gdyby gwiazdy świeciły tylko raz na tysiąc lat, jakże ludzie zachwycaliby się

nimi! – zacytował Rafe w rozmarzeniu.

Camilla skinęła głową.

–Wystarczy dziesięć dni, a już zaczynam za nimi tęsknić.

Rozsądek podpowiadał Rafe'owi, że to szaleństwo tak siedzieć w ciemności. Wokół mogą się przecież czaić drapieżne ptaki lub zwierzęta, choćby ten nocny stwór o głosie banshee. Kiedy powiedział o tym, Camilla drgnęła, jakby otrząsała się ze złego czaru, i wstała.

–Masz rację. Poza tym muszę wstać przed świtem.

Rafe jakoś nie mógł się zmusić do wejścia w duszny mrok namiotu.

–W dawnych czasach panował przesąd, że niebezpiecznie jest spać w świetle

księżycy – rzekł. – Stąd pochodzi słowo lunatyk. Czy zasnąć pod czterema księżycami

oznacza czterokrotne niebezpieczeństwo?

–Nie, ale to byłoby... wariactwo* – odparła Camilla śmiejąc się łagodnie.

Rafe ujął ją za ramiona. Dziewczyna przez chwilę meła w ustach kąśliwą uwagę, z łękiem oczekując pocałunku. On jednak odwrócił się tylko i rzekł:

–A kto chce być zdrowy na umyśle? Dobranoc, Camillo, do zobaczenia nad ranem.

Noc na tej planecie o czterech księżycach była jasna. Banshee krążyły po zboczach,

nęcone ciepłem ciał swych ciepłokrwistych ofiar, paraliżując je przerażającym wrzaskiem. Nie przekraczały jednak granicy zmarzliny. W bezśnieżną noc wszystkie stworzenia ukrywające się wśród traw i kamieni były bezpieczne. Nad dolinami przelatywały ogromne, drapieżne ptaszyska, wciąż jeszcze nie znane Ziemianom stworzenia czaiły się w głębi ogromnego lasu, żyjąc i umierając. Drzewa padały na ziemię, ale ich trzasku nikt nie słyszał. Pod światłem księżyców, w niezwykajnym upale i suchości ciepłego wiatru, wiejącego znad śnieżnych szczytów, kwiaty otwierały się, rozsiewając zapach i pyłki. Nocne, przedziwne pąki o głębokim, upojnym aromacie...

Czerwone słońce wstało jasne i bezchmurne. Przypominało ogromny klejnot - czerwony rubin na tle nieba głębokiej barwy granatu. Camilla, która już od dwóch

nieprzetłumaczalna gra słów: lunatyzm oznacza w języku angielskim także

szaleństwo

godzin tkwiła przy teleskopie, usiadła i obserwowała wschód, odpoczywając po niedawno skończonej, nietrudnej, ale nużącej pracy.

–Powinniśmy już chyba wracać? Pogoda jest zbyt piękna, żeby mogła trwać długo – rzekła. – Przyzwyczałam się wprawdzie do gór w słońcu, ale nie mam ochoty przedzierać się przez lodowce.

–Racja, pakuj przyrządy. Wiesz, jak powinny być ułożone, a ja spakuję żywność i złożę namiot. Wyruszajmy, póki pogoda sprzyja... choć wygląda na to, że dzień będzie cudowny. Jeśli wieczorem też będzie ładnie, możemy zatrzymać się na jednym z tych wzgórz i rozbić obóz i będziesz mogła przeprowadzić dodatkowe obserwacje.

W ciągu czterdziestu minut zebrali się i wyruszyli w dół. Rafe z żalem raz jeszcze spojrzął na ogromny, nieznaną łańcuch górski, po czym odwrócił się doń plecami. Jego własne, nie odkryte góry, których pewnie już nigdy nie ujrzy.

Nie bądź taki pewien, usłyszał w mózgu przekorny głos, ale Rafe nie wierzył przecież w podświadomość.

Wdychał lekki zapach kwiatów, na pół zachwycony, a na pół zaniepokojony jego mdłą słodyczą. Najwięcej było tych małych, pomarańczowych, które Camilla zrywała poprzedniego dnia. Pojawił się jednak także ładny, biały kwiatek w kształcie gwiazdki ze złotym środkiem i ciemnobłękitny dzwonek, którego pręciki pokryte były lśniącym, złocistym pyłkiem. Camilla pochyliła się, wdychając korzenny zapach. Rafe pomyślał, że należałoby ją ostrzec.

–Pamiętasz, jak Judy i Heather zzieleniały? Jeśli i ty zmienisz barwę, będziesz miała nauczkę!

Śmiejąc się uniosła głowę. Jej twarz wydawała się złocista od pyłków.

–Gdyby miało mi się coś stać, już byłoby po wszystkim. Powietrze pełne jest zapachów, nie czujesz? Och, to takie piękne, takie cudowne! Sama czuję się jak kwiat,

mogłabym się upić nimi!

Stała nieruchomo, w zachwycie spoglądając na ciemnoniebieski dzwoneczek. Cała błyszczała od złotego pyłu. Jest pijana, pomyślał Rafe. Pijana kwiatami. Zsunął plecak z ramion, pozwolił, aby pakunek potoczył się na bok.

–Cała jesteś kwiatem – rzekł chrapliwym głosem.

Objął ją i pocałował. Uniosła twarz ku niemu, najpierw nieśmiało, potem z coraz większą namiętnością. Upadli na łąkę pełną rozfalowanego kwiecia; Camilla zerwała się pierwsza i pobiegła w stronę strumienia spływającego ze zbocza. Ze śmiechem zanurzyła w nim dłonie.

Co się z nami dzieje? myślał Rafe ze zdumieniem, ale była to tylko przelotna, szybko umykająca myśl. Smukłe ciało Camilli zdawało się migotać, zachodzić mgiełką. Zrzuciła ciężkie buty i grube skarpety, zanurzając stopy w wodzie.

Rafe pochylił się nad nią i oboje padli w wysoką trawę.

W obozowisku na zboczu Heather Stuart budziła się powoli, czując, jak słońce grzeje ją poprzez pomarańczową tkaninę namiotu. Marco Zabal drzemał w swoim kąciku z kocem narzuconym na głowę, ale kiedy spojrzała na niego, poruszył się i uśmiechnął.

–Ty też jeszcze śpisz?

–Pozostali są chyba na polance – stwierdziła otrząsając się. – Judy mówiła, że chce sprawdzić zawartość jadalnych węglowodanów w niektórych orzechach... wydaje mi się, że nie ma jej zestawów do testowania. Jak się czujesz, Marco?

–Lepiej – odparł i przeciągnął się. – Myślę, że może uda mi się dzisiaj wstać na chwilę. Coś jest w powietrzu i słońcu, że czuję się coraz lepiej.

–To wspaniale – stwierdziła.

Ona także uświadamiała sobie przedziwną lekkość i euforię, wywołaną przesyconym zapachami powietrzem. To chyba sprawa wyższej zawartości tlenu. Wyszła na zewnątrz, przeciągając się w słońcu jak kotka. W jej umyśle pojawił się obraz – wyraźny, natrętny i dziwnie podniecający – Rafe unoszący Camillę w ramionach...

–To uroczo – westchnęła głośno, głęboko w płuca wdychając przesycone zapachem kwiatów i niemal namacalnie złociste powietrze.

–Co jest urocze? Ty jesteś urocza – roześmiany Ewen wyłonił się zza namiotu. – Chodź, pójdziemy na spacer do lasu...

–Marco...

–Marco czuje się dużo lepiej. Czy zdajesz sobie sprawę, że przez wszystkie te dni zamieniliśmy zaledwie kilka słów?

Trzymając się za ręce pobiegli w stronę drzew. MacLeod, który wychodził właśnie z lasu, trzymał przed sobą dłonie wypełnione bladozielonymi owocami. Usta ociekały mu sokiem.

–Spróbujcie. Są wspaniałe.

Heather ze śmiechem zatopiła ząbki w gładkiej, okrągłej kulce, która natychmiast eksplodowała w jej ustach słodkim, pachnącym nektarem. Zjadła owoc i łakomie sięgnęła po następny. Ewen próbował ją odciągnąć.

–Heather, chyba oszalałaś, jeszcze nie zostały przetestowane...

–Ja je przetestowałem – zaśmiał się MacLeod. – Zjadłem z pół tuzina na śniadanie i czuję się cudownie! Możecie powiedzieć, że jestem wariat... jeśli chcecie. Wcale wam nie zaszkodzą, a do tego zawierają uderzeniową dawkę wszystkich witamin, jakie znamy na Ziemi oraz jeszcze paru innych. Wiem, co mówię!

Ewen poczuł nagle, że ogarnia go przedziwne uczucie pewności.

–Tak... – rzekł powoli. – Tak, one są dobre, tak samo jak te grzyby tutaj. – Wskazał szarawą masę rosnącą na pobliskim pniu. – Są pełne protein i zdrowe. Za to te – pokazał palcem pięknie ubarwione złociste orzeszki – są trujące. Dwa kęsy spowodują

ból brzucha, a pół kubka zabije... Skąd ja u licha wiem to wszystko? – Potarł dłonią czoło, czując pod palcami dziwne swędzenie. Wziął owoc z rąk Heather. – No i dobrze,

teraz wariujmy razem! Pycha! Lepsze niż te cholerne zapasy... gdzie Judy?

–Z nią wszystko w porządku – zaśmiał się MacLeod. – Idę poszukać więcej owoców!

Osamotniony Marco Zabal leżał w namiocie. Przymknął oczy i w półśnie marzył o baskijskim słońcu na wzgórzach kraju jego dzieciństwa. Wydawało mu się, że gdzieś daleko w lesie słyszy śpiew. Śpiew, który zdawał się wznosić coraz wyżej i wyżej, jasny, czysty i słodki. Podniósł się, nie troszcząc nawet o to, aby coś na siebie włożyć. Nie zwracał uwagi na ostrzegawcze walenie serca. Miał wrażenie, że otacza go niewiarygodne lśnienie piękna i szczęścia. Na łagodnym stoku słońce świeciło jasno, potężne, ciemne drzewa zdawały się zapraszać w cień, kwiaty błyszczały i mżyły złotym, niebieskim i czerwonym blaskiem. Barwy, jakich nie widział nigdy w

życiu, igrały teraz przed jego oczami.

Z głębi lasu dobiegał śpiew – niewiarygodnie słodki, przenikliwy dźwięk przypominający fletnię Pana, lirę Orfeusza, śpiew syren. Poczuł, jak jego słabość się ulatnia, wraca młodość.

Po drugiej stronie polanki ujrzał trójkę towarzyszy ze śmiechem tarzających się w trawie; dziewczyna palcami bosych stóp podrzucała w górę pęki kwiatów. Stał przez chwilę, zachwycony, na moment wplątany w sieć jej fantazji... *Jestem kobietą z kwiatów...* ale odległe głosy wciąż śpiewały, wabiły go. Tamci skinęli, aby się do nich przyłączył, ale on tylko posłał dziewczynie całusa i jak młodzieniec pobiegł w las.

Daleko przed sobą ujrzał błysk – ptak? nagie ciało? Nigdy się nie dowiedział, jak daleko odbiegł za złudą, w euforii, nie czując bólu, wołając w zachwycie i gniewie: „Zaczekaj! Zaczekaj!”

Pieśń wzniosła się wysoko, wypełniła mu umysł i serce. Łagodnie, bez bólu, upadł w słodko pachnącą trawę. Śpiew wciąż trwał i trwał, i nagle Zabał ujrzał pochyloną nad sobą jasną twarz. Długie białe włosy spływały w dół. Głos był zbyt słodki, zbyt boleśnie słodki, aby mógł należeć do człowieka, a włosy w ukośnych promieniach słońca, przesączających się przez drzewa, lśniły jak srebro. Upadł, szczęśliwy, radosny i pogrążył się w ciemności, unosząc pod powiekami obraz anielskiej i szalonej kobiecej twarzy.

Rafe biegł przez las z bijącym sercem, potykając się i padając na stromej ścieżce. Biegając krzyczał:

–Camillo! Camillo!

Co się stało? Leżała spokojnie w jego ramionach... potem nagle na jej twarzy pojawił się wyraz lęku. Zerwała się z wrzaskiem, bełkocząc coś o twarzach w chmurach, twarzach na niebie i ogromnych przepaściach czekających tylko na to, by pochłonąć, zmiążdżyć. A już w następnej chwili wyrwała mu się i z przerażającym krzykiem pobiegła w las.

Drzewa tańczyły i falowały mu przed oczami, wyciągały czarne szpony, chcąc go pochwycić, przewrócić, rzucić na wznak w ciernie, które orały mu ramiona i paliły jak ogień. Niebo przecięła błyskawica barwy bólu w jego ramieniu. Jakieś zwierzę przebiegło przez las, z trzaskiem torując sobie drogę. Poczuł, jak ogarnia go potworny, paraliżujący strach. Za chwilę wydawało mu się, że biegnie już cała gromada zwierząt, kopyta grzmią, grzmią o ziemię, miażdżą go... otoczył ramionami pień drzewa i przylgnął do niego całym ciałem. Łomotanie serca zagłuszało wszystkie inne myśli. Kora drzewa była miękka i gładka jak futro zwierzęcia; przytulił do niej rozpaloną twarz. Z drzew spoglądały na niego twarze... twarze... twarze...

–Camillo – wymamrotał, osunął się na ziemię i stracił przytomność.

W górze zbierały się chmury, mgła zaczęła się podnosić. Wiatr ucichł i spadł drobny, delikatny deszczyk, który wkrótce, schodząc stopniowo z gór w doliny, przerodził się w deszcz ze śniegiem. Kwiaty pozamykały kielichy, pszczoły i inne owady wróciły do gniazd w pniach drzew i zaroślach. Pyłek opadł na ziemię. Spełnił już swoje zadanie...

Camilla ocknęła się oszołomiona. Wokół panowała ciemność. Dziewczyna nie

pamiętała niczego poza tym, że uciekła z krzykiem, przerażona głębią przestrzeni międzygwiazdnej i pustki, jaka dzieliła ją od oszalałych gwiazd... Nie. To były majaki. Czy wszystko było majakami? Ostrożnie szła przed siebie w ciemności, aż wreszcie trud jej został nagrodzony – ujrzała przed sobą mdłe światełko. Podpełzła bliżej. Był to wylot jaskini. Wiało z niej lodowatym chłodem, a ona miała na sobie tylko cienką bawełnianą koszulkę i podarte, zmięte spodnie... nie, dzięki Bogu, miała również skafander, związany rękawami wokół szyi. To Rafe tak go zawiązał, kiedy leżeli obok siebie w trawie nad strumieniem.

Rafe... gdzie on jest? A właściwie, to gdzie ona jest? Ile z tych bezładnych, dzikich snów jest prawdą, a ile jej rozszalałą fantazją? Widocznie dostała gorączki, złapała jakieś choróbko, które się tu przyczaiło... Co za okropna planeta! Co za okropne miejsce! Ile czasu upłynęło? Dlaczego jest sama? Gdzie jej aparatura, plecak? Gdzie – i to było najbardziej palące pytanie – gdzie jest Rafe?

Wciągnęła skafander i zapięła pod samą szyję. Powoli dreszcze ustępowały, ale wciąż jeszcze była zmarznięta, głodna i czuła dziwne mdłości, a całe jej ciało pulsowało i piekło od drobnych zadrapań i siniaków. Czy Rafe pozostawił ją w tej jaskini, a sam poszedł po pomoc? Czy długo już tak leży w gorączce i majakach? Nie, gdyby tak było, zostawiłby jakąś wiadomość, licząc, że może odzyskać przytomność.

Patrzyła poprzez padający śnieg, usiłując się zorientować, gdzie jest. Ponad nią wznosiło się ciemne zbocze. Widać skryła się w jaskini w jakimś obłąkanym, obezładniającym przerażeniu, szukając ciemnego kąta, który dałby jej schronienie przed otwartą przestrzenią. Być może MacAran szuka jej właśnie. Mogą tak godzinami wędrować, mijając się o parę kroków wśród gęstej zawiei.

Rozsądek nakazywał jej usiąść i przeanalizować sytuację. Była ciepło odziana, mogła pozostać w jaskini aż do świtu. Ale jeśli MacAran także zgubił się gdzieś na zboczu? Czy panika, ten nagły lęk zaatakował ich oboje? A skąd przyszła wcześniej radość, ta rozkosz przyzwolenia... nie, o tym pomyśli później, nie teraz.

Gdzie mógłby jej szukać? Najlepiej byłoby wspiąć się na górę, w pobliże szczytu. Tak. Tam właśnie zostawili bagaże i było to jedyne miejsce, według którego mogli się

orientować, byle tylko śnieżycy ustała i weszło słońce. Wejdzie tam, a jeśli szczęście jej sprzyja, MacAran uczyni to samo. Jeśli jednak tak się nie stanie i sama przywita świt, wówczas będzie musiała udać się do obozu, gdzie pomogą jej inni... albo wrócić na statek.

Wspinała się w mroku i śnieżycy, macając grunt przed sobą, nim postawiła następny krok. W pewnym momencie zorientowała się, że weszła już na ścieżkę, którą dostali się tu wczoraj.

Tak. Właśnie tak. Czuła w sobie niezachwianą pewność. Ruszyła szybkim krokiem i już po chwili – co wcale jej nie zaskoczyło – spostrzegła w ciemności drgające światełko, rozbłyskujące na płatkach śniegu pomarańczowymi iskierkami. Tuż przed nią pojawił się MacAran i chwycił ją za obie ręce.

–Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? – zapytała.

–Przeczenie... albo coś w tym rodzaju – odparł. W mdłym blasku latarki widziała, jak śnieg osiada mu na brwiach i rzęsach. – Po prostu wiedziałem, Camillo... nie traćmy czasu i tak tego wszystkiego chyba nie pojmujemy. Czeka nas jeszcze długa wspinaczka do miejsca, gdzie pozostawiliśmy plecaki i aparaturę.

–Myślisz, że są tam jeszcze? – zapytała, z goryczą zaciskając usta na wspomnienie beztroski, z jaką odrzuciła swój plecak.

MacAran ujął ją za rękę.

–Chodź – rzekł łagodnie. – Potrzebujesz wypoczynku. Porozmawiamy później.

Odprężyła się, pozwalając, aby prowadził ją poprzez mrok. MacAran szedł obok

dziewczyny, dziwiąc się, skąd wiedział, gdzie jej szukać. Przecież ani przez moment nie wątpił, że w ciemności zdąży wprost do Camilli. Czuł ją gdzieś przed sobą. Nie potrafił tego inaczej określić, chociaż zdawał sobie sprawę, że brzmi to jak brednie szaleńca.

Odnaleźli namiocik rozstawiony w skalnej rozpadlinie. Camilla wsunęła się do środka, rada, że MacAran przygotował obozowisko i zaoszczędził jej szarpaniny w ciemności. Rafe za to był całkiem oszołomiony – kiedyż to zdołał ustawić namiot? Przecież rano, nim wyruszyli na szczyt, był tego pewien, złożyli go i spakowali do plecaka? Czy było to przed tym, czy po tym jak leżeli razem na brzegu strumienia? Dręczyła go niepewność, ale tłumaczył sam sobie – byliśmy odmienieni, szaleni, mogliśmy zrobić wszystko i nawet nie zdawać sobie z tego sprawy. A widok bagaży starannie poukładanych w namiocie uspokoił go ostatecznie.

–Boże, ależ mieliśmy szczęście. Mogliśmy stracić wszystkie nasze obliczenia...

–Czy mam zrobić coś do jedzenia, nim pójdziemy spać? Potrząsnęła głową.

–Nie przełknęłabym ani kęsa. Czuję się jak na prochach. Co nam się stało, Rafe?

–Sam się zastanawiałem. Nie wiedzieć czemu, czuł się dziwnie onieśmielony. –

Jadłaś coś w lesie... jakieś owoce, cokolwiek?

–Nie. Pamiętam, że miałam ochotę. Tak smacznie wyglądały, ale w ostatniej chwili... piłam za to wodę.

–To nie to. Judy sprawdzała wodę, a poza tym woda to woda. Odpada.

–Coś jednak musiało być... – zaproponowała.

–Z pewnością, nie mówmy jednak o tym dzisiaj. Moglibyśmy tak się zastanawiać godzinami, a i tak nie zbliżylibyśmy się do prawdy. – Zgasił latarkę. – Spróbuj zasnąć. Straciliśmy już cały dzień.

–Mam nadzieję, że Heather myliła się co do tej burzy śnieżnej – odezwała się jeszcze z ciemności.

MacAran nie odpowiedział. Pomyślał tylko: czy ona mówiła o burzy śnieżnej, czy ogólnie o pogodzie? Czy dziwaczny klimat mógł mieć coś wspólnego z dzisiejszymi wydarzeniami? Miał niezbyt przyjemne wrażenie, że odpowiedź na to pytanie znajduje się tuż-tuż. Mimo zmęczenia próbował ją uchwycić, w końcu zasnął, nie przestając jej ścigać...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Marco Zabala znaleźli w lesie po godzinie bezskutecznych poszukiwań i nawoływań. Leżał pod szarawym pniem nieznanego drzewa spokojnie, wyprostowany i już sztywny. Lekki śnieg okrył go grubym na ćwierć cala całunem, a obok klęczała Judith Lovat. Była tak blada i nieruchoma pośród wirujących płatków, że w pierwszej chwili ze zgrozą pomyśleli, że ona także nie żyje.

Nagle drgnęła i poruszyła się, spoglądając na nich nieprzytomnym wzrokiem. Heather uklękła obok, okryła pledem jej ramiona i cichymi słowami próbowała przywołać ją do rzeczywistości. Judy jednak milczała. Gdy MacLeod i Ewen przenosili ciało Marco do namiotu, Heather musiała ją prowadzić, jakby kobieta pozostawała pod wpływem narkotyku lub była w transie.

Mała ponura procesja wolno przedzierała się poprzez padający śnieg. Heather słyszała lub też wyobrażała sobie, że słyszy ich myśli: mroczną rozpacz Ewena... co ze mnie za lekarz, że leżę i figluję w trawie, podczas gdy mój pacjent w amoku ucieka i umiera... dziwne zakłopotanie MacLeoda, przeplecione z jej własną fantazją, jakaś stara bajka o wróżkach, którą zasłyszała w dzieciństwie. Bohater nie mógł mieć kobiety ani żony, ani z krwi i kości, ani z rodu wróżek, a więc stworzono dlań kobietę z kwiatów... to ja byłam kobietą z kwiatów...

W namiocie Ewen opadł na posłanie i zastygł w pozycji siedzącej, patrząc wprost przed siebie. Heather, bardzo zaniepokojona nie mijającym oszołomieniem Judy, podeszła i potrząsnęła nim.

–Ewen! Marco umarł, nie możesz już nic dla niego zrobić, ale Judy żyje! Chodź, zobacz, co z nią.

Z ponurą miną powłókł się za nią. Mroczne myśli otaczają go jak czarna chmura, pomyślała Heather i wzdrygnęła się. Ewen pochylił się nad Judith Lovat, sprawdził puls, bicie serca. Malutką latarką zaświecił jej w oczy, po czym zapytał:

–Judy, czy to ty ułożyłaś ciało Marco tak, jak je znaleźliśmy?

–Nie – odparła szeptem. – Nie ja. To był ten piękny... ten piękny. Początkowo myślałam, że to kobieta. Śpiewał jak ptak. I te oczy... te oczy...

Ewen odwrócił się z rozpaczą.

–Ona wciąż majaczy – oznajmił krótko. – Heather, spróbuj ją zmusić, żeby coś zjadła. Zresztą wszyscy potrzebujemy posiłku i to porządnego... w tej chwili

głównym

naszym problemem jest niski poziom cukru we krwi.

MacLeod uśmiechnął się smutno.

–Kiedyś dostałem z przemytu z Alpha porcję soczku szczęścia – wyznał. – Czułem się dokładnie tak samo. A właściwie, co nam się przydarzyło, Ewenie? Jesteś lekarzem, powinieneś wiedzieć.

–Bóg mi świadkiem, nie mam pojęcia – odparł zapytany. – Najpierw myślałem, że to owoce, ale zaczęliśmy je jeść dopiero później. Wodę pijemy już od trzech dni i nic się nie działo. W każdym razie ani Judy, ani Marco nie tknęli owoców.

Heather wcisnęła mu do ręki miskę gorącej zupy, po czym uklękła przy Judith, usiłując ją karmić, sama jednocześnie jedząc.

–Nie mam pojęcia, jak się to zaczęło – stwierdził MacLeod. – Wydawało mi się...

nie jestem pewien, ale to było coś w rodzaju zimnego wiatru, który przeniknął mnie na wskroś... jakby przewiewał mnie na wylot. I wtedy dowiedziałem się, że owoce są dobre i zjadłem jeden...

–Szaleństwo – sarknął Ewen, ale MacLeod dobrze wiedział, że młody lekarz przeklina jedynie własne zaniedbanie.

–Dlaczego? – zaproponował. – Owoce były dobre, inaczej już dawno wszyscy bylibyśmy chorzy.

–Nie mogę pozbyć się wrażenia, że to miało coś wspólnego z pogodą – rzekła Heather niepewnie. – Coś się zmieniło.

–Psychodeliczny wiatr – prychnął Ewen. – Wicher duchów, który na jakiś czas pozbawił nas rozumu!

–Wydarzyły się jeszcze dziwniejsze rzeczy – odparła Heather i zręcznie wlała jeszcze jedną łyżkę zupy między wargi Judy. Starsza kobieta wzdrygnęła się, zamruwała oczami.

–Heather? Jak się tutaj znalazłam?

–Przyprowadziliśmy cię, kochanie. Już wszystko w porządku.

–Marco... Widziałam Marco...

–Nie żyje – łagodnie odparł Ewen. – Pobiegł w las, kiedy wszyscy straciliśmy

przytomność. Nawet go nie zauważyłem. Jego serce nie wytrzymało. Ostrzegalem go

przecież, żeby nawet nie siadał.

–A więc to było serce? Jesteś pewien?

–Na to wygląda, trzeba by przeprowadzić sekcję. Przełknął resztkę zupy. W głowie powoli mu się przejaśniało, ale wciąż czuł się winny. Wiedział, że już nigdy nie uwolni się od tego.

–Powinniśmy porównać nasze odczucia, póki jeszcze mamy je świeżo w pamięci. Musi się znaleźć jakiś wspólny czynnik, coś, cośmy wszyscy zrobili, zjedli lub wypili.

–Lub wdychali – dodała Heather. – To musiało być coś w powietrzu, Ewen. Tylko troje spośród nas jadło owoce. Ty nic nie jadłaś, prawda, Judy?

–Jadłam coś szarego, z pnia drzewa...

–Z kolei my tego nawet nie dotknęliśmy – zaproponował Ewen. – Tylko MacLeod. Troje z nas jadło owoce, których nie jedli Marco i Judy. MacLeod jadł szare grzyby, ale my nie. Judy wachała kwiaty, a MacLeod je układał, ale ani ja, ani Heather tego nie robiliśmy, dopiero później. Troje z nas leżało w trawie... – zauważył, jak twarz Heather okryła się rumieńcem, ale ciągnął dalej – i obaj kochaliśmy się z nią, ale wszyscy troje mieliśmy halucynacje. Jeśli Marco wstał i pobiegł do lasu, mogę przypuszczać, że i on także majaczył. Jak to się zaczęło u ciebie, Judy?

Zapytana jedynie potrząsnęła głową.

–Nie wiem – wyznała. – Widziałam tylko... że kwiaty są bardziej jaskrawe, niebo... miałam wrażenie, że się rozpada w kawałki tęczy. Tęcze i pryzmaty. A potem usłyszałam śpiew, to chyba musiały być ptaki, ale nie jestem pewna. Poszłam tam, gdzie był cień, cały purpurowy, fioletowy i błękitny. A potem przyszedł on...

–Marco?

–Nie – potrząsnęła głową. – Był bardzo wysoki i miał srebrne włosy... Ewen przerwał jej ze współczuciem:

–Judy, miałaś halucynacje. Mnie się wydawało, że Heather jest cała z kwiatów.

–Cztery księżycy... widziałam je, chociaż niebo było jasne – dodała Judy. – Nie powiedział nic, ale wyraźnie słyszałam jego myśli...

–Zdaje się, że podobne złudzenie mieli wszyscy – wtrącił MacLeod. – Jeśli to tylko złudzenie.

–Na pewno – odparł Ewen. – Nie znaleźliśmy tu najmniejszego śladu innych form rozumnego życia. Zapomnij o tym, Judy – dodał łagodnie. – Zaśnij. Kiedy wrócimy na

statek... cóż, będzie trzeba przeprowadzić jakieś śledztwo. Zaniedbanie obowiązków,

brak dyscypliny to najmniejsze, co nam zarzucą. Ciekawe, czy będę mógł nas wybronić, stwierdzając czasową utratę zmysłów?

Przyglądał się, jak Heather układa Judy w śpiworze. Gdy starsza kobieta zasnęła wreszcie, odezwał się zmęczonym głosem:

–Musimy pochować Marco. Wolałbym przeprowadzić wcześniej sekcję, ale musielibyśmy go zabrać z powrotem na statek.

–To będzie okropnie głupio wyglądało, jeśli wrócimy i powiemy, że wszystkim nam odbiło jednocześnie. – MacLeod nie patrzył ani na Heather, ani na Ewena, gdy wymruczał: – Nigdy nie byłem zwolennikiem grupowego seksu.

–Musimy sobie wszystko przebaczyć – zdecydowanie stwierdziła Heather. – I zapomnieć o wszystkim. Stało się i koniec. Wygląda na to, że mogło się to przytrafić także i pozostałym. – Urwała, przerażona tą myślą. – Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby przytrafiło się to dwustu ludziom...

–Strach pomyśleć – wzdrygnął się MacLeod.

Ewen stwierdził, że masowy amok nie jest niczym nowym.

–Całe miasteczka były tym ogarnięte. Szaleństwo tańca w średniowieczu. Ataki furii spowodowane zepsutym ziarnem, z którego wyprodukowano chleb.

–Nie jestem pewna, czy zjawisko, które to spowodowało, wystąpiło również i w dolinach – powiedziała Heather.

–Podejrzewam, że to jeszcze jedno z twoich przeczuć – zauważył Ewen, ale już bez ironii w głosie. – W tej chwili wydaje mi się, że jeszcze zbyt świeżo mamy – wszystko w pamięci. Przestańmy teoretyzować i zaczekajmy na dowody.

–A czy to można zakwalifikować jako dowód? – zapytała Judy, zrywając się nagle z posłania. Byli pewni, że już śpi. Pogrzebała przez chwilę w kieszeni podartej bluzy i wyciągnęła niewielkie zawiniątko z liści. – Mówię o tym.

Podowała Ewenowi maleńki błękitny kamień przypominający gwiazdzisty szafir.

–Piękny – rzekł powoli. – Pewno znalazłaś go w lesie...

–Jasne – zgodziła się. – I to także.

Na jej wyciągniętej dłoni leżał jakiś przedmiot. Stłoczyli się, żeby go zobaczyć, i przez moment nie wierzyli własnym oczom. Był długi mniej więcej na sześć cali,

rękojeść zaś, rzeźbiona delikatnie choć bez ornamentów, wykonana była z czegoś, co przypominało kość. Ale całość nie budziła żadnych wątpliwości. Był to mały nóż z krzemienia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W ciągu dziesięciu dni nieobecności grupy wywiadowczej przecinka, na której leżał wrak, jakby się powiększyła. Wokół statku wyrosły dwa lub trzy nowe budyneczki, a część gruntu po jednej stronie polany zaorano i ogrodzono siatką. Tablica informowała: **ROLNICZY TEREN DOŚWIADCZALNY.**

–To ma chyba coś wspólnego z naszym pożywieniem – skomentował MacLeod, ale

Judith nie odpowiedziała. Ewen spojrzał na nią zaniepokojony. Od tamtego dnia

kobieta wydawała się dziwnie apatyczna, przynajmniej tak to określali, a Ewen bardzo

się o nią martwił. Nie był psychologiem, ale wiedział, że coś jest bardzo nie w

porządku. Cholera, wszystko poszło źle. Pozwoliłem, żeby Marco umarł, nie

potrafiłem przywrócić Judy do rzeczywistości...

Ich powrót pozostał niemal nie zauważony i przez moment MacAran poczuł ukłucie strachu. Gdzie się wszyscy podziali? Czyżby uciekli w obłędzie tego samego dnia? Kiedy wraz z Camillą dotarli do obozowiska, stwierdzili, że Heather, Ewen i MacLeod wciąż rozmawiają szeptem o konieczności wyjaśnienia czegoś. To były złe chwile. Jeśli na tej planecie czai się szaleństwo, gotowe w jednej chwili dopaść ich wszystkich, jak mają przeżyć? Jakie jeszcze okropności ich czekają? Teraz, patrząc na pustą przecinkę, MacAran doznał znów tego samego wrażenia. Nagle z ulgą spostrzegł grupkę ludzi w mundurach sekcji medycznej wychodzących z namiotu-szpitala, a nieco dalej kilku z załogi kierujących się w stronę statku. Odetchnął. Wszystko wyglądało normalnie.

Ale my przecież także wyglądamy normalnie...

–Co najpierw? – zapytał. – Składamy raport kapitanowi?

–Przynajmniej ja powinnam to zrobić – odparła Camilla.

Sprawiała wrażenie szczuplejszej, niemal wynędzniałej. MacAran chciał ująć ją za rękę i pocieszyć, ale nie był pewien, dlaczego. Od czasu kiedy leżeli objęci na zboczu góry, odczuwał nieodpartą potrzebę kontaktu, niemal zaborczej opiekuńczości, ona jednak za każdym razem odwracała się od niego, wracając do dawnej oschłości. MacAran czuł się zraniony i odrzucony, a nawet w jakiś sposób zagubiony. Nie miał odwagi jej dotknąć i to go irytowało najbardziej.

–Sądzę, że kapitan zechce zobaczyć się z nami wszystkimi – stwierdził. – Musimy

zdać raport o śmierci Marco i określić miejsce, w którym go pochowaliśmy. Poza tym

zebraliśmy wiele informacji, nie mówiąc już o krzemienym nożu.

–Tak, jeśli planeta jest zamieszkana, byłby to odrębny problem – mruknął

MacLeod, ale nie kontynuował swej myśli.

Kapitan Leicester wraz z załogą znajdował się we wnętrzu statku, ale czekający na zewnątrz oficer wyjaśnił, że dostał rozkaz przywołania dowódcy natychmiast po przybyciu ekspedycji. Czekali w małej kopule, nie wiedząc, o czym właściwie powinni powiedzieć.

Dowódca wszedł do kopuły. Mieli wrażenie, że się postarzał, na twarzy przybyło mu zmarszczek. Na jego widok Camilla wstała, ale dał jej znak, aby usiadła.

–Proszę zapomnieć o protokole, poruczniku – rzekł uprzejmie. – Wszyscy

sprawiacie wrażenie zmęczonych. Czy wyprawa była bardzo uciążliwa? Nie widzę

doktora Zabala.

–Nie żyje – cicho odezwał się Ewen. – Umarł od ukąszenia jadowitych owadów. Później złożę pełny raport.

–Złóż go szefowi sekcji medycznej – odparł kapitan. – Nie mam odpowiednich kwalifikacji, żeby zrozumieć. Pozostali mogą przynieść swoje raporty na następne zebranie... prawdopodobnie dziś wieczorem. Panie MacAran, czy udało się panu zebrać wszystkie dane, na których panu zależało?

MacAran skinął głową.

–Tak, tyle, ile było tylko możliwe. Planeta jest nieco większa od Ziemi, co przy

niższej grawitacji oznacza, że ma trochę mniejszą masę. Ale o tym możemy

porozmawiać później, teraz chciałbym zadać panu jedno pytanie: czy nie zdarzyło się

tu nic niezwykłego?

Pomarszczoną twarz kapitana wykrzywił grymas.

–Co to znaczy niezwykłego? Cała ta planeta jest niezwykła i niczego, co się tutaj dzieje, nie można określić jako normalne.

–Mam na myśli coś w rodzaju choroby lub masowego szaleństwa – przerwał mu Ewen.

Kapitan zmarszczył czoło.

–Nie mam pojęcia, o co może wam chodzić – mruknął. – Nie, nie było raportów z sekcji medycznej o żadnej chorobie.

–Doktor Ross ma na myśli atak, któremu wszyscy ulegliśmy. Coś w rodzaju delirium – wyjaśnił MacAran. – Było to w dniu po drugiej bezdeszczowej nocy i miało taki zasięg, że dotarło do nas, to znaczy porucznik Del Rey i mnie, kiedy znajdowaliśmy się na szczycie góry, – oraz pozostałych, obozujących sześć tysięcy stóp

poniżej. Wszyscy zachowywaliśmy się... hm... nieodpowiedzialnie.

–Nieodpowiedzialnie? – Kapitan zmierzył go ponurym spojrzeniem.

–Nieodpowiedzialnie. – Ewen zacisnął pięści i wytrzymał wzrok dowódcy. – Doktor Zabal czuł się już trochę lepiej. Wtedy właśnie my pobiegliśmy do lasu. Pozostawiliśmy go samego. On w szale wstał, pobiegł przed siebie i... po prostu jego serce nie wytrzymało. Umarł. Ale nikt z nas nie potrafił właściwie ocenić sytuacji, wszyscy jedliśmy nietestowane owoce i grzyby. Pojawiły się... różne formy złudzeń...

–Nie wszystko to były złudzenia – wtrąciła Judith Lovat.

Kapitan odetchnął głęboko, spazmatycznie.

–Trzeba tę sprawę przekonsultować z sekcją medyczną. Nie, tu nic takiego się nie pojawiło. Proponuję, żebyście wszyscy złożyli raport właściwym dowódcom albo napisali je i przedstawili na dzisiejszym zebraniu. Poruczniku Del Rey, pani raport chciałbym usłyszeć osobiście. Z pozostałymi porozmawiam później.

–Jeszcze jedno, kapitanie – zatrzymał go MacAran. – Ta planeta jest zamieszкана.

Wyciągnął z plecaka krzemienisty nóż i podał go dowódcy, kapitan jednak ledwie raczył nań spojrzeć.

–Proszę go dać majorowi Frazerowi, jest w sztabie antropologów. Proszę mu przekazać, że wieczorem chcę mieć raport. A teraz, jeśli państwo pozwolicie...

MacAran czuł się dziwnie zawiedziony, zostawiając Camillę z Leicesterem. Gdy szukał po całym obozie antropologa Frazera, nagle zdał sobie sprawę, że to po prostu zazdrość. Jak mógł rywalizować z kapitanem Leicesterem? Och, co za bzdury, kapitan mógłby być ojcem Camilli. Skąd pomysł, że dziewczyna jest w nim zakochana? Nie. Ale jest związana emocjonalnie, a to jeszcze gorzej.

Jeśli nawet rozczarował go brak reakcji kapitana na widok krzemienistego noża, zachowanie majora Frazera w pełni mu to wynagrodziło.

–Od samego lądowania powtarzam, że ta planeta nadaje się do zasiedlenia – mrucał, obracając nóż w dłoniach. – A to wystarczający dowód, że jest zamieszkana. Z

trzech czy czterech innych planet też mamy raporty o formach rozumnego życia.

Stwierdzono istnienie jednej rasy małpopochodnej, jednej spokrewnionej z kotami i trzech nie sklasyfikowanych... zresztą ksenobiologia nie jest moją najmocniejszą stroną. Jeden artefakt niewiele nam mówi. W końcu na ileż sposobów można wykonać nóż? Chociaż ten akurat dość dobrze pasuje do ludzkiej dłoni... no, może jest

trochę za mały.

Posiłki dla załogi i pasażerów podawano w jednym pomieszczeniu i MacAran miał nadzieję, że zobaczy tam Camillę. Dziewczyna spóźniła się jednak i od razu dołączyła do grupy członków załogi. MacAran nie mógł nawet pochwycić jej wzroku czuł, że dziewczyna go unika. Ponury spożywał swoją rację żywnościową, kiedy do stolika przysiadł się Ewen.

–Rafe, chcę, żebyśmy wszyscy zjawili się na zebraniu sekcji medycznej, jeśli nie masz nic innego do roboty. Próbują się dowiedzieć, co nas spotkało.

–Ewen, czy rzeczywiście uważasz, że to coś da? Przecież omówiliśmy rzecz na

wszystkie możliwe sposoby.

Ewen wzruszył ramionami.

–Cóż, nie do mnie należy osąd, co jest potrzebne, a co nie – mruknął. – Nie podlegasz władzy sztabu medycznego, ale i tak...

–Bardzo cię atakowali o śmierć Zabala? – zagadnął MacAran.

–Właściwie nie. Heather i Judy potwierdziły, że wszyscy byliśmy nieprzytomni, ale chcą także twojego raportu. Chodzi im o to, co możesz powiedzieć na temat Camilli.

MacAran wzruszył ramionami i podążył za Ewenem.

Zebranie sekcji medycznej zwołano w kącie namiotu szpitalnego, który był teraz prawie pusty. Ciężej ranni poumierali, pozostali wrócili już do służby. Raportu miało wysłuchać czterech wykwalifikowanych lekarzy, pół tuzina pielęgniarek i kilka osób spośród personelu naukowego.

Po wysłuchaniu oświadczenia wszystkich czterech uczestników wyprawy po kolei, szef sekcji medycznej, dystyngowany, siwowłosa mężczyzna o nazwisku Di Asturien powiedział niezbyt pewnym głosem:

–Wygląda to na jakąś infekcję przenoszoną przez wiatr. Prawdopodobnie wirus.

–Ale w próbkach powietrza nie znaleźliśmy nic takiego – sprzeciwił się MacLeod. – To przypominało raczej efekty działania narkotyku.

–Narkotyk przenoszony przez wiatr? Mało prawdopodobne – mruknął Di

Asturien. – Chociaż należy wziąć pod uwagę także efekt afrodyzjaku. Czy dobrze rozumiem, że odczuliście wszyscy pewną stymulację seksualną?

–Już o tym mówiłem – odparł Ewen. – Mam wrażenie, że wszyscy troje byliśmy pod jego działaniem... panna Stuart, doktor MacLeod i ja. O ile wiem, doktor Zabal nie, ale on był w ciężkim stanie.

–A pan, panie MacAran?

Rafe poczuł się dziwnie zakłopotany, ale napotkał zimny, niemal kliniczny wzrok Di Asturiena.

–Także – wykrztusił. – Może pan zapytać porucznik Del Rey, jeśli pan chce.

–Hmm. Jeśli się nie mylę, panie Ross, pan i panna Stuart tak czy inaczej jesteście parą, myślę więc, że możemy was pominąć. Jednakże pan MacAran i porucznik...

–Interesuję się nią – spokojnie wtrącił MacAran i dodał. – Niestety, nie jest to

jednak uczucie odwzajemnione. Określiłbym jej nastawienie nawet jako... wrogie,

poza tym momentem, kiedy... to się zdarzyło.

Wykrztusił to wreszcie. Camilla zwróciła się ku niemu nie jako kobieta, której zależy na mężczyźnie, to tylko sprawa wirusa, narkotyku, czegoś, co – obojętnie jak to nazwać, co – odebrało im zmysły. Dla niego była to miłość, a dla niej jedynie szaleństwo, którego teraz żałuje.

Ku jego wielkiej uldze szef sekcji medycznej nie drążył dalej tego tematu.

–Doktor Lovat?

Judy nie podniosła wzroku.

–Nie mogę powiedzieć – szepnęła. – Nie pamiętam. To, co wydaje mi się, że pamiętam, może być tylko halucynacją.

–Wolałbym, żeby pani współpracowała ze mną, doktor Lovat – naciskał Di Asturien.

–Wolałabym nie. – Judy zaczęła obracać w palcach coś, co leżało na jej kolanach, i żadne perswazje nie zdołały jej zmusić do dalszych wyznań.

–Za mniej więcej tydzień muszę zatem zbadać wszystkie trzy panie pod kątem możliwej ciąży – oznajmił Di Asturien.

–Czy to konieczne? – zdziwiła się Heather. – Ja przynajmniej biorę regularnie

zastrzyki antykoncepcyjne. Nie wiem, jak jest z Camillą, ale podejrzewam, że regulamin wymaga tego samego od wszystkich kobiet należących do załogi w wieku od dwudziestu do czterdziestu pięciu lat.

Di Asturien był wyraźnie zakłopotany.

–To prawda – przyznał. – Jednakże wczoraj na zebraniu zespołu odkryliśmy coś szczególnego. Siostró Raimondi, proszę wyjaśnić.

–Zajmuję się rejestracją i wydawaniem środków antykoncepcyjnych i

higienicznych dla wszystkich kobiet w wieku menstruacyjnym – oświadczyła Margaret

Raimondi. – Zarówno dla załogi, jak i pasażerów. Wszyscy znamy przepisy: co dwa tygodnie, w czasie menstruacji i dwa tygodnie po niej, każda kobieta zgłasza się albo

po pojedynczy zastrzyk hormonalny, albo, w niektórych przypadkach, po plasterek wprowadzający do krwi niewielkie ilości hormonów wstrzymujących owulację.

Katastrofę przeżyło dokładnie sto dziewiętnaście kobiet w odpowiednim przedziale wiekowym, co przy średnim cyklu trzydziestu dni oznacza, że codziennie powinny zgłaszać się przynajmniej cztery kobiety, czy to po środki higieniczne, czy po zastrzyk,

czy plasterk, który daje się w czwartym dniu od rozpoczęcia menstruacji. Od

katastrofy minęło dziesięć dni, tak więc mniej więcej jedna trzecia kobiet powinna zgłosić się do mnie z jednego lub drugiego powodu. Powiedzmy: czterdzieści.

–I nie zgłosiły się – dokończył Di Asturien. – Ile kobiet zgłosiło się do pani od dnia katastrofy?

–Dziewięć – ponuro odpowiedziała siostra Raimondi. – Dziewięć. Oznacza to, że u dwóch trzecich kobiet cykl menstruacyjny uległ rozstrojeniu – na skutek zmian grawitacji lub jakiegoś zaburzenia hormonalnego. A ponieważ standardowe środki antykoncepcyjne, które stosujemy, są dostosowane do cyklu wewnętrznego, nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy są w dalszym ciągu skuteczne.

MacAran doskonale rozumiał, jak poważna jest sytuacja. Ciężce w tej sytuacji mogły doprowadzić do tragedii. Niemowlęta a nawet małe dzieci nie były w stanie znieść podróży statkiem międzygwiazdowym o napędzie nadświetlnym, jednocześnie powszechność niezawodnych środków antykoncepcyjnych i prawa populacyjne na przeludnionej Ziemi sprawiły, że aborcja była czymś niemal nieznanym. Niechciane dzieci po prostu nigdy nie zostawały poczęte. Czy tutaj jednak istnieje jakakolwiek alternatywa?

Doktor Di Asturien odezwał się znowu:

–Oczywiście, na nowych planetach kobiety przez kilka pierwszych miesięcy często są bezpłodne, szczególnie z powodu zmian powietrza i grawitacji, ale nie możemy na to liczyć.

Jeśli Camilla jest w ciąży, myślał MacAran, czy mnie znienawidzi? Myśl, że ich dziecko mogłoby zostać zabite, napawała go przerażeniem.

–Co teraz zrobimy, doktorze? – trzeźwo zapytał Ewen. – Nie możemy żądać, aby setka zdrowych, dorosłych mężczyzn i kobiet złożyła śluby czystości!

–Oczywiście, że nie – odrzekł Di Asturien. – Musimy jednak ostrzec wszystkich, że nie jesteśmy już pewni naszych środków antykoncepcyjnych.

–Rozumiem. I to jak najszybciej.

–Kapitan zwołał walne zebranie na dziś wieczór – stwierdził doktor. – Załoga i

wszyscy koloniści. Może więc ogłosimy tę wiadomość. – Posmutniał nagle. – Nie wiem,

jak zostanie przyjęta. Cholernie, paskudnie niepopularna informacja. Jakbyśmy nie mieli dość innych problemów!

Walne zebranie odbyło się w namiocie szpitalnym, ponieważ tylko tu mogli się zmieścić wszyscy naraz. Od południa chmurzyło się, wieczorem, kiedy ludzie zaczęli się schodzić, padał już drobny deszczyk, a na szczytach gór można było dostrzec odległe błyskawice. Członkowie ekspedycji siedzieli razem z przodu, ale nie było wśród nich Camilli. Przyszła z kapitanem Leicesterem i resztą załogi. MacAran zauważył, że wszyscy mieli na sobie galowe mundury. Sam nie wiedział dlaczego, ale uznał to za zły znak. Dlaczego próbują podkreślić w ten sposób swoją solidarność i władzę?

Elektrycy przygotowali nagłośnienie i rozwiesili prymitywne megafony, toteż głos kapitana, niski i nieco ochrypy, słychać było w całym pomieszczeniu.

–Poprosiłem, abyście dziś przyszli – mówił kapitan – zamiast poinformować o

wszystkim waszych dowódców, ponieważ w tak dużej grupie nietrudno o plotki, które

rychło mogą wymknąć się spod kontroli. Po pierwsze, dobre informacje, jakie mam do

przekazania. Tak jak się tego spodziewaliśmy, powietrze i woda na tej planecie są

nieszkodliwe dla człowieka, a ziemia prawdopodobnie przyjmie przywiezione przez nas nasiona, które wzbogacą nasze pożywienie w czasie, w którym będziemy musieli

tu pozostać. A teraz coś, co już nie jest dobrą nowiną: uszkodzenia układów napędowych statku i komputerów są znacznie poważniejsze, niż sądziliśmy na początku i nie istnieje możliwość natychmiastowej lub szybkiej naprawy. Chociaż teoretycznie wzniesienie się w powietrze byłoby możliwe, to biorąc pod uwagę to, czym dysponujemy, nie istnieje taka szansa...

Zawiesił głos i natychmiast w pomieszczeniu rozległ się gwar głosów przerażonych, zaskoczonych i oszołomionych ludzi.

–Nie twierdzą, że powinniśmy porzucić nadzieję – ciągnął kapitan – ale w obecnej sytuacji nie jesteśmy w stanie naprawić statku. Aby statek mógł wzbić się w przestworza, konieczne są zasadnicze zmiany w naszym obecnym oprzyrządowaniu.

Prace te przewiduje długoterminowy projekt, wymagający pełnej współpracy każdego

mężczyzny i każdej kobiety znajdujących się w tym pomieszczeniu.

Milczenie. MacAran zaczął się zastanawiać, co kapitan ma na myśli. Co właściwie chciał powiedzieć: czy statek można naprawić, czy nie?

–Może to zabrzmieć jak paradoks – ciągnął kapitan – ale nie posiadamy materiałów, za pomocą których moglibyśmy dokonać naprawy. Tym niemniej mamy wiedzę potrzebną, aby tego dokonać. Mamy też do dyspozycji nie zbadaną planetę, na

której na pewno znajdziemy surowce. Możemy zbudować sprzęt i części potrzebne do naprawy.

MacAran zmarszczył brwi, ciągle zastanawiając się, co to właściwie ma znaczyć.

Kapitan Leicester mówił dalej:

–Wielu z was, ludzi wybierających się do kolonii, posiada umiejętności, które tam byłyby niezbędne, a tutaj nie są potrzebne. W ciągu jednego, dwóch dni zorganizujemy dział kadr, który przeprowadzi inwentaryzację całej wiedzy, jaką dysponujemy. Niektórzy z was, którzy zarejestrowali się jako farmerzy lub rzemieślnicy, zostaną przydzieleni do naszych naukowców lub konstruktorów w celu

przeszkolenia. Żądam pełnego zaangażowania.

Gdzieś z tyłu podniósł się Moray.

–Czy mogę o coś zapytać, kapitanie?

–Proszę.

–Czy chce pan powiedzieć, że dwustu ludzi, którzy znajdują się w tym

pomieszczeniu, jest w stanie w ciągu pięciu do dziesięciu lat stworzyć kulturę

technologiczną zdolną do zbudowania lub odbudowy statku międzygwiazdowego? Że

możemy odkryć metale, wydobyć je, a potem zbudować niezbędny sprzęt?

–Przy pełnej kooperacji ze strony wszystkich znajdujących się tu osób można tego dokonać – spokojnie – odparł kapitan. – Sądzę, że zajmie to od trzech do pięciu lat.

–Jest pan niespełna rozumu – równie spokojnie stwierdził Moray. – Żąda pan od nas stworzenia nowej cywilizacji technicznej!

–To, co człowiek już raz zrobił, może zrobić powtórnie. – Leicester był

niewzruszony. – Przypominam panu również, Moray, że nie mamy innego wyjścia.

–Bzdury!

–Zachowuje się pan niewłaściwie – surowo zganiał go kapitan. – Proszę wrócić na miejsce.

–Nie, do cholery! Jeśli pan sądzi, że można tego dokonać, to mam prawo uważać, że jest pan całkowicie obłąkany! – rzucił Moray – A może mózg konstruktora czy

pilota działa do tego stopnia inaczej niż mózg zwykłego człowieka, że porozumienie się jest niemożliwe. Powiedział pan, że zajmie to trzy do pięciu lat. Czy z całym szacunkiem, mogę przypomnieć panu, że nasze zapasy żywności i lekarstw wystarczą mniej więcej na rok, najwyżej na osiemnaście miesięcy? Czy mogę także przypomnieć panu, że nawet teraz, kiedy lato jest już blisko, klimat jest tu ostry i zmienny, a nasze schronienia niewystarczające? Zima na tej planecie, przy takim jak tu kącie nachylenia osi, może być znacznie brutalniejsza niż wszystko, co kiedykolwiek przeżył mieszkaniec Ziemi!

–Czy to nie dowód, że powinniśmy wynieść się stąd najszybciej, jak to będzie możliwe?

–Nie, to oznacza tylko, że musimy znaleźć źródła pożywienia i schronienie - odparował Moray. – W tę stronę musimy skierować całe nasze zaangażowanie! Zapomnij o statku, kapitanie. On już nigdzie nie poleci. Otrząśnij się. Jesteśmy kolonistami, a nie naukowcami. Mamy wszystko, co jest nam potrzebne, aby tu przeżyć, a nawet się osiedlić. Nie będziemy jednak mogli tego uczynić, jeśli połowę naszej energii przeznaczymy na – realizację bezsensownego planu wykorzystania wszystkich naszych zasobów, aby naprawić jakiś beznadziejnie zniszczony wrak!

W sali rozległy się szmery, okrzyki, pytania, wyrazy oburzenia. Kapitan kilkakrotnie nawoływał do zachowania spokoju, aż wreszcie zamieszanie ucichło do poziomu stłumionych szmerów.

–Żądam głosowania! – krzyknął Moray i wrzawa podniosła się znowu.

–Odmawiam rozważenia pańskiej propozycji, panie Moray – rzekł kapitan. – Nie będzie głosowania. Czy mogę panu przypomnieć, że jestem najwyższą władzą na tym statku? A może muszę pana aresztować?

–Rzeczywiście, aresztować! – z pogardą prychnął Moray. – Nie jesteśmy już w przestrzeni, kapitanie. Nie jesteś na mostku. Nie masz nad nami żadnej władzy, kapitanie, może wyjątkiem jest twoja załoga, jeśli tylko zechcą cię słuchać.

Leicester stał na podwyższeniu z obliczem białym jak jego własna koszula i oczami płonącymi gniewem.

–Przypominam wszystkim – wycedził – że grupa MacArana wysłana na rekonesans, odkryła na planecie ślady jakichś inteligentnych istot. Według zasad regulujących kolonizację planet, Ziemia nie wysyła kolonistów na zamieszkane

światy.

Jeśli się tu osiedlimy, najprawdopodobniej spowodujemy szok kulturowy.

Kolejny wybuch wrzawy.

–Czy sądzi pan, że nasze próby rozwinięcia technologii do celów pańskich napraw

będą miały inny wpływ? – gniewnie wykrzykiwał Moray. – W imię Boga, kapitanie,

**mamy wszystko, aby tu stworzyć kolonię. Jeśli skierujemy całe nasze siły na
naprawę**

statku, wątpię, czy w ogóle zdołamy przeżyć!

**Kapitan Leicester z widocznym wysiłkiem próbował zachować spokój, ale nie zdołał
ukryć wściekłości.**

–Sugeruje pan, żeby zaprzestać prób i powrócić do stadium barbarzyństwa? –

rzucił szorstko.

Moray spoważniał nagle. Podeszedł do podwyższenia i stanął u boku kapitana.

**–Mam nadzieję, że nie, kapitanie – rzekł spokojnym, chłodnym głosem. – To własny
umysł czyni człowieka barbarzyńcą, nie stopień rozwoju technicznego. Może
będziemy zmuszeni obyć się bez najwyższej techniki, przynajmniej przez kilka
pokoleń, ale nie oznacza to, iż nie jesteśmy w stanie stworzyć dobrego świata dla
nas i naszych dzieci. Były cywilizacje, które przez wiele stuleci istniały bez techniki.
Twierdzenie, że kultura ludzka jest jedynie historią rozwoju techniki, to wyłącznie
propaganda technokratów. Nie znajduje potwierdzenia ani w socjologii, ani w filozofii.**

**–Nie interesują mnie pańskie teorie społeczne, panie Moray – szorstko odparł
kapitan.**

Doktor Di Asturien podniósł się z miejsca.

–Kapitanie, jeszcze jedną rzecz musimy wziąć pod uwagę – rzekł. – Dokonaliśmy

bardzo niepokojącego odkrycia...

**W tym momencie donośny grzmot zatrząsł posadami namiotu szpitalnego.
Prowizorycznie zainstalowane światła zgasły. Jeden ze strażników stojących u
wejścia krzyknął:**

–Kapitanie! Kapitanie! Lasy płoną!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wszyscy zachowali przytomność umysłu.

–Przynieście tu jakieś światło – ryknął z platformy kapitan Leicester. – Straże, światła!

Jeden z młodych ludzi z sekcji medycznej podał kapitanowi latarkę.

–Wszyscy pozostają na miejscu i czekają na rozkazy – krzyknął jakiś oficer z mostka. – Nie ma żadnego niebezpieczeństwa! Jak najszybciej naprawcie światło!

MacAran był na tyle blisko drzwi, że bez trudu dostrzegł w mroku małą łunę. W ciągu kilku minut rozdzielono latarki.

–Kapitanie – zawołał Moray z platformy. – Mamy maszyny do ścinania drzew i spychania ziemi. Proszę o pozwolenie na przygotowanie zapór ogniowych wokół obozowiska.

–Doskonale, panie Moray. Proszę ruszać – ostro odparł Leicester. – Wszystkich oficerów z mostka proszę do mnie. Należy zabezpieczyć materiały łatwopalne i wybuchowe znajdujące się na statku.

Pospiesznie ruszył w kierunku wyjścia. Tymczasem Moray zebrał wszystkich sprawnych ludzi do wyrąbywania przecinek i zarekwirował wszystkie dostępne latarki, które nie zostały zabrane na mostek.

–Sformować się w te same grupy co przy kopaniu grobów – rozkazał.

MacAran znalazł się w grupie z ojcem Valentine i ośmiu obcymi. Zwalali drzewa w promieniu dziesięciu stóp od polany. Pożar na zboczach wciąż jeszcze był tylko odległym o kilka mil pomrukiem, czerwoną łuną nad lasem, choć powietrze już cuchnęło dymem o dziwnym, kwaśnym zapachu.

–Jak to możliwe, że lasy zajęły się po tylu dniach deszczu? – zapytał ktoś za plecami MacArana.

Wtedy przypomniał sobie coś, o czym wspominał Marco Zabal.

–Te drzewa mają mnóstwo żywicy, są praktycznie hubką. Niektóre mogą płonąć nawet wtedy, kiedy są mokre. W czasie wyprawy rozpaliliśmy ognisko z zielonych

gałęzi. Podejrzewam, że wystarczy piorun, by dosłownie w jednej chwili wybuchł pożar.

Swoją drogą mieliśmy szczęście, pomyślał. Obozowaliśmy pośrodku lasu i nawet nie pomyśleliśmy o pożarze, nie mówiąc o zaporach ogniowych.

–Sądzę, że będzie nam potrzebna stała zapora ogniowa wokół wszystkich obszarów mieszkalnych i roboczych.

–Mówi pan tak, jakby spodziewał się, że zostaniemy tu bardzo długo – zauważył ojciec Valentine.

MacAran pochylił się nad swoją piłą.

–Nieważne, po której ksiądz jest stronie: kapitana czy Moraya – rzekł. – Wygląda, że zostaniemy tu na wiele lat.

Był w tej chwili zbyt znużony i niepewny czegokolwiek, aby się zastanawiać, za kim on by się opowiedział, a poza tym nie sądził, aby ktokolwiek pytał go o zdanie. Czuł jednak, że jeśli kiedyś opuszczą tę planetę, będzie za nią tęsknił.

Ojciec Valentine dotknął jego ramienia.

–Chyba pani porucznik szuka pana.

MacAran wyprostował się i zobaczył idącą w jego kierunku Camillę Del Rey. Z włosami w nieładzie, w brudnym mundurze wyglądała na znużoną i zaniedbaną. Miał ochotę podbiec i wziąć ją w ramiona, ale wstał i udawał, że nie dostrzega, z jakim wysiłkiem unika jego wzroku.

–Rafe, kapitan chce z tobą porozmawiać – powiedziała. – Znasz ten teren lepiej niż ktokolwiek inny. Czy sądzisz, że ogień można opanować?

–W ciemności i bez ciężkiego sprzętu z pewnością nie – odparł, ale poszedł za nią do polowej kwatery kapitana. Nie mógł wyjść z podziwu dla sprawności, z jaką zorganizowano budowę zapór ogniowych. Niewielką ilość sprzętu przeciwpożarowego, znajdującego się w wyposażeniu statku, przeniesiono do namiotu-szpitala.

Kapitan miał dość rozumu, aby wykorzystać Moraya. Tak naprawdę są do siebie bardzo podobni... gdyby tylko umieli wspólnie pracować i dążyć do tego samego celu.

Na razie są jednak siłą nie do pokonania.

Zanim weszli pod kopułę, delikatny deszczyk zmienił się w zacinającą mżawkę z gradem. Mała, ciemna kopuła oświetlona była jedynie mdłym światłem jednej latarki. Wydawało się, że bateria jest już na wyczerpaniu.

–... nasze źródła energii już nie wystarczają – mówił Moray. – Zanim zrobimy cokolwiek innego, kapitanie, czy to w ramach pańskiego, czy mojego planu, musimy znaleźć jakieś źródła ciepła i światła. Mamy w wyposażeniu kolonii urządzenia do wykorzystywania energii wiatru i słońca, choć osobiście wątpię, czy to słońce daje dość światła i promieniowania, abyśmy mieli z tego jakieś korzyści. MacAran – obrócił się ku wchodzącemu. – Domyślam się, że są tu strumienie górskie. Czy na którymś z nich można by postawić zaporę?

–Nie na tych, które widzieliśmy w ciągu kilku dni, jakie spędziliśmy w górach - odrzekł MacAran. – Więcej tu jednak dość silne wiatry.

–To tymczasem powinno wystarczyć – odparł kapitan Leicester. – MacAran, czy potrafi pan określić dokładnie, jak daleko stąd szaleje pożar?

–Na tyle daleko, aby nie być dla nas bezpośrednim zagrożeniem – odpowiedział -ale od tej chwili stale musimy pamiętać o zaporach ogniowych, i to wszędzie, gdziekolwiek się udamy. Myślę, że nie ma jednak niebezpieczeństwa. Deszcz zmienia się w śnieg, który, jak sądzę, stłumi pożar.

–Jeśli ogień może płonąć w deszczu...

–Śnieg jest cięższy – zaproponował MacAran. W tym momencie rozległ się dźwięk przypominający kanonadę. – Co to takiego?

–Masowa ucieczka dzikiej zwierzyny – wyjaśnił Moray. – Prawdopodobnie

uciekają z terenu pożaru. Oficerowie próbują ustrzelić coś na kolację. Kapitanie, raz jeszcze sugeruję, żeby strzelać tylko w ostateczności, trzeba zachować amunicję na najtrudniejsze czasy. Nawet na Ziemi w celach rozrywkowych polują się na zwierzynę

za pomocą łuku i strzał. W dziale rekreacji mamy prototypy. Trzeba je będzie wykorzystać, aby powiększyć zapasy żywności.

–Ależ pan ma pomysły – burknął Leicester.

Moray zacisnął usta.

–Kapitanie, prowadzenie statku kosmicznego to pańska sprawa. Moją sprawą jest stworzenie społeczności, w której można żyć maksymalnie oszczędzając zasoby.

Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, jakby zapominając o obecności innych. Camilla przepchnęła się ku kapitanowi i stanęła tuż za jego

plecami. MacAranowi wydawało się, że dziewczyna próbuje wspomóc go psychicznie, tak jak przedtem podtrzymywała go fizycznie. Z zewnątrz dochodziły głosy ludzi kręcących się po obozowisku i cichy szelest śniegu padającego na kopułę. Nagle podmuch zimnego wiatru uderzył w połę i strumień lodowatego powietrza wtargnął do wnętrza. Camilla pobiegła i walcząc z naporem wiatru, który odrzucił ją w tył, próbowała zamknąć klapę. Płachta jednak łopotała wściekle, aż wreszcie zerwała się z prowizorycznych zawiasów i runęła na dziewczynę, zwalając ją z nóg. MacAran skoczył na pomoc. Kapitan Leicester zaklął z cicha i zaczął wzywać swoich adiutantów.

Moray podniósł dłoń.

–Potrzebujemy mocniejszych i trwalszych schronień, kapitanie – rzekł spokojnie. –

Te miały wytrzymać tylko sześć tygodni. Czy mogę wydać rozkaz, aby zbudowano je

tak, by przetrwały kilka lat?

Leicester milczał. Jakaś nowa, przerażająca zdolność sprawiła, że MacAran słyszał myśli kapitana. Czy to pierwsze uderzenie klina? Czy można wykorzystać niewątpliwie zdolności Moraya, nie dając mu jednocześnie zbyt wielkiej władzy nad kolonistami, nie umniejszając swojej władzy? Kiedy Leicester wreszcie przemówił, jego głos brzmiał goryczą. Porażkę przyjął jednak z godnością.

–Panie Moray, pan wie, co zrobić, by przeżyć. Ja jestem tylko naukowcem i

pilotem. Czynię pana tymczasem odpowiedzialnym za obozowisko. Proszę

uporządkować sprawy według ważności i żądać wszystkiego, co będzie panu

potrzebne. – Podeszedł do drzwi i zapatrzył się w wirujący śnieg. – Żaden ogień nie

przetrwa takiej śnieżycy. Proszę zwołać ludzi i nakarmić ich, zanim wyruszą dalej

budować zapory ogniowe. Ty tu teraz rządzisz, Moray... przynajmniej na razie.

Trzymał się prosto, ale jego głos zdradzał zmęczenie. Moray skłonił się lekko, bez cienia służbistości.

–Nie myśl, że się poddam – ostrzegł Leicester. – Ten statek zostanie naprawiony.

Moray lekko wzruszył ramionami.

–Może i tak. Nie zreperujemy go jednak, jeżeli nie będziemy żyć wystarczająco długo, aby to uczynić. W tej chwili tylko to mnie interesuje.

Przestał już się zajmować Leicesterem i zwrócił do Camilli i MacArana:

–MacAran, ludzie z twojej grupy wiedzą choć trochę na temat terenu. Chciałbym dokonać przeglądu wszystkich zasobów, włącznie z żywnością... zajmie się tym doktor

Lovat. Poruczniku Del Rey, pani jest nawigatorem i ma dostęp do instrumentów. Czy

może pani przeprowadzić obserwacje pogody, które moglibyśmy wykorzystać do prognozowania? – Urwał nagle. – Racja, to nie jest zajęcie na środek nocy. Jutro się tym zajmiemy.

Podszedł do drzwi, w których cały czas stał kapitan, wpatrujący się w wirujące płatki śniegu. Raz i drugi próbował go wyminąć, wreszcie lekko dotknął jego ramienia. Leicester drgnął i usunął się na bok.

–Najpierw muszę zebrać biedaków, którzy jeszcze pracują w tej zamieci. Czy mam wydać rozkazy, czy pan to robi, kapitanie?

Leicester spokojnie spojrzał mu w oczy, nie kryjąc wrogości.

–To nie ma znaczenia – rzekł cicho. – Nieważne, który z nas wydaje rozkazy, ale niech cię Bóg broni, jeśli władzy szukasz jedynie po to, by móc je wydawać.

Camillo,

powiedz majorowi Laytonowi, żeby pozbierał ludzi pracujących przy zaporach i przypilnował, aby każdy, kto był na linii zapory, zanim uda się na spoczynek, dostał gorący posiłek.

Dziewczyna wciągnęła kaptur na głowę i wybiegła w śnieżycę.

–Może jesteś uzdolniony, Moray – odezwał się kapitan. – Możesz wykorzystać i

**moje zdolności, jeśli tylko chcesz. W Służbie Kosmicznej jest jednak takie stare
powiedzenie: kto pożąda władzy, zasługuje na to, by ją dostać!**

**Wielkimi krokami opuścił kopułę, pozwalając, by wiatr dalej dął przez odsłonięty
otwór. MacAran spojrział na Moraya i poczuł nagle, że jakimś cudem kapitan wyszedł
z tego starcia obronną ręką.**

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dni były coraz dłuższe, ale i tak wciąż wydawało się, że zbyt mało mają czasu na przeprowadzenie wszystkich niezbędnych prac w obrębie osady. W trzy dni po pożarze obozowisko otoczyły szerokie, trzydziestostopowe zapory ogniowe. Zorganizowano też na wszelki wypadek oddziały straży pożarnej. Mniej więcej w tym samym czasie na polecenie Moraya MacAran wraz z grupą kolonistów wyruszył na rekonesans. Z poprzedniej grupy towarzyszyli mu jedynie Judith Lovat i MacLeod. Judy wciąż była cicha i mało mówna, prawie milcząca. MacAran martwił się o nią, ale na razie wykonywała swoje obowiązki z dużym zaangażowaniem i miała niemal szósty zmysł w wynajdowaniu informacji, których szukali.

Wyprawa od początku przebiegała bez większych zakłóceń. Wytoczyli drogi do doliny, w której po raz pierwszy ujrzeli zwierzynę, oceniali wielkość szkód – w istocie niewielkich – wyrządzonych przez ogień, wykreślili mapy najbliższej okolicy, a MacAran pobrał próbki skał ze wzgórz, aby później przeanalizować ich skład, szczególnie zaś zawartość metali.

Tylko jedno zdarzenie zmąciło przyjemną monotonię wędrówki. Pewnego wieczoru, tuż przed zachodem słońca, przebijali się właśnie przez wyjątkowo gęsty odcinek leśnego poszycia, kiedy MacLeod, który szedł jako pierwszy, stanął jak wryty. Położył palec na ustach i dłonią dał znak MacAranowi, by się zbliżył.

MacAran posłusznie podszedł, Judy skradała się u jego boku. Wydawała się dziwnie podniecona. MacLeod wskazał palcem w górę, w gęste korony drzew. Dwa ogromne pnie wznosiły się na zawrotną wysokość. Pierwsze konary znajdowały się jakieś sześćdziesiąt stóp nad ziemią, a pomiędzy nimi zwiślał most. Trudno byłoby

nazwać to inaczej: był to upleciony z wikliny most, z pracowicie spletanymi poręczami.

–Oto dowody istnienia waszych tubylców – szepnął MacLeod. – Czyżby to były istoty nadrzewne? Może dlatego do tej pory ich nie widzieliśmy?

–Sza! – ostro uciszyła go Judy.

W górze rozległo się ciche, przenikliwe trajkotanie i nagle na moście pojawiło się jakieś stworzenie.

Mogli mu się dość dokładnie przyjrzeć: miało około trzech stóp wzrostu i białą skórę, a może była to sierść. Przytrzymało się poręczy mostu niewątpliwie dłońmi – nikt z obserwujących nie miał dość przytomności umysłu, aby policzyć palce. Oblicze ta istota miała płaskie, ale dziwnie ludzkie, o spłaszczonym nosie i

czerwonych oczach. Około dziesięciu sekund stworzenie wyglądało przez poręcz mostu, obserwując ich w milczeniu, chyba równie zaskoczone jak oni, po czym z przenikliwym, ptasim okrzykiem zniknęło po drugiej stronie i przepadło wśród koron drzew.

MacAran odetchnął głęboko. A zatem planeta ma swoich mieszkańców, nie jest niezamieszkała i tym samym nie jest otwarta dla ludzkości.

–Judy, czy ich widziałaś wtedy? – Cicho zapytał MacLeod. – Czy do nich należał ten, którego nazwałaś pięknym?

Twarz Judy przybrała wyraz dziwnego uporu, zawsze tak reagowała na wspomnienie tamtego dnia.

–Nie – odparła cicho, ale zdecydowanie. – Nie. To są ich mali bracia, niziołki, które nie mają rozumu.

Nic nie było w stanie odwieść jej od tego stwierdzenia i szybko przestali zarzucać ją pytaniami. MacLeod i major Fraser byli w siódmym niebie.

–Nadrzewne humanoidy. Sądząc po oczach, prawdopodobnie nocne i pochodzenia małpiego, choć bardziej przypominają wyraki niż małpy. Rozumne, oczywiście. Potrafią pracować narzędziami. *Homo arborens*. Ludzie żyjący na drzewach – mówił rozgorączkowany MacLeod.

–Gdybyśmy mieli tu pozostać... – z wahaniem odezwał się MacAran – jak dwa rozumne gatunki będą mogły żyć na jednej planecie? Czy nie oznacza to nieuchronnej walki o dominację?

–Z Bożą pomocą, nie – odparł Fraser. – W końcu na Ziemi przez dłuższy czas współżyły ze sobą aż cztery rozumne gatunki. Ludzie, delfiny, wieloryby i

prawdopodobnie słonie. Przypadkiem byliśmy jedynym gatunkiem technologicznym. Oni mieszkają na drzewach, my na ziemi. Nie widzę tu żadnego konfliktu... w każdym razie nieuniknionego konfliktu.

MacAran nie był tego całkiem pewien, ale zachował wątpliwości dla siebie.

Wyprawa przebiegała raczej spokojnie, chociaż nie zabrakło nieoczekiwanych zagrożeń. W dolinie, którą dla wygody nazwali Równiną Zabala, pasące się stado zostało spłoszone przez wielkie drapieżniki z rodziny kotów. Ludzi zostawiły w

spokoju tylko dlatego, że płoszyły je obozowe ogniska. Na szczycie MacAran po raz pierwszy, wprowadzie przez moment tylko, widział ptaki o głosach banshee: wielkie, bezskrzydłe stworzenia o potężnych szponach, tak niewiarygodnie szybkie, że jedynie rozpaczliwy strzał z lasera, który mieli ze sobą na wszelki wypadek, uratował doktora Frasera przed wypatroszeniem, a wystarczyłby jeden tylko cios ptaszydła. MacLeod, który zrobił sekcję martwego stworzenia, stwierdził, że jest ono całkiem ślepe.

–Czyżby lokalizował swoją ofiarę za pomocą dźwięków? A może jakoś inaczej?

–Podejrzewam, że wyczuwa ciepło ciała – wtrącił MacAran. – Zdaje się, że one żyją tylko w rejonach śniegu.

Potworne ptaszyska ochrzcili mianem banshee i od tamtej pory unikali wędrówek nocą. Znaleźli także kopce skorpionopodobnych mrówek, których ukąszenia zabiły doktora Zabala, i rozważali możliwość ich wytrucia. MacLeod sprzeciwiał się temu pomysłowi twierdząc, że mrówki mogą grać ważną rolę w łańcuchu ekologicznym i nie należy tego zakłócać. Zdecydowali się wreszcie na wyniszczenie mrówek tylko na przestrzeni trzech mil kwadratowych od statku i poinformowanie wszystkich o niebezpieczeństwie ukąszenia. Było to jedynie rozwiązanie na krótką metę, ale wszystko, co robili na tej planecie, miało właśnie taki przejściowy charakter.

–Jeśli opuścimy to cholerne miejsce – burknął doktor Fraser – powinniśmy je zostawić mniej więcej w takim stanie, w jakim zastaliśmy.

Kiedy po trzech tygodniach obserwacji wrócili do obozu, stwierdzili, że zbudowano już dwa stałe budynki z drewna i kamienia. Były to wspólna sala świetlicowa i jadalnia oraz budynek, w którym miało się znajdować laboratorium. Jeszcze wtedy MacAran mierzył upływ czasu tygodniami. Nadal nie znali długości roku planety, ale dla ułatwienia, choćby przy wyznaczaniu dyżurów i zmian roboczych, przyjęto ogólny cykl dziesięciodniowy, w którym jeden na dziesięć dni był dniem wolnym od pracy. Założono ogromne ogrody, a nasiona wypuszczały już pierwsze kielki. Przeprowadzono też pierwsze próby zbiorów leśnych owoców.

Zamontowano niewielki generator napędzany siłą wiatru, ale energia była ściśle wydzielana, a nocami palono świece wykonane z żywicy. Tymczasowe kopuły wciąż jeszcze dawały schronienie większości ludzi, wyjątkiem byli ci, którzy przebywali akurat w szpitalu. MacAran dzielił swoją kopułę z tuzinem innych mężczyzn.

Na drugi dzień po powrocie Ewen Ross wezwał jego i Judy do szpitala.

–Nie znacie ostatniego ogłoszenia doktora Di Asturiena – rzekł. – Krótko mówiąc, nasze hormonalne środki antykoncepcyjne są bezwartościowe. Do tej pory nie

stwierdzono przypadku ciąży, z wyjątkiem jednego, bardzo wątpliwego wczesnego poronienia. Zbyt długo jednak polegaliśmy na hormonach, aby teraz pamiętać, jak wyglądały te prehistoryczne zjawiska. Nie mamy też odczynników do testów ciążowych, ponieważ na statku kosmicznym nikt ich nie potrzebuje. A to oznacza, że

ciężę, kiedy zostaną rozpoznane, będą już zbyt zaawansowane, aby je bezpiecznie usunąć!

MacAran uśmiechnął się smutno.

–Jeśli o mnie chodzi, nie ma o czym mówić – rzekł. – Jedyna dziewczyna, która mnie obecnie interesuje, nie wie nawet, że istnieję, a jak przypuszczam, wolałaby nawet, żebym nie istniał.

Od powrotu jeszcze nie widział się z Camillą.

–A ty, Judy? – zapytał Ewen. – Zajrzałem do twojego rejestru w sekcji medycznej.

W twoim wieku antykoncepcja jest już dobrowolna, a nie obowiązkowa.

Uśmiechnęła się blado.

–W moim wieku nie mam wielkich szans, aby dać ponieść się emocjom. W ciągu tej podróży nie byłam aktywna seksualnie. Nie ma tu nikogo, kim byłabym zainteresowana, toteż nie zwracałam sobie głowy zastrzykami.

–W każdym razie na wszelki wypadek skontaktuj się z Margaret Raimondi, która przekazuje niezbędne informacje. Seks to sprawa osobista, ale informacja jest obowiązkowa, Judy. Możesz podjąć decyzję o powstrzymaniu się od kontaktów seksualnych, ale musisz mieć możliwość wyboru, więc przejdź się do Margaret.

Judy wybuchnęła śmiechem i dopiero wtedy MacAran uświadomił sobie, że nie słyszał jej śmiechu od dnia, kiedy to zaatakowało ich dziwne szaleństwo. Wyczuwało się w nim jednak nutę hysterii, co wprowadziło go w zakłopotanie. Odetchnął z ulgą usłyszawszy:

–Doskonale. Co mi szkodzi? – I Judy wyszła.

Ewen spojrzał w ślad za nią, również nieco zaniepokojony.

–Nie podoba mi się ta dziewczyna. Mam wrażenie, że tylko ona jakoś dziwnie się zmieniła od tamtego niesamowitego dnia. Nie mam jednak pod ręką psychiatry, a poza tym ona bez zarzutu wypełnia swoje obowiązki... co jest prawną i ogólnie uznawaną definicją zdrowia psychicznego. Ciągle mam nadzieję, że się jakoś z tego otrząśnie. Czy w czasie wyprawy zachowywała się normalnie?

MacAran skinął głową.

–Być może wie coś, czego nam nie powiedziała – mruknął w zamyśleniu. – Jedno jest pewne, czuje się tu tak, jak we własnym domu. Przypomina mi to sytuację, kiedy

MacLeod twierdził, że wie, które owoce nadają się do jedzenia. Czy szok emocjonalny

może wyzwolić uśpione zdolności parapsychologiczne?

Ewen potrząsnął głową.

–Bóg jeden pewnie wie, a my jesteśmy zbyt zajęci, aby to sprawdzić. A w ogóle jak można sprawdzić coś takiego? Jak długo jest na tyle normalna, żeby wykonywać przydzieloną jej pracę, nie mogę się do niej wtrącać.

Po wyjściu ze szpitala MacAran przeszedł się po osadzie. Wszędzie panował spokój – i w małym warsztacie wytwarzającym narzędzia rolnicze, i na statku, gdzie magazynowano maszyny i urządzenia. Camillę znalazł w kopule, którą wiatr uszkodził w noc pożaru. Teraz pomieszczenie zostało już naprawione i wzmocnione, a w środku zainstalowano konsole komputerowe.

Podniosła na niego pełen nienawiści wzrok.

–Czego chcesz? Czy Moray przysłał cię tu, żebym zamieniła tę kopulę w stację meteorologiczną, czy może coś innego?

–Nie, ale wydaje mi się, że to niezły pomysł – odparł MacAran. – Druga burza śnieżna taka, jak ta, która rozpętała się w noc pożaru, może nas zniszczyć, jeśli nie zostaniemy uprzedzeni na czas.

Podeszła do niego, ręce, zaciśnięte w pięści, opuściła wzdłuż boków. Twarz

wykrzywiła jej złość.

–Wydaje mi się, że całkiem ci odbiło. Nie oczekiwałam niczego innego od kolonistów, to tylko cywile, których obchodzi jedynie stworzenie tutaj ich drogocennej

kolonii, ale ty, Rafe! Jesteś naukowcem, powinieneś zrozumieć, co to oznacza!

Pozostała nam jedynie nadzieja na naprawę statku... bo jeśli roztrwonimy zasoby na cokolwiek innego, szanse będą coraz mniejsze i mniejsze! – Wydawała się zrozpaczona. – A my zostaniemy tu na zawsze!

–Camillo – cicho powiedział MacAran. – Pamiętaj, że ja także byłem jednym z kolonistów. Porzuciłem Ziemię, aby udać się do kolonii Coronis...

–Tak, ale Coronis to normalna kolonia, przygotowana na to, aby stanowić... stanowić część cywilizacji – odrzekła Camilla. – Mogę to zrozumieć. Tam twoja wiedza,

twoje umiejętności... byłyby coś warte!

MacAran wyciągnął ręce i ujął ją za ramiona.

–Camillo – szepnął, zamykając w tym jednym słowie całą swą tęsknotę. Nie zareagowała, stała spokojnie, patrząc mu prosto w oczy. Twarz miała ściągniętą i smutną. – Camillo, czy posłuchasz mnie choć przez minutę? Całym sercem jestem z kapitanem, jeśli chodzi o działania. Gotów byłbym zrobić wszystko, co tylko możliwe,

żeby statek wystartował, ale nie mogę pozbyć się myśli, że prawdopodobnie nie będzie

to możliwe. Chciałbym więc mieć pewność, że zdołamy przeżyć, jeśli tu pozostaniemy.

–Przeżyć? Po co? – wybuchnęła Camilla. – Żeby wrócić na drzewa? Przeżyć jako farmerzy, barbarzyńcy, nie mający niczego, co nadaje życiu kształt? Lepiej już

umrzeć

w ostatniej próbie!

–Nie wiem, dlaczego tak mówisz, kochanie. Przecież pierwsi ludzie zaczęli mając mniej niż my. Może w ich świecie panował lepszy klimat, za to my mamy za sobą dziesięć czy dwanaście tysięcy lat wiedzy ludzkiej. Ludzie, których kapitan Leicester uważa za zdolnych do naprawienia statku, powinni posiadać dość wiedzy, aby stworzyć całkiem niezłe życie dla siebie i swoich dzieci... i wszystkich dalszych generacji.

Chciał wziąć ją w ramiona, ale wyrwała mu się, blada i wściekła.

–To już wolę umrzeć – prychnęła. – Każdy cywilizowany człowiek powiedziałby to samo! Jesteś gorszy niż tamci z Nowych Hebryd... ci od Moraya... ci cholerni ekologiczni głupcy, którzy mu przyklaskują...

–Nic o nich nie wiem... Camillo, kochanie, proszę, nie złość się na mnie. Chcę tylko patrzeć na sprawę z obu punktów widzenia...

–Ale punkt widzenia jest tylko jeden! – rzuciła nieustępliwie. – A jeśli nie widzisz tego, nie warto nawet z tobą rozmawiać! Wstyd mi... wstyd mi, że pozwoliłam sobie choćby myśleć, że mógłbyś być inny!

Łzy spływały jej po policzkach. Gniewnie zamachała rękami.

–Wynoś się i już nie wracaj! Wynoś się, do cholery!

Temperament MacArana był równie ognisty, jak barwa jego włosów. Opuścił ręce, jakby dotknął czegoś gorącego, i zrobił zwrot na pięcie.

–To będzie prawdziwa przyjemność – wycedził przez zęby i wymaszerował spod kopuły. Trzasnął przy tym wzmocnionymi drzwiami tak, aż załomotały w zawiasach.

Camilla opadła na ławkę i ukryła twarz w dłoniach, zalewając się łzami, dopóki nie wstrząsnęła nią gwałtowna fala torsji. Potykając się, pobiegła do damskiej latryny, a kiedy po chwili wracała z poczerwieniałą, obolałą twarzą, czuła, że w głowie jej dudni, a każdy nerw napięty jest aż do bólu. Nagle przystanęła i znieruchomiła. To już trzeci raz... w przyływie gwałtownego strachu i upokorzenia podniosła do ust obie dłonie, wbijając w nie zęby.

–Och, nie... – szepnęła. – Och nie... nie...nie...

Głos jej się załamał, przechodząc w szeptane prośby i błagania, szare oczy rozszerzyły się z przerażenia.

MacAran wszedł do pomieszczenia, które było połączeniem jadalni i świetlicy. Miejsce to szybko stało się centralnym punktem tej ogromnej, nie zorganizowanej społeczności. Na zaimprovizowanej tablicy ogłoszeń ujrzał wywieszoną informację o spotkaniu Komuny Nowych Hebryd. Nie pierwszy zresztą raz. Grupa kolonistów, którzy znajdowali się na statku, to byli nie pojedynczy ludzie, jak on i Jenny, były to także zbiorowiska komun, wielkich rodzin, a nawet dwie lub trzy firmy przemysłowe, szukające nowych linii produkcyjnych lub tylko możliwości utworzenia filii. Wszystkich dobierano bardzo starannie pod kątem ich zdolności do włączenia się w precyzyjnie zaplanowany rozwój kolonii. W sumie jednak tworzyli bardzo zróżnicowaną grupę. Podejrzał, że grupa Nowych Hebryd była jedną z tych niewielkich, neorolniczych komun, które odsunęły się od głównego trzonu społeczeństwa na Ziemi, mając za złe nadmierną industrializację i uporządkowanie. Wiele takich małych społeczności opuszczało swoją planetę i wyjeżdżało do kolonii gwiazdnych. Na Ziemi byli wyrzutkami, ale jako koloniści sprawdzali się znakomicie. Nigdy przedtem nie poświęcał im nawet cienia uwagi, teraz słowa Camilli sprawiły, że postanowił się nimi zainteresować. Ciekawe, czy ich spotkania są otwarte dla osób spoza grupy?

Mgliście przypominał sobie, że ta właśnie grupa czasami rezerwowała sobie jeden z obszarów rekreacyjnych na statku. Wydawało się, że żyją w dość hermetycznej wspólnocie. No cóż, najwyżej poproszą, żeby wyszedł.

Znalazł ich w jadalni, pustej poza godzinami posiłków. Siedzieli tworząc krąg i większość z nich grała na instrumentach muzycznych; gdy Rafe wszedł, wysoki młodzieniec o długich włosach pozaplatanych w warkoczyki podniósł głowę.

–Tylko członkowie, przyjacielu – rzekł.

–Nie, Alastairze – wtrąciła dziewczyna, której rude, rozpuszczone loki sięgały do pasa. – To MacAran. Był w grupie badawczej, zna wiele odpowiedzi na nasze pytania. Wejdz, człowieku, rozgość się.

–Masz rację, Fiono, i tak powinien być honorowym członkiem.

MacAran podszedł bliżej. Ku swemu, niewielkiemu wprawdzie, zdziwieniu ujrzał w kręgu twarzy okrągłe, puciołowate oblicze Lewisa MacLeoda, okolone włosami barwy imbiru.

–Nie znam nikogo z was – rzekł. – Obawiam się, że nie wiem, czym się zajmujecie,

przyjaciele.

–Jesteśmy neoruralistami, oczywiście – spokojnie odparł Alastair. –

Budowniczymi świata. Niektórzy – w Rządzie nazywają nas antytechnokratami, ale nie

jesteśmy niszczycielami. Po prostu szukamy uczciwej alternatywy dla społeczeństwa

ziemskiego i w koloniach witają nas równie chętnie, jak żegnają na Ziemi. A więc

powiedz nam, MacAran. O co tu chodzi? Jak prędko będziemy mogli stworzyć naszą

własną osadę?

–Wiem tyle samo, co i wy – odparł. – Klimat jest dość nieprzyjazny, ale to nie tajemnica. Jeśli tak wygląda lato, zimą będzie jeszcze gorzej.

Fiona roześmiała się.

–Wielu z nas wyrosło na Hebrydach lub nawet na Orkneyach – odrzekła. – Tam jest chyba najgorszy klimat na Ziemi. Nie boimy się zimna, MacAran, ale chcielibyśmy już urządzić sobie życie, zaprowadzić własne obyczaje i nauki, zanim nadejdzie zima.

–Nie jestem pewien, czy kapitan Leicester zgodzi się, aby ktokolwiek opuszczał obozowisko – powoli odpowiedział MacAran. – Naprawa statku wciąż jest głównym celem i sądzę, że kapitan uważa nas za jedną społeczność. Jeśli nagle zaczniemy się wyłamywać...

–Dajże spokój – przerwał Alastair. – Nikt z nas nie jest naukowcem, nie możemy spędzić pięciu lat na zajmowaniu się statkiem kosmicznym, to sprzeczne z całą naszą filozofią.

–Przeżycie...

–W... mam przeżycie... – MacAran niewiele pamiętał z języka gaelickiego, którym posługiwali się jego praprzodkowie, ale zorientował się, że Alastair wyraził się wulgarnie. – Dla nas przeżycie to możliwość najszybszego założenia tutaj kolonii.

Podpisaliśmy listę wyjazdową na Coronis. Kapitan Leicester popełnił błąd i dowiózł nas tutaj, ale nam jest wszystko jedno. Dla naszych celów to nawet lepiej. MacAran spojrzął na MacLeoda i uniósł brew.

–Nie wiedziałem, że i pan należy do grupy.

–Nie należę. Właściwie jestem obserwatorem, ale zgadzam się z nimi.

–Myślałem, że nie lubią naukowców.

–Lubimy tych, którzy nie zapominają, gdzie ich miejsce – wtrąciła dziewczyna imieniem Fiona. – I wykorzystują swoją wiedzę, aby służyć i pomagać ludzkości, a nie manipulować nią, niszczyć jej moc duchową. Cieszymy się, że doktor MacLeod... że Lewis – nie używamy tytułów – jest wśród nas, wraz ze swoją wiedzą zoologiczną.

–Chyba nie zamierzacie zbuntować się przeciwko kapitanowi Leicesterowi? – ze zdumieniem wykrzyknął MacAran.

–Bunt? Przecież nie jesteśmy ani jego załogą, ani podwładnymi, człowieku – odparł jakiś obcy chłopak. – Chcemy tylko żyć tak, jak żylibyśmy w nowym świecie.

Nie możemy czekać trzy lata na to, że zrezygnuje ze swego idiotycznego pomysłu naprawienia statku. Przez ten czas możemy zbudować funkcjonalne społeczeństwo.

–A co będzie, jeśli naprawi statek i odleci na Coronis? Zostaniecie tutaj?

–To jest nasz świat – odrzekła Fiona, stając u boku Alastaira. Jej spojrzenie było łagodne, lecz nieustępliwe. – Tu urodzą się nasze dzieci.

–Chcesz powiedzieć, że... – wyjąkał zaskoczony MacAran.

–Nie wiemy jeszcze – odparł Alastair – ale niektóre z naszych kobiet mogły już zająć w ciążę. To nasz znak więzi z tym światem, znak odrzucenia Ziemi i świata, do którego przemocą chce nas wysłać kapitan Leicester. Może mu pan to powiedzieć.

MacAran wyszedł, a za jego plecami instrumenty znów podjęły swoją melodię. Żalony głos dziewczęcy wzniósł się w melancholijnej, starej, wyspiarskiej pieśni, w lamencie po umarłych, który powracał z przeszłości tak rozdartej i zdruzgotanej wojną i wygnaniem, jaka nie była udziałem żadnego innego ludu na Ziemi.

Powiedz, śnieżnobiała mewo,

Powiedz mi, proszę,

Gdzie spoczywają nasi piękni młodzieńcy?

Fala za falą ich obmywa,

Ich zimne wargi nie znają

Tchu ni westchnienia.

Wrak okrętu ich całunem,

Smutny szept morza harfy śpiewem.

MacAran poczuł ucisk w gardle. Łzy napłynęły mu do oczu. Lamentują, myślał, ale wiedzą, że życie toczy się dalej. Przez tysiąclecia Szkoci byli wygnańcami. To tylko jeszcze jedno wygnanie, może bardziej odległe niż poprzednie, ale nawet tu, pod nowymi gwiazdami wciąż będą, odkrywając nowe morza i góry, śpiewać stare pieśni...

Wychodząc z sali naciągnął kaptur, powinno już zacząć padać.

Nie padało.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

MacAran wiedział już, co na tej planecie potrafi zdziałać kilka nocy bez śniegu i deszczu. Pola uprawne rozkwitły roślinnością, a kwiaty, zwłaszcza te małe, pomarańczowe, pokryły każdy cal gruntu. Wzeszły cztery księżycy w pełni i pozostały na niebie długo po wschodzie słońca, zalewając je błyszczącą, liliową poświatą.

Lasy wyschły i trzeba było znów wystawić strażę. Moray wpadł na pomysł, aby w promieniu kilku mil od obozowiska na wszystkich wzgórzach umieścić odgromniki, zawieszane na wysokich drzewach. Może nie uchroni ich to od pożaru w przypadku większej burzy, ale przynajmniej zmniejszy niebezpieczeństwo.

A wysoko, na szczytach, wielkie złociste kwiaty w kształcie dzwonek szeroko otwierały swoje płatki, a ich słodko pachnący pyłek uniósł się ku wyższym partiom zboczy. Nie dotarł jeszcze do dolin.

Jeszcze nie...

Po tygodniu beśnieżnych wieczorów, księżycowych nocy i ciepłych dni -oczywiście ciepłych, jak na możliwości planety przy której Norwegia wydawałaby się kurortem letnim – MacAran miał zamiar poprosić Moraya o pozwolenie na kolejną wyprawę w góry. Wydawało mu się, że powinien skorzystać z nieoczekiwanej poprawy pogody, aby pozbierać nowe okazy geologiczne i może odnaleźć jakieś jaskinie, które mogłyby służyć za schronienie podczas dalszych badań. Moray zajął na swoje biuro niewielkie pomieszczenie w kącie budynku rekreacyjnego. MacAran czekał jeszcze na zewnątrz, kiedy z budynku wyszła Heather Stuart.

–Co sądzisz o pogodzie? – zagadnął.

Stary ziemski zwyczaj zakorzenił się i tu na dobre. Kiedy nie wiesz, co powiedzieć, mów o pogodzie. Cóż, na tej planecie aura rzeczywiście mogła być tematem nie kończących się dyskusji i narzekań.

–Zdecydowanie mi się nie podoba – poważnie odparła Heather. – Dobrze pamiętam, co się stało w górach po kilku pogodnych dniach.

Więc i ciebie to niepokoi, pomyślał MacAran, ale zapytał tylko:

–W jaki sposób pogoda może być za to odpowiedzialna?

–Wirus lub pyłek niesiony wiatrem. Substancje chemiczne zawarte w kurzu. Rafe, jestem mikrobiologiem. Nie uwierzysz, co można znaleźć w kilku calach

sześciennych powietrza, ziemi lub gleby. Na odprawie Camilla powiedziała, że ostatnią rzeczą, jaką pamięta, zanim straciła rozsądek, jest zapach kwiatów. Ja także pamiętam, że powietrze przesycone było ich zapachem.

Uśmiechnęła się blado.

–Oczywiście, to co pamiętam, nie może być żadnym dowodem i pokładam w Bogu nadzieję, że wpadniemy na to metodą prób i błędów. Właśnie okazało się, że nie jestem w ciąży, ale wolałabym już drugi raz nie pozostawać tak długo w niepewności.

Kiedy pomyślę, jak musiały żyć kobiety, zanim wynaleziono naprawdę bezpieczne środki antykoncepcyjne... Z miesiąca na miesiąc, nie mając pewności... –
Wzdrygnęła

się. – Rafe, czy Camilla jest już pewna? Nie chce o tym ze mną rozmawiać.

–Nie wiem – odrzekł ponuro. – Ze mną nie rozmawia w ogóle.

Ładniutka, ruchliwa twarz Heather przybrała na chwilę wyraz przerażenia.

–Och, Rafe, tak mi przykro! Byłam za was dwoje taka szczęśliwa! Razem z

Ewenem mieliśmy nadzieję... och, przepraszam, myślę, że Moray już może cię przyjąć.

Drzwi otwały się i wyleciał z nich potężny, rudowłosy Alastair. Obejrzał się i krzyknął jeszcze:

–Odpowiedź brzmi: nie, Moray! Wynosimy się... wszyscy, cała nasza komuna!

Teraz, dzisiaj!

Moray odprowadził go do drzwi.

–Ależ z was egoiści! Mówicie o społeczności, a okazuje się, że macie na myśli tylko waszą grupkę, nie większą społeczność ludzką na tej planecie. Czy przyszło wam kiedyś do głowy, że wszyscy, tych dwieście kilka osób na tej planecie, chcąc nie chcąc

jesteśmy społecznością? Jesteśmy ludzkością, społeczeństwem! I gdzie ta twoja

wielka

odpowiedzialność za współtowarzyszy, chłoptasiu?

Alastair spuścił głowę.

–Pozostali nie interesują się tym, czym my się interesujemy – wymamrotał.

–Wszystkich nas interesuje wspólne dobro i przeżycie – spokojnie odparł Moray. – Kapitan też wreszcie dojdzie do tego samego wniosku. Pozwól mi przynajmniej porozmawiać z pozostałymi.

–Wybrali mnie, abym mówił w ich imieniu...

–Alastairze – poważnie wpadł mu w słowo Moray – gwałcisz swoje własne zasady. Jeśli naprawdę jesteś filozofem-anarchistą, powinieneś dać im możliwość wysłuchania, co mam do powiedzenia.

–Próbujesz nami manipulować...

–Czyżbyś bał się tego, co chcę powiedzieć? A może boisz się, że nie będą chcieli tego, czego ty chcesz?

–Och, dobrze! Porozmawiaj z nimi i niech cię cholera weźmie! – wybuchnął

Alastair, zapędzony w ślepią uliczkę. – Dużo ci to pomoże!

Moray wyszedł za nim.

–Muszę się trzymać, chłopcze, cokolwiek się wydarzy – rzucił w przejściu do

MacArana. – Muszę przemówić tym młodym wariatom do rozumu, pokazać im, że wszyscy jesteśmy wielką rodziną, nie tylko ta ich mała grupka!

Na zewnątrz zebrało się około trzydziestu członków grupy Nowych Hebryd. MacAran zauważył, że nie mieli już na sobie kombinezonów powierzchniowych, wydanych na statku, lecz zwykłe, cywilne ubrania, a na plecach plecaki. Moray podszedł i zaczął ich przekonywać. Od drzwi sali rekreacyjnej MacAran nie mógł słyszeć jego słów, ale reakcją były głośne pokrzykiwania i sprzeczki. Stał więc spokojnie, wpatrując się w małe wiry i kłęby pyłu, przepędzane wiatrem po zaoranym polu, wsłuchując w szum wiatru w koronach drzew na skraju przecinki, przypominający szum morza. Wydawało mu się, że wiatr niesie ze sobą pieśń. Spojrzał na stojącą obok Heather i miał wrażenie, że jej twarz lśni i błyszczy w mrocznym świetle słońca, jakby sama była muzyką. – Muzyka... – szepnęła chrapliwie.

–Wiatr niesie muzykę...

–A cóż oni tam robią, na Boga? – wymamrotał MacAran – Urządzają sobie tańce? Od strony statku nadeszła właśnie grupa umundurowanych strażników. Jeden z nich skierował się do Moraya i Alastaira.

MacAran podszedł bliżej, aby słyszeć, o czym mówią.

–... zdejmijcie plecaki. Z rozkazu kapitana aresztuję was wszystkich za dezercję w obliczu niebezpieczeństwa.

–Twój kapitan nie ma nad nami żadnej władzy, goło wście! – zawołał wielki rudzielec.

Jakaś dziewczyna podniosła z ziemi garść piachu i rzuciła w żołnierza, co spotkało się z szalonym aplauzem całej grupy.

–Nie! – krzyknął zdenerwowany Moray do strażników. – Nie ma takiej potrzeby!

Zaraz się nimi zajmę!

Oficer, w którego uderzyła pacyna piachu, zdjął broń z ramienia. MacAran, w przyplywie aż za dobrze znanego strachu, wymamrotał: „No właśnie!” i rzucił się w tamtą stronę w tej samej chwili, gdy mężczyźni i kobiety z komuny zrzucili plecaki i z piekielnym wyciem zaatakowali strażników.

Nagle jeden z oficerów cisnął swój karabin na ziemię i wybuchnął obłąkanym śmiechem. MacAran w przeblysku świadomości rzucił się ku niemu. Porwał porzuconą broń, innemu żołnierzowi wydarł karabin i pobiegł w stronę statku. W tym momencie trzeci z żołnierzy, który miał tylko pistolet, wypalił.

Rozkojarzony umysł MacArana zarejestrował wystrzał jak nie kończące się echo. Jedna z dziewcząt z przeraźliwym okrzykiem padła na ziemię, wijąc się w agonii.

MacAran, ciągnący za sobą strzelby, odnalazł kapitana w kopule komputera. Na widok intruza Leicester zmarszczył czoło, jakby żądając wyjaśnień, a gąsienicowate brwi powędrowały po czole w górę, dostały skrzydeł i odleciały pod sklepienie... nie... „Nie!” jęknął MacAran, usiłując odeprzeć atak roztańczonej nierealności.

–Kapitanie! – wykrztusił. – Znowu! Przyszło to samo, co wtedy na wzgórzu

odebrało nam rozsądek! Na miłość boską, niech pan zamknie broń i amunicję, zanim

się pozabijają. Jedna dziewczyna już zginęła...

–Co takiego? – Leicester wytrzeszczył na niego oczy z jawnym niedowierzaniem. – Chyba przesadzasz...

–Kapitanie, ja już przez to przeszedłem – krzyknął MacAran, desperacko usiłując zwalczyć w sobie chęć, by rzucić się na podłogę i tarzać po niej, złapać kapitana za gardło, potrząsnąć nim, wytrząsnąć z niego życie... – To prawda. Zna pan... Ewena Rossa... Wie pan, że jest wysoko kwalifikowanym lekarzem. A przecież leżał w lesie, figlując z Heather i MacLeodem, podczas gdy jego ciężko chory pacjent przebiegł tuż obok niego i umarł na serce. Camilla... porucznik Del Rey... odrzuciła teleskop i pobiegła za motylem...

–I myślisz... że ta epidemia zaatakuje teraz i nas?

–Kapitanie... ja to wiem – błagał MacAran – ja... walczę z tym w tej chwili...

Leicester został kapitanem statku międzygwiazdowego między innymi dlatego, że nie brakowało mu wyobraźni i umiejętności reagowania w sytuacjach awaryjnych. Kiedy w powietrzu rozległ się kolejny strzał, gdzieś od strony polanki, zerwał się i rzucił ku drzwiom, wciskając po drodze guzik alarmu. Krzyknął, a nie słysząc odpowiedzi pobiegł na drugą stronę przecinki.

MacAran deptał mu po piętach. Wystarczyło jedno spojrzenie, by ocenił sytuację. Dziewczyna postrzelona przez oficera wciąż leżała na ziemi wijąc się z bólu. Kiedy wpadli na pole walki, strażę i młodzi ludzie z komuny walczyli na pięści, obrzucając się nieprzyzwoitymi wyzwiskami. Rozległ się trzeci strzał. Jeden z oficerów zawył z bólu i upadł, trzymając się za kolano.

–Danforth! – ryknął kapitan.

Danforth obrócił się na pięcie z wycelowaną bronią i przez ułamek sekundy MacAran sądził, że znowu przycisnie spust. Jednakże długie lata posłuszeństwa wobec kapitana sprawiły, że oszalały oficer na ułamek sekundy się zawahał. To wystarczyło, by MacAran unieruchomił go w morderczym uścisku. Mężczyzna runął na ziemię, wypuszczając z dłoni pistolet. Leicester rzucił się, chwycił broń, rozładował i wcisnął magazynek do kieszeni.

Danforth wrywał się jak szalony, atakując MacArana paznokciami, sięgając mu do gardła. Rafe także czuł, jak wzbiera w nim dzika wściekłość. Pod powiekami zatańczyły mu wszystkie odcienie czerwieni. Chciał drapać, gryźć, wylupić przeciwnikowi oczy... Nieludzkim wysiłkiem, przypominając sobie, co zdarzyło się przedtem, zmusił się do opanowania i pozwolił, aby oficer stanął na nogi. Danforth wytrzeszczył oczy na kapitana i nagle zaczął szlochać, bełkocząc coś pod nosem.

–Połamię ci za to kości, Danforth! – warknął kapitan. – Marsz do kwatery!

Danforth chlipnął raz jeszcze, po czym ni stąd ni zowąd rozluźnił się i leniwie uśmiechnął do zwierzchnika.

–Kapitanie – wymruczał z czułością. – Czy ktoś już panu powiedział, że ma pan śliczne, błękitne oczy? Słuchaj, kochanie, czy nie moglibyśmy... – I spokojnie, z pogodnym uśmiechem, całkiem poważnie złożył kapitanowi propozycję tak nieprzyzwoitą, że ten aż się zachłysnął, oblał szkarłatnym rumieńcem wściekłości i już nabierał tchu, aby znowu ryknąć, gdy MacAran złapał go za ramię.

–Kapitanie, niech pan nie robi niczego, czego mógłby pan potem żałować. Czy pan nie widzi, że on nie wie, co mówi i robi?

Danforth przestał już interesować się kapitanem i odszedł, leniwie kopiąc drobne

kamyczki. Walka wokół nich jakby straciła impet. Część ludzi siedziała na ziemi, nucąc coś pod nosem, pozostali podzielili się na dwu-, trzyosobowe grupki. Niektórzy głaskali się wzajemnie ze zwierzęcym zaangażowaniem i całkowitym brakiem zahamowań, tarzając się w twardej trawie, inni już przeszli do bardziej konkretnych sposobów osiągnięcia satysfakcji, nie dyskryminując przy tym nikogo – mężczyźni z kobietami, mężczyźni z mężczyznami i kobiety z kobietami. Kapitan Leicester wpatrywał się w tę orgię w biały dzień i wybuchnął płaczem.

MacAran poczuł, jak wzbiera w nim odraza, przesłaniając i tłumiąc wcześniejszą troskę i współczucie. Jednocześnie zawładnęły nim przerażające, sprzeczne emocje: wzbierająca fala żądz i pragnienie, by rzucić się na ziemię w sam środek stłoczonych, splecionych ciał, ostatnie przebłyski współczucia dla kapitana... on nie wie, co robi, nie bardziej niż ja... i uczucie narastających mdłości. Nagle zerwał się. Obłądny strach stłumił w nim wszystko inne. Potykając się i zataczając uciekł z pola walki.

Za jego plecami długowłosa dziewczyna, dziecko prawie, podeszła do kapitana, nakłoniła go, by złożył głowę na jej łonie i kołysała go łagodnie jak niemowlę, cicho nucąc coś po gaelicku.

Ewen Ross wraz z pierwszą falą narastającego szaleństwa wpadł w panikę. W tej samej chwili w budynku szpitalnym pacjent, który od wielu dni leżał spowity w bandażu, nieprzytomny, zerwał się na nogi, zdarł opatrunki i śmiejąc się dziko rozdarł świeżo zagojone rany, wykrwawiając się na oczach pielęgniarki i Ewena. Pielęgniarka oblała umierającego zielonym mydłem z ogromnego gąsiora, a Ewen, z trudem zachowując resztki świadomości, walczył z ogarniającymi go falami szaleństwa (ziemia się kołysze, przerażający wir skręca mu wnętrzności i mózg, przyprawiając o mdłości). Rzucił się ku niej i odebrał skalpel, którym próbowała podciąć sobie żyły.

Oparł się jej wężowym uściskom (zederzeć z niej suknię, rzucić na łóżko...) i pobiegł po doktora Di Asturiena, by wykrztusić z przerażeniem, że trzeba pozamykać wszystkie instrumenty chirurgiczne, narkotyki i trucizny. Po drodze chwycił za rękę Heather (chyba pamięta pierwszy atak szaleństwa?) i udało im się pochować część niebezpiecznych przedmiotów oraz ukryć klucz, zanim szła ogarnąć cały szpital.

Głęboko, w lesie, niezwykle silne słońce okrywało polany i przecinki płaszczem kwiatów, których pyłek wiatr unosił daleko, w doliny.

Owady spiesznie latały od kwiatu do kwiatu, od liścia do liścia. Ptaki tokowały, parzyły się, budowały gniazda, ukrywając barwne jajeczka między ścianami z błota i trawy. Spijały ukryty nektar i żywice, by nasycić się nim aż do następnego czaru ocieplenia. Trawy i zboża rozrzucały nasiona, by przyszłe śniegi nawilżyły je i pozwoliły im wykiełkować.

Na równinach zwierzęta gnane szaleństwem walczyły i kopulowały w świetle dnia, wdychając przepojony pyłkami wiatr, który przesyłał swój słodki rozkaz w głąb ich mózgow. Na drzewach u stóp wzgórz małe, pokryte sierścią humanoidy zwariowały. Zeszły na ziemię – niektóre z nich po raz pierwszy i ostatni w życiu – objadając się szybko dojrzewającymi owocami, pędząc przez polany w błogiej nieświadomości czyhających drapieżników. Całe pokolenia i tysiąclecia wspomnień zapisane w ich mózgach i genach mówiły, że dzisiaj nawet ich naturalni wrogowie nie mają dość sił, aby podjąć wysiłek polowania. Noc zapadła nad światem czterech księżyców. Ciemne słońce zaszło za horyzont, zapadł niezwykle, rozświetlony zmierzch i na niebie pojawiły się nieliczne gwiazdy. Księżyce, jeden po drugim, wypełzły na niebo: pierwszy, lśniący-fioletowy, potem dwa następne, zielony i niebieski, podobne do klejnotów, i wreszcie najmniejszy, jak biała perła. Na polanie, gdzie leżał rozbity statek, ogromny, groźny przybysz z innego świata, Ziemianie wdychali ten dziwny wiatr i dziwne pyłki, które niósł ze sobą. W ich mózgach rodziły się i wybuchały tajemnicze impulsy...

Ojciec Valentine i pół tuzina innych członków załogi leżeli w zaroślach, zmęczeni i zaspokojeni.

W szpitalu rozgorączkowane pacjenci, pozostawieni sami sobie kręcili się bezradnie lub uciekali do lasu i na polanę w poszukiwaniu czegoś, czego sami nie potrafiliby nazwać. Człowiek ze złamaną nogą biegł pół mili przez las, zanim chora kończyła wreszcie nie wytrzymała. Upadł z szalonym śmiechem, a wielka, podobna do tygrysa bestia lizała go po twarzy i łasiła się jak kot.

Judith Lovat leżała spokojnie w swojej kwaterze, kołysząc wielkim, niebieskim klejnotem, zawieszonym na jej szyi. Przez cały czas nosiła go na piersi pod ubraniem, a teraz wyjęła, mając uczucie, że dziwny, gwiazdzisty wzór w jego wnętrzu

wywiera na nią hipnotyczny wpływ. Wspomnienia wirowały w jej umyśle, wspomnienia niezwykłego, uśmiechniętego szaleństwa, które już kiedyś nią zawładnęło. Po chwili, jakby w odpowiedzi na milczące wezwanie, wstała, ubrała się ciepło, bez zmrużenia oka przywłaszczając sobie najcieplejszą odzież kobiety, z którą dzieliła pokój (kobieta ta, a właściwie dziewczyna imieniem Eloise, oficer komunikacyjny na statku, siedziała właśnie pod drzewem, wsłuchana w przedziwne dźwięki wiatru tańczącego w liściach,

nucąc coś pod nosem). Spokojnie przeszła przez polanę i zagłębiła się w las. Nie była pewna, dokąd idzie, ale wiedziała, że kiedy nadejdzie czas, kierunek zostanie jej wskazany. Szła zatem stromą ścieżką, nie zbaczając z niej ani na chwilę, zasłuchana w muzykę niesioną wiatrem. Słowa, które знаła kiedyś na innej planecie, kołatały gdzieś w zakamarkach jej umysłu: kobieta, wzywająca swego kochanka-demonia...

Nie, nie demon, pomyślała, ale zbyt jasny, zbyt dziwny i piękny, by być człowiekiem... Idąc, słyszała własny szloch, wywołany wspomnieniem muzyki, migotliwego wiatru i kwiatów, dziwnych, płonących oczu jak przez mgłę pamiętanej istoty, fali strachu, która wkrótce przerodziła się w oczarowanie i szczęście, wrażeniem bliskości bardziej intensywnym niż cokolwiek, czego doznała wcześniej.

Czy właśnie tak było kiedyś na Ziemi, w legendarnych czasach, kiedy wędrowiec-poeta zwabiony przez baśniowy lud, wykrzyknął w zachwycie:

Spotkałem Panią w głębi lasu Dziecię wróżek

0 długich włosach i lekkich stopach

1 dzikim spojrzeniu

Czy tak właśnie to wyglądało? A może: *Syn Boga spojrzął na córki ludzi i ujrzał, że są piękne...*

Judy była na tyle dobrym naukowcem, że zdawała sobie sprawę, jakim szaleństwem było jej postępowanie tamtego dnia. Wiedziała, iż niektóre ze wspomnień są mocno podkoloryzowane i wypaczone przez odmienny stan świadomości, w jakim się wówczas znajdowała, ale przecież doświadczenie i namacalna rzeczywistość także się liczyły. Nawet jeśli w tym wszystkim tkwiła odrobina szaleństwa, to kryło się za nim coś całkiem realnego, tak realnego, jak słowa: *Chodź. Droga będzie ci wskazana i nie doznasz krzywdy...*

Listowie nad jej głową zaszeleściło niepokojąco, zatrzymała się więc i podniosła wzrok. Wstrzymała oddech, drżąc z napięcia. Tęsknota i chęć ujżenia raz jeszcze tej dziwnej, niezapomnianej twarzy były tak wielkie, że z trudem opanowała płacz zobaczywszy, że to tylko jeden z niziołków, małych czerwonoookich stworzeń, spoglądał na nią nieśmiało i z lękiem poprzez gęste liście. Po chwili stworzenie

zsunęło się po pniu i drżące, ale ufne stanęło przed nią wyciągając ręce.

Nie w pełni mogła czytać w jego umyśle. Wiedziała, że niziołki posiadają niższą inteligencję niż ona, a bariera językowa była ogromna, jakoś się jednak porozumiewali. Mały człowieczek drzewny wiedział, iż ona jest osobą, której szuka. Wiedział też, dlaczego to robi. Judy zaś od razu zrozumiała, że został wysłany po nią i niesie wieść, którą tak bardzo pragnęła usłyszeć. W koronach drzew dostrzegła inne nieśmiałe i dziwaczne twarze. Po chwili, gdy drzewni ludzie upewnili się, że jest wobec nich przyjazna, zeszli na dół i otoczyli ją ciasnym kręgiem. Jeden z nich chwycił jej rękę małą zimną dłonią, drugi zawiesił na jej szyi girlandy barwnych liści i kwiatów. Niemal z czcią powiedli ją w las, a ona podążyła za nimi bez protestu, wiedząc, że idzie na spotkanie, którego tak pragnęła.

Wysoko, w pomieszczeniach rozbitego statku rozległ się grzmot eksplozji. Ziemia zatrzęsała się, echo przetoczyło po lesie, płosząc z drzew ptaki, które ogromną chmurą poderwały się i na chwilę przesłoniły słońce. Nikt z Ziemiaków jednak hukowi nie usłyszał...

Moray leżał wyciągnięty na miękkiej, zaoranej ziemi ogrodu, w napięciu słuchając, jak rosną rośliny. Nie wiedział, jak to się dzieje, ale słyszał rosnące drzewa i trawy, płacz i skargi tych, które umierały, nie umiejąc żyć w obcej glebie, podczas gdy inne rozkwitały i ulegały zmianom, a ich wewnętrzne komórki przechodziły mutacje, aby zaadaptować się i przetrwać. Nie potrafiłby tego ująć w słowa, a jako człowiek praktyczny i materialista nie wierzył przecież w ESP. Kiedy jednak to dziwne szaleństwo pobudzało uśpione do tej pory obszary jego mózgu, nie próbował rozumować i analizować. Po prostu wiedział i akceptował tę wiedzę, którą – był tego pewien – posiadał już na zawsze.

Słońce wstające nad polaną zbudziło ojca Valentine. W pierwszej chwili usiadł, oszołomiony dziwnym stanem ducha i ze zdumieniem wpatrywał się w słońce i cztery księżyce, które z powodu dziwnej gry światła, a może wyostrzonych zmysłów, widział całkiem wyraźnie w ciemnofioletowej zorzy poranka: zielony, fioletowy, perłowoalabastrowy i jaskrawoniebieski. I nagle napłynęła fala wspomnień, przerażających wspomnień. Rozejrzał się i zobaczył leżących wokół członków załogi, wciąż jeszcze zmęczonych i pogrążonych w głębokim śnie. Cała ohyda tego, co zrobili w ciągu ostatnich kilku godzin ciemności, zwierzęcych żądź, dotarła do jego umysłu dotąd zamkniętego obłędem i podnieceniem, i zdał sobie sprawę z własnego szaleństwa.

Jeden ze śpiących miał przy pasie nóż. Młodziutki ksiądz, z twarzą zalaną łzami, chwycił go i zaczął kolejno likwidować wszystkich świadków swego grzechu, mruczając pod nosem fragmenty modlitwy za umarłych i nurzając ostrze w

strumieniach krwi...

To był wiatr, pomyślał MacAran. Heather miała rację, to coś w wietrze. Jakaś lotna substancja, pyłek lub kurz, spowodowała to zbiorowe, nie kontrolowane szaleństwo. Poznał je już wcześniej i tym razem choć trochę rozumiał, co się dzieje. A to wystarczyło, aby przetrwać jakoś i pokonując powracające ataki nagłej paniki lub euforii wykorzystać czas między nimi na zamykanie broni, amunicji, trucizn i laboratorium chemicznego. Wiedział, że Ewen i Heather robią to samo w szpitalu, chociaż tyle, ile zdołają. A jednak świadomość tego, co się w ciągu ostatniej doby zdarzyło, paraliżowała go. Kiedy zapadła noc, po prostu ukrył się w lesie, wiedząc, że jeden półprzytomny człowiek nie zdoła wiele przeciwko dwu setkom całkiem oszalałym kobiet i mężczyźn. Szaleństwo atakowało go falami, a on zwalczał je jedna po drugiej, kurczowo trzymając się rzeczywistości. Przeklęta planeta! Przeklęty świat, gdzie wiatr niosący obłąd czai się jak upiór na szczytach wzgórz. Szaleństwo, które dotyka zarówno ludzi, jak i zwierzęta. Wszechogarniający, pożerający, upiorny wichur szalał i przerażenia!

Kapitan ma rację. Musimy wynosić się z tej planety. Nikt tu nie zdoła przeżyć, żaden człowiek. Jesteśmy zbyt wrażliwi...

Nagle zaczął się przeraźliwie bać o Camillę. Gdzie jest w tę szaloną noc gwałtów, morderstw, nie kontrolowanej paniki, walki i zniszczenia? Szukał jej już wcześniej, ale bez skutku. Nie pomogło nawet, gdy wyostrzonymi zmysłami, w ten dziwny, nowy sposób próbował ją „usłyszeć” tak jak wtedy, podczas burzy śnieżnej na zboczu góry. Widać jego własny strach zakłócił czuły odbiornik. Czuł ją, ale gdzie? Czy ona także, gdy tylko zorientowała się w daremności swych prób, poszukała schronienia, by uciec przed obłądem innych? A może i ją opanowała żądza i euforia, może i ją wciągnęły grupy szaleńców, opętańczo zażywających rozkoszy, niebaczących na wszystko inne? Ta myśl sprawiła MacAranowi niewysłowiony ból, choć byłoby to w sumie najbezpieczniejsze. Mogła przecież paść ofiarą jakiegoś obłąkanego mordercy, zanim broń została zabezpieczona, albo w panice pobiec do lasu, gdzie mogły ją rozszarpać dzikie zwierzęta. Chyba by tego nie przeżył.

W głowie brzęczało mu jak w ulu. Potykając się wybiegł na polanę. W zaroślach nad strumieniem ujrzał nieruchome ciała. Nie potrafił jednak określić – martwe, poranione czy tylko zaspokojone. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że Camilli wśród nich nie ma. Miał wrażenie, że ziemia kołysze się pod jego stopami. Z trudem opanował przemożną chęć ucieczki między drzewa, w poszukiwaniu... w poszukiwaniu... Wytężył siły i sprowadził zbłąkane myśli do realnego świata, by kontynuować wędrówkę.

Nie było jej w świetlicy, gdzie członkowie komuny Nowych Hebrzyd leżeli pokodem, odsypiając zmęczenie, lub bezmyślnie brzdąkali na instrumentach strunowych. Nie

było jej w szpitalu, choć rozsypane na podłodze papierosy były wystarczającym dowodem, iż ktoś szalał tu pośród kartotek pacjentów... pochył się, podnieś garść papierosów i spójrz, jak przemykają ci się przez palce, jak wirują na wietrze niczym płatki śniegu... MacAran nie potrafiłby powiedzieć, jak długo tam stał, zasłuchany w wiatr i zapatrzony w rozigrane chmury, zanim fala obłędu znowu ustąpiła jak fala odpływu, która odciąga i zasysa piasek z plaży... Zanim się ocknął, pędzące chmury przykryły słońce i zerwał się lodowaty wichur. MacAran w przypiływie paniki podjął znowu poszukiwania.

Wreszcie wszedł do pomieszczenia w którym był komputer i stwierdził, że panują tam ciemności (co się stało ze światłem? Czyżby eksplozja zniszczyła wszystkie zasilacze ze statku?). W pierwszej chwili wydawało mu się, że pomieszczenie jest puste, kiedy jednak jego wzrok przyzwyczaił się do mroku, dostrzegł w kącie pokoju dwie widmowe sylwetki. Byli to kapitan Leicester i – ależ tak – Camilla, która klęczała obok, trzymając go za rękę.

W tej chwili już nie miał wątpliwości, że słyszy myśli kapitana: Dlaczego wcześniej cię nie dostrzegłem, Camillo? MacAran był zdumiony, a w głębi ducha i zawstydzony wściekłością, która nim zawaładnęła, która warczała i syczała mu do ucha: ta kobieta należy do mnie!

Ruszył w ich kierunku. Czuł, jak ściska mu się gardło, a wargi w bezgłośnym grymasie odsłaniają zaciśnięte zęby. Kapitan Leicester zerwał się i dumnie stawiał mu czoło. Ta sama niezwykła, podwyższona wrażliwość powiedziała MacAranowi o pomyłce, jaką popełnia kapitan...

Jeszcze jeden szalaniec. Muszę ochronić przed nim Camillę. To obowiązek, jaki muszę spełnić w stosunku do mojej załogi... i w tym momencie jego myśli zmacone zostały gniewem i pożądaniem. MacAran także poczuł narastającą złość. Leicester przycupnął i skoczył. Upadli na podłogę z głębokim, gardłowym warczeniem, zwarci w

prymitywnej walce. Nagle MacAran znalazł się na górze i w przebłysku świadomości dostrzegł Camillę, która spokojnie stała oparta o ścianę. Tylko jej oczy były rozszerzone i malowało się w nich podniecenie. Wyczuł, że widok walczących mężczyzn pobudza ją, że zaakceptuje – bez najmniejszych oporów – zwycięzcę tej walki, obojętne kto nim zostanie.

MacAran oderwał się od kapitana i z trudem stanął na nogi.

–Kapitanie, to idiotyzm – szepnął z naciskiem. – Proszę spróbować się temu nie poddawać, pan może to opanować. Proszę spróbować przeciwstawić się temu, zachować rozsądek...

Leicester przetoczył się po podłodze i zerwał, rycząc z wściekłości. W kącikach ust pojawiła się piana, oczy miał błędne. Opuścił głowę i z całej siły natarł na MacArana. Rafe, już całkiem przytomny, odstąpił na bok.

–Przykro mi, kapitanie – rzekł z żalem i jednym, dobrze wymierzonym ciosem w podbródek obalił szaleńca na ziemię.

Patrzył na leżącego i czuł, jak cała wściekłość spłynęła z niego jak krople wody. Podszedł do Camilli i ukląkł obok. Z uśmiechem spojrzała na niego. Nagle nie mieli już wątpliwości, znów narodziło się między nimi porozumienie.

–Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży, Camillo? – zapytał łagodnie. – Ja też byłbym bardzo szczęśliwy.

Nie wiem. Najpierw bardzo się bałam, nie potrafiłam tego zaakceptować. Moje życie uległo zbyt gwałtownej zmianie. Ale teraz już się z tym pogodziłam?

–W tej chwili tak – odpowiedziała na głos. – Ale teraz wszystko jest inne. Później znowu mogę się odmienić.

–A więc to nie złudzenie – rzekł półgłosem. – Rzeczywiście odczytujemy myśli innych.

–Oczywiście – odparła z łagodnym uśmiechem. – Nie wiedziałeś o tym?

Oczywiście, pomyślał MacAran. Dlatego ten wiatr przynosi szaleństwo.

Człowiek pierwotny na Ziemi też musiał posiadać ESP i całą gamę zdolności psi jako rezerwowy sposób przeżycia. Stąd właśnie uporczywa wiara w te zdolności, poparta jedynie nikłymi dowodami, ale i możliwość przeżycia tam, gdzie zwykła inteligencja nie wystarczy. Wątpią istota, jaką był człowiek pierwotny, nie byłaby zdolna przeżyć mając wzrok gorszy niż ptaki i jedną dziesiątą czułości słuchu psa lub drapieżnika, i nie widząc gdzie szukać jedzenia, wody, schronienia, jak unikać

naturalnych wrogów. W miarę jednak rozwoju cywilizacji i techniki nie wykorzystywane umiejętności zanikły. Człowiek, który mało chodzi, zatracą umiejętność biegania i wspinania się, ale przecież mięśnie pozostają i można je na nowo rozwinąć, wie o tym każdy atleta i cyrkowiec. Ludzie, którzy polegają na zapiskach, tracą umiejętność dawnych bardów, przechowujących w pamięci całe epepeje i genealogie. Przez tysiąclecia usypiona ESP pozostawała w genach i chromosomach człowieka, w jego mózgu, a teraz jakaś substancja niesiona wiatrem

(pyłek? kurz? wirus?) pobudziła ją do życia.

I wywołało to szaleństwo. Człowiek, przyzwyczajony do wykorzystywania pięciu zmysłów, został nagle zbombardowany nowymi informacjami, do tej pory nie wykorzystywanymi. Jego prymitywny mózg, pobudzony ponad miarę, nie był w stanie tego znieść i zareagował przerażającą utratą zahamowań, ekstazą lub ślepą, nieprzeniknioną odmową zaakceptowania prawdy.

Jeśli mamy przeżyć na tej planecie, musimy nauczyć się słuchać, akceptować i wykorzystywać tę umiejętność, nie zaś walczyć z nią.

Camilla ujęła go za rękę.

–Posłuchaj, Rafe – powiedziała na głos. – Wiatr ucicha. Wkrótce zaczniesz padać i wszystko się skończy. Możemy... mogę znowu się zmienić, Rafe. Cieszymy się zatem tym, że jesteśmy razem... póki można.

Jej miękki głos brzmiał tak smutno, że nawet mężczyzna mógłby wybuchnąć płaczem. Rafe ujął ją za rękę i razem, w milczeniu, ruszyli do drzwi. Nim wyszli, dziewczyna pochyliła się nad kapitanem, wsunęła mu pod głowę własną zwiniętą kurtkę, potem na chwilę uklękła u jego boku i ucałowała go w policzek. Potem podeszła do Rafe'a, przytuliła się do niego drżąc lekko od niewylanych łez, a on wyprowadził ją na zewnątrz.

Wysoko na wzgórzach zebrała się mgła i zaczął padać drobny, mżący deszczyk. Małe czerwonoookie stworzenia, jakby budząc się z głębokiego snu, poderwały się, rozejrzały w popłochu wokół siebie i popędziły poszukać schronienia na nadrzewnych mostach i w domkach uplecionych z gałęzi i wikliny. Harcujące w dolinach zwierzęta zaryczały cicho zdumione i głodne, porzuciły swe harce i gonitwy, wracając do spokojnego szczypania trawy nad brzegami strumieni. A obcy przybysze z Ziemi poczuwszy na twarzach deszcz przebudzili się po to tylko, aby się przekonać, że przeżyty koszmar przybrał straszliwie realne kształty.

Kapitan Leicester z wolna odzyskiwał przytomność. Z zewnątrz dobiegał jednostajny szum. Bolała go szczęka, z trudem stanął na nogach, pomacał twarz, usiłując wygrzebać z dziwnie zamglonej pamięci wydarzenia ostatnich trzydziestu kilku godzin. Twarz miał zarośniętą, mundur brudny i wymięty. Pamięć? Zmieszany potrząsnął głową, a gdy poczuł ból, przycisnął palce do pulsujących skroni.

Przed oczami przesuwaly mu się jakieś obrazy, nie całkiem realne, jak z długiego snu. Strzelanina, jakaś walka, słodka twarz rudowłosej dziewczyny i ostry, wyraźny obraz jej nagiego, otwartego ciała. Czy to była rzeczywistość, czy szalona fantazja? Czy eksplozja, która zatrzęsła przecinką, to wybuch na statku? Myśli miał zbyt zamglone, oszołomione snem i koszmarem, by pamiętać, co zrobił i gdzie chodził

później, ale jednego był pewien: wrócił tu i zastał Camillę samą. Oczywiście pilnowała komputera, jak kwoka pilnuje swojego jedyne pisklęcia. A potem pojawiło się mgliste wspomnienie długiej chwili sam na sam z Camillą, jej dłoni w jego dłoniach, jakiejś intensywnej, pełnej, głęboko zakorzonej bliskości, bliskości aż do bólu – ale w jakiś sposób aseksualnej, choć i to nie było całkiem prawdą... a może to tylko iluzja, zaćmione wspomnienie rudowłosej dziewczyny, której imienia nie znał... dziwnych pieśni, które śpiewała... i znowu przyływ lęku i eksplozja wspomnień, a potem ciemność i sen.

Z nową falą powróciła przytomność, koszmar znikł. Co w tym czasie szaleństwa działo się z załogą, ze statkiem, z całą resztą? Nie wiadomo. Lepiej to sprawdzić. Jak przez mgłę przypominał sobie, że zanim stracił przytomność, kogoś postrzelono... a może to też była część długiej maligny? Przycisnął guzik, służący do wzywania straży porządkowej na statku, ale nikt się nie pojawił. Zorientował się, że światło też nie działa. A zatem w obłędzie ktoś dobrał się do źródeł zasilania. Jakże jeszcze szkody wyrządzono? Lepiej iść i sprawdzić. A poza tym, gdzie jest Camilla?

W tym właśnie momencie Camilla odsunęła się od Rafe'a.

–Muszę wrócić na statek i zobaczyć, jakie wyrządzono szkody, *querido* - szepnęła czule. – Muszę też sprawdzić, co dzieje się z kapitanem, w końcu nadal jestem członkiem załogi, pamiętaj o tym. Nasz czas dobiegł końca... przynajmniej na razie. Będziemy mieć teraz pełne ręce roboty. Muszę iść do niego... tak, wiem, ale jego także kocham, choć nie tak, jak ciebie, ale przecież dopiero się uczę tylu nowych rzeczy o miłości, mój ukochany. Mogła mu się stać jakaś krzywda.

Wybiegła na ulewny deszcz, który właśnie zaczął się zamieniać w mokry, ciężki śnieg. Mam nadzieję, że znajdziemy tu jakieś zwierzęta futerkowe, pomyślała, bo ubrania wyprodukowane na Ziemi nie wytrzymają nawet jednej zimy. Kiedy wchodziła do mrocznej kopuły, myśl ta na dobre zadomowiła się już w jej umyśle.

–Gdzie pani była, poruczniku? – niepewnym głosem odezwał się kapitan. – Mam niejasne wrażenie, że winien jestem pani jakieś przeprosiny, ale nie bardzo mogę sobie przypomnieć z jakiego powodu.

Rozejrzała się po wnętrzu kopuły, dokonując pobieżnej oceny uszkodzeń.

–To niemądre, nazywać mnie teraz panią porucznik. Przedtem... jeszcze przed lądowaniem, nazywał mnie pan Camilla...

–Camillo, gdzie są wszyscy? Wydaje mi się, że przydarzyło nam się to samo co wam wtedy w górach?

–Też tak sądzę. Wyobrażam sobie, że za chwilę – wszyscy na własnej skórze odczujemy oplakane skutki tego zjawiska – wzdrygnęła się. – Boję się, kapitanie... – Urwała z dziwnym, niepewnym uśmiechem. – Nie wiem nawet, jak masz na imię. –Harry. – Jakimś obcym głosem odrzekł kapitan Leicester, nie odrywając wzroku od komputera.

Camilla krzyknęła nagle i podbiegła do maszyny. Odszukała świecę, zapaliła i w jej świetle przyjrzała się konsoli.

Główne banki pamięci informacyjnej zasłonięte były płytami, które miały chronić czułe urządzenia przed kurzem, mechanicznym uszkodzeniem, przypadkowym skasowaniem lub modyfikacją. Camilla złapała jakiś śrubokręt i w gorączkowym pośpiechu zaczęła odkręcać śruby. Zaniepokojony kapitan podszedł bliżej.

–Potrzymam światło – zaproponował.

Mogła pracować szybciej.

–Ktoś majstrował przy płytach – wycedziła przez zęby. – Kapitanie, to mi się nie podoba...

Śruby puściły i płyta została jej w rękach. Camilla wytrzeszczyła oczy. Twarz jej pobladła nagle, ręce opadły w przerażeniu i gniewie.

–Wiesz, co się stało – wykrztusiła stłumionym głosem, który uwiązał jej w gardle. – To komputer. Przynajmniej połowa programów... może więcej... została skasowana. Zatarta. A bez komputera...

–Bez komputera – powoli podjął kapitan Leicester – ten statek to tylko kilka ton złomu i śmieci. Koniec z nami, Camillo. Przepadliśmy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wysoko, ponad lasem, w nadrzewnym szałasie ciasno splecionym z trzciny i liści, pośród cichego szumu padającego na zewnątrz deszczu, na sofie pokrytej miękką tkaniną siedziała Judy, chłonąc, nie zawsze za pośrednictwem słów, to, co próbował jej powiedzieć piękny obcy o srebrzystych oczach.

–Nas też ogarnia to szaleństwo i niezmiernie ubolewam, że w ten właśnie sposób wdarliśmy się w życie waszego ludu. Był taki okres... nie teraz, ale dawno, w

zamierzchłych czasach, kiedy i nasi ludzie, podobnie, jak wy, podróżowali pośród gwiazd. Może tamci, na początku, wszyscy byli jednej krwi, a wy jesteście naszymi młodszymi braćmi, tak jak i kosmaty lud nadrzewny. To bardzo prawdopodobne, skoro ty i ja byliśmy ze sobą w szaleństwie, które przyniósł wiatr, a teraz nosisz w sobie moje dziecko. I nawet nie mogę powiedzieć, że wszystkiego żałuję...

Dotknięcie dłoni, lekkie jak muśnięcie piórka. Nic więcej, ale Judy miała wrażenie, że nigdy nie знаła nic równie czułego jak smutne oczy nieznanego.

–Teraz, bez szaleństwa we krwi, czuję tylko, jak bardzo mi cię żal, maleńka.

Żadna z naszych kobiet nigdy nie nosi swego dziecka w samotności, ty jednak musisz powrócić do swojego ludu i nie możemy się tobą zaopiekować. Nie byłabyś w

stanie znieść zimna, panującego w naszych domostwach teraz w lecie, a cóż dopiero

zimą. Z pewnością umarłabyś, moje dziecko.

Całe jestestwo Judy stało się jednym wielkim krzykiem rozpacz:

–Czy już nigdy cię nie ujrzę?

–Mogę dotrzeć do twojego umysłu bez przeszkód tylko w te dni, choć i tak teraz jest on bardziej dla mnie otwarty niż przedtem. Zazwyczaj umysły twojego ludu są niby na pół przymknięte drzwi. Lepiej byłoby, gdybym pozwolił ci teraz odejść,

abyś już nigdy nie musiała wspominać chwili szaleństwa, ale... - Nastąpiło długie milczenie, a potem obcy westchnął głęboko. – Nie mogę, nie mogę! Jak mógłbym pozwolić, abyś ode mnie odeszła i nigdy się nie dowiedzieć...

Dziwny nieznajomy wyciągnął dłoń i dotknął klejnotu, który na cienkim łańcuszku zwisał z jej szyi.

–Wykorzystujemy je... czasami... do szkolenia naszych dzieci. Jako dorośli nie potrzebujemy ich. Ten jest podarunkiem miłości dla ciebie, ofiarowanym pod wpływem szaleństwa, może niemądrze, jak z pewnością stwierdziliby starsi. Gdyby jednak twój umysł otworzył się na tyle, aby opanować klejnot, może udałoby mi się czasami dotrzeć do ciebie, by się dowiedzieć, czy z tobą i z dzieckiem wszystko w porządku.

Na krótką chwilę opuściła wzrok na błękitny kamień podobny do gwiazdzistego szafiru, rozbłyskujący wewnętrznym ogniem, po czym znowu smutno spojrzała na obcego. Był wyższy od ludzi, miał wielkie, bladoszare, niemal srebrzyste oczy i jasną

skórę, rysy jego twarzy były niezwykle delikatne. Miał też długie, smukłe palce, a stopy jego były bose pomimo panującego zimna. Długie, niemal bezbarwne włosy spływały mu na ramiona jak jedwabna przędza – był dziwny i niezwykły, tak piękny, że

jego widok budził w niej uczucia podobne do bólu. Wyciągnął do niej rękę i z nieskończoną czułością i smutkiem przygarnął ją na chwilę do siebie. Poczowała, że ta lekka pieśczoła jest czymś rzadkim, niezwykłym, ustępstwem na rzecz jej rozpacz i samotności. Oczywiście, rasa telepatyczna nie potrzebuje demonstracyjnych gestów.

–A teraz powinnaś już odejść, moje biedactwo. Odprowadzę cię na skraj lasu, a niziołki poprowadzą cię dalej. Boję się waszych ludzi, są tacy dzicy i gwałtowni, a

wasze umysły... wasze umysły są zamknięte...

Judy wstała i podniosła oczy na obcego. Smutek rozstania sprawiał, że zaledwie dostrzegała ból i lęk towarzysza.

–Rozumiem – powiedziała głośno. Napięta twarz obcego rozluźniła się nieco.

–Czy ujrzę cię jeszcze?

–*Tyle się może jeszcze dobrego i złego zdarzyć, drogie dziecko. Tylko czas wie...*

Nie mam odwagi składać ci obietnic.

Czułym ruchem poprawił na niej podbity futrem płaszcz, w który owinął ją

wcześniej. Skinęła głową, próbując powstrzymać łzy. Dopiero, gdy zniknął w lesie, załamała się i z płaczem podążyła za małymi, kosmatymi stworzeniami, które zeszyły z drzewa, aby przeprowadzić ją przez nieznane tereny.

–Nie możesz się dziwić, że jesteś głównym podejrzanym – opryskliwie stwierdził kapitan Leicester. – Nigdy nie kryłeś, że nie chcesz opuścić planety, a uszkodzenie komputera pozwalałoby ci postawić na swoim. Teraz nigdy już się stąd nie ruszymy.

–Mylisz się, kapitanie. – Moray bez zmrużenia oka wytrzymał jego wzrok. – Od początku wiedziałem, że nigdy nie uda nam się opuścić tej planety. W czasie tego... jakże to nazwać? Zbiorowego szaleństwa? Tak, więc w czasie tego zbiorowego szaleństwa przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby, gdyby komputer nie działał. Może wtedy przestałbyś udawać, że potrafimy naprawić statek.

–Nie udawałem – lodowato odparł kapitan.

Moray wzruszył ramionami.

–Słowa nie mają aż takiego znaczenia. No dobrze, może wówczas przestałbyś się oszukiwać, że jesteśmy w stanie cokolwiek zrobić, i zajął się poważniejszymi sprawami. Ale nie zniszczyłem komputera. Szczerze mówiąc, może spróbowałbym, gdybym tylko wpadł na to, ale nie umiem odróżnić, gdzie się komputer zaczyna, a gdzie kończy. Nie potrafiłbym go zepsuć. Pewnie mógłbym go jakoś zniszczyć... owszem, słyszałem jakiś wybuch... ale akurat w tym momencie leżałem sobie w

ogrodzie – zaśmiał się z nagłym zmieszaniem – i bawiłem się, jak nigdy w życiu rozmową z główką kapusty czy czymś w tym rodzaju.

Leicester zmarszczył brwi.

–Nikt nie wysadził, ani nawet nie zepsuł komputera. Po prostu skasowano oprogramowanie, a to mogła zrobić każda osoba, która nie jest analfabetą.

–Każda osoba, która nie jest analfabetą i zna choć trochę statki kosmiczne - poprawił go Moray. – Być może. Kapitanie, nie wiem, jak pana przekonać, ale naprawdę nie jestem technikiem tylko ekologiem. Nie mam nawet pojęcia, jak wygląda program komputerowy. Skoro jednak sprzęt nie jest zepsuty, to o co tyle zamieszania? Można go na nowo zaprogramować czy jak to wy tam nazywacie? Czy te taśmy, czy cokolwiek to jest, są takie niezastąpione?

Nagle Leicester stwierdził, że wierzy Morayowi. On rzeczywiście nic nie wie.

–Dla twojej informacji – rzekł sucho – ten komputer miał zarejestrowane około połowy całej wiedzy ludzkości na temat fizyki i astronomii. Nawet gdyby wśród mojej

załogi znalazły się cztery tuziny członków Królewskiego College’u Astronomicznego w Edynburgu, samo zaprogramowanie danych nawigacyjnych zajęłoby im około trzydziestu lat. Nie liczę nawet programów medycznych, bo jeszcze ich nie sprawdzaliśmy, ani materiałów z biblioteki pokładowej. Biorąc to wszystko pod uwagę, zniszczenie komputera jest potworniejszym wandalizmem niż spalenie biblioteki w Aleksandrii.

–Cóż, mogę jedynie powtórzyć, że nie zrobiłem tego i nie wiem, kto byłby do tego zdolny – odparł Moray. – Proszę rozejrzeć się wśród członków załogi, to ludzie którzy

posiadają pewną wiedzę techniczną – zaśmiał się sucho, niewesoło – i poszukać kogoś,

kto wystarczająco długo był w stanie zachować rozsądek. Czy ci z sekcji medycznej stwierdzili już, co to było?

Leicester wzruszył ramionami.

–Najbardziej prawdopodobny jest domysł, że chodzi o niesiony wiatrem pyłek,

który zawiera jakiś silny środek halucynogeny. Nie zidentyfikowali go do tej pory i

chyba nic się nie zmieni, dopóki w szpitalu nie zapanuje porządek.

Moray potrząsnął głową. Wiedział, że kapitan mu uwierzył, a szczerze mówiąc sabotaż komputera niezbyt go uradował. Dopóki wszystkie wysiłki Leicestera skierowane były na próby naprawy statku, nie groziło, że zacznie się wtrącać w to, co Moray robił, aby zapewnić kolonii przetrwanie. Teraz, pozbawiony statku, mógł okazać się poważną przeszkodą w planowanym podboju nowego świata. Teraz Moray naprawdę zrozumiał stare powiedzenie: „Kapitana statku kosmicznego nie można posłać na emeryturę. Trzeba go zastrzelić”.

Ta myśl przeraziła go. Nie był człowiekiem gwałtownym, ale w ciągu trzydziestu sześciu godzin dziwnego wiatru odkrył w sobie bolesne i nie poznane głębie. Może ktoś inny pomyśli o tym następnym razem, ale dlaczego jestem taki pewien, że będzie następnym razem? A może będę to ja... ktoś to może wiedzieć?

–Czy jest już raport na temat uszkodzeń? – zapytał nagle odpędzając od siebie niepożądaną myśl.

–Dziewiętnaście ofiar. Nie ma jeszcze raportów medycznych, ale co najmniej czterech pacjentów szpitala zmarło z braku opieki – zwięźle odparł Leicester. – Dwa samobójstwa. Jedna z dziewcząt poraniła się potłuczonym szkłem i wykrwawiła na śmierć, ale to raczej wypadek niż samobójstwo. I... przypuszczam, że słyszałeś o ojcu Valentine.

Moray przymknął oczy.

–Słyszałem o morderstwach, ale nie znam szczegółów.

–Nie wiem, czy zna je ktokolwiek z żyjących – odparł Leicester. – On także nic nie wie i pewnie tak już zostanie, chyba że Di Asturien zaaplikuje mu narkosyntezę lub coś w tym rodzaju. Wiem tyle tylko, że był akurat w grupie członków załogi, którzy zabawiali się... to znaczy uprawiali seks... na brzegu rzeki. Zdaje się, że posunęli się dość daleko. Kiedy przeszła pierwsza fala, zorientował się, co zrobił i chyba nie mógł sobie z tym poradzić, więc zaczął podrywać im gardła.

–Czy mam rozumieć, że próbował popełnić samobójstwo?

Leicester potrząsnął głową.

–Nie, podejrzewam, że otrząsnął się z tego akurat na czas, aby zorientować się, że samobójstwo także jest grzechem. Zabawne. Wydaje mi się, że zacząłem się

przyzwyczajając do okropności na tej twojej rajskiej planecie. W tej chwili myślę jedynie

o tym, ile kłopotu zaoszczędziłby nam, gdyby nie zrezygnował. A tak – będę musiał go

sądzić za morderstwo lub poprosić ludzi o podjęcie decyzji, czy powinniśmy tu wprowadzić najwyższy wymiar kary.

Moray uśmiechnął się blado.

–Po co tyle zachodu? – zapytał. – A jakież inne można znaleźć wytłumaczenie, jak nie przejściowy obłąd?

–Na Boga, masz rację! – Leicester potarł ręką czoło.

–Mówię całkiem poważnie, kapitanie. Kto wie, czy nie będziemy zmuszeni stawić temu czoło jeszcze niejednym razem. Przynajmniej dopóki nie poznamy przyczyny... Proponuję natychmiast rozbroić strażę; pierwszy zauważony objaw wystąpił w chwili, kiedy oficer strzelił najpierw do dziewczyny, a potem do swojego kolegi. Proponuję też, aby po każdej bezdeszczowej nocy zamykać wszystkie śmiertelne narzędzia, noże kuchenne, instrumenty chirurgiczne i tym podobne. Pewnie nie zapobiegnie to wszystkim problemom, w końcu nie możemy usunąć każdego kamienia i kija na tej planecie. Sądząc po pańskim wyglądzie, ktoś zapomniał, kim pan jest, i też solidnie panu przyłożył.

Leicester potarł podbródek:

–Czy uwierzyłbyś, że w moim wieku biłem się o dziewczynę?

Po raz pierwszy obaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie. Był to moment zwykłej ludzkiej sympatii, który niestety natychmiast minął.

–Pomyślę o tym – odezwał się Leicester. – To nie będzie łatwe.

–Nic tu nie będzie łatwe, kapitanie – ponuro zawyrokował Moray. – Przeczuwam

jednak, że jeśli nie rozpoczniemy poważnej kampanii przeciwko przemocy – i to takiej, która przetrzyma nawet zbiorowy obłąd – nikt z nas nie przeżyje lata.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na szczęście ogród nie ucierpiał, pomyślał MacAran. Być może jakiś głęboko ukryty instynkt samozachowawczy podpowiedział oszalałym kolonistom, że to ich ostatnia deska ratunku. Tymczasem remont szpitala był w toku, brygady robocze skierowane do prac fizycznych rozbierały statek na części. Moray z goryczą podkreślił, że w ciągu kilku następnych lat będzie to ich jedyne źródło metalu do wyrobu narzędzi i instalacji. Kawalek po kawalku rozmontowywano wewnętrzne urządzenia wspaniałego niegdyś statku – meble z pomieszczeń rekreacyjnych i kajut zostały wymontowane i zainstalowane w sypialniach i budynkach publicznych, grupy urzędnicze inwentaryzowały sprzęt z warsztatów naprawczych, kuchni, a nawet z mostku kapitańskiego. MacAran wiedział, że Camilla zajęta jest sprawdzaniem komputera, że próbuje uratować niektóre chociaż programy. Wszystkie, najdrobniejsze nawet przedmioty, włącznie z kosmetykami dla kobiet i długopisami w magazynie kantyny, zostały policzone i wydawane według rozdzielnika. Moray nie ukrywał, że kiedy skończą się zapasy przywiezione z Ziemi, nie będzie jak uzupełnić braków, trzeba więc do tego czasu wyprodukować materiały zastępcze, aby móc stopniowo je wprowadzać.

Przecinka wyglądała teraz przedziwnie: małe kopuły, zbudowane z plastiku i włókien, a uszkodzone przez burzę, naprawiono miejscowym drewnem, obok nich znajdowały się sterty skomplikowanych urządzeń strzeżonych i stopniowo segregowanych przez umundurowanych członków załogi pod dowództwem głównego inżyniera Patricka. Ludzie z Nowych Hebryd pracowali w ogrodzie i w lesie, i jak domyślał się MacAran, był to ich własny wybór.

Rafe przyglądał się właśnie dwóm pismom, które były do niego skierowane. Zwyczaj pisania i rozsyłania memorandów utrzymał się do tej pory i najprawdopodobniej dopiero kurczący się zapas papieru będzie w stanie to zmienić. Czym go zastąpią? Systemem dzwonek zakodowanych na każdą osobę, jak to było stosowane w niektórych biurach? Przekazywanie komunikatów drogą ustną? A może uda im się odkryć sposób produkcji papieru z miejscowych materiałów i w ten sposób utrzymać wielowiekową tradycję pisanych okólników? Jedna z karteczek wzywała go do szpitala na tak zwane badania rutynowe, druga – do biura Moraya po analizę i przydział pracy.

Właściwie wiadomość o bezużyteczności komputera i przymusowym opuszczeniu statku została przyjęta bez wielkich emocji. Między członkami załogi słyszało się czasem szepty, że tego, kto zniszczył programy, należałoby zlinczować, ale na razie nie udało się dowiedzieć, kto wykasował pamięć komputera nawigacyjnego i podłożył zaimprovizowaną bombę w komorze silnikowej. O ten ostatni czyn podejrzewano jednego z mechaników, który tuż przed wybuchem poprosił o przyjęcie do grupy Nowych Hebryd. Jego poszarpane zwłoki znaleziono w pobliżu miejsca eksplozji.

Takie wytłumaczenie zadowalało wszystkich bez wyjątku.

MacAran przypuszczał, że spokój nie utrzyma się długo, że to tylko chwilowa reakcja na ostatnie wydarzenia i prędzej czy później znowu dojdzie do zamieszek. Na razie jednak wszyscy uznali za oczywistą konieczność wspólne działanie w celu naprawienia szkód i przygotowania się do przetrwania zimy, która wciąż pozostawała wielką niewiadomą. Sam MacAran nie był pewny swoich uczuć, ale w głębi duszy uważał, że znacznie ciekawiej jest kolonizować dziewiczą planetę, aniżeli taką przerobioną na podobieństwo Ziemi przez Ziemskie Grupy Eksploracyjne. Nie był jednak duchowo przygotowany na zupełne odcięcie od Ziemi jako takiej – bez statków, bez możliwości komunikacji z resztą Galaktyki i to na długo, kto wie, czy nie na zawsze. I to właśnie bolało najbardziej. Jeszcze się z tym nie pogodził i prawdopodobnie nigdy się nie pogodzi.

Skierował się do budynku, w którym znajdowało się biuro Moraya, przeczytał tablicę na drzwiach: NIE PUKAĆ. WCHODZIĆ i wszedł. Moray rozmawiał właśnie z dziewczyną, która sądząc po stroju należała do grupy Nowych Hebryd.

–Tak, tak, kochanie, wiem, że chcesz być przydzielona do pracy w ogrodzie, ale w twoich dokumentach zawodowych jest informacja, że zajmowałaś się ceramiką artystyczną. Będziesz więc tu potrzebna. Czy zdajesz sobie sprawę, że garncarstwo jest

pierwszą ze sztuk rozwijających się w każdej niemal cywilizacji? A poza tym czytałem chyba w raporcie, że jesteś w ciąży?

–Tak, moja ceremonia Oznajmienia odbyła się wczoraj. My jednak zawsze pracujemy aż do samego rozwiązania...

Moray uśmiechnął się blado.

–Cieszę się, że tak dobrze się czujesz. W koloniach jednak kobiety nigdy nie wykonują robót fizycznych.

–Artykuł czwarty...

–Artykuł czwarty – przerwał jej Moray z ponurą miną – został opracowany na Ziemi i w warunkach ziemskich. Wyobraź sobie, Alanno, co dzieje się z życiem na planetach o innej grawitacji, świetle i zawartości tlenu w atmosferze. I tak mieliśmy szczęście trafiając tutaj, gdzie zawartość tlenu jest wyższa, grawitacja mniejsza,

więc

nie grozi niemowlętom niedotlenienie czy syndrom zgniecenia. Nawet na najlepszych

jednak planetach na przebieg ciąży może mieć wpływ sam fakt zmiany środowiska, a

dla populacji tak małych, jak nasza, statystyka jest bezlitosna. Połowa kobiet staje się

bezpłodna na pięć do dziesięciu lat, u połowy kobiet płodnych przez pięć do dziesięciu

lat występują poronienia. I przez taki sam okres połowa żywych noworodków umiera

przed ukończeniem miesiąca. Kobiety w kolonii muszą być rozpieszczane, Alanno.

Bądź rozsądna, inaczej zostaniesz ubezwłasnowolniona i hospitalizowana. Jeśli chcesz

należać do tych szczęśliwych, które urodzą żywe dziecko zamiast martwego potworka,

zaczynij z nami współpracować. I to od zaraz!

MacAran zajął jej miejsce przed zatłoczonym biurkiem, zanim oszołomiona i zaszokowana dziewczyna wycofała się, ściskając w garści skierowanie do szpitala. Moray spojrział na niego skrzywiony.

–Słyszałeś? Jak ci się podoba moja praca? Zawodowo straszę na śmierć młode kobiety w ciąży.

–Nieszczególnie – odparł MacAran, myśląc o Camilli, która także nosiła w swym łonie dziecko. Nie była więc bezpłodna. Ale istnieje jedna szansa na dwie, że poroni, a potem pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że dziecko umrze. Ponura statystyka, która napawała go przerażeniem. Czy powiedzieli jej o tym? Czy wie? Czy jest posłuszna? Nie wiedział. Ostatnie dziesięć dni spędziła z kapitanem, zamknięta w sali komputerowej.

Moray lekko zmarszczył brwi.

–Należysz do szczęśliwców, MacAran. Nie jesteś bezrobotny z technicznego punktu widzenia.

–Hę?

–Jesteś geologiem i będziemy od ciebie wymagać tego, czego się nauczyłeś.

Słyszałeś, jak mówiłem Alannie, że pierwszym przemysłem, jakiego pilnie potrzebujemy, jest garncarstwo. Dlatego potrzebna jest nam glina porcelanowa lub dobry materiał zastępczy. Potrzebujemy też dobrych materiałów budowlanych, cementu lub betonu, potrzebujemy wapnia lub czegoś o takich samych

właściwościach, krzemionek na szkło, rozmaitych rud... innymi słowy potrzebny nam

raport geologiczny o tej części planety i to jeszcze przed rozpoczęciem zimy. Nie jesteś

może najważniejszy, Mac, ale mieścisz się w kategorii drugiej lub trzeciej. Czy możesz

w ciągu dwóch dni przygotować plan pobierania próbek i eksploracji oraz określić w przybliżeniu, ilu ludzi będziesz do tego potrzebował?

–Tak, i mogę to zrobić dość szybko. Wydawało mi się jednak, że powiedziałeś, iż nie możemy stworzyć cywilizacji technologicznej?

–Nie możemy – zgodził się Moray. – Przynajmniej nie w takim znaczeniu tego słowa, w jakim używa go inżynier Patrick. Żadnego przemysłu ciężkiego. Żadnego transportu mechanicznego. Ale nie istnieje cywilizacja nietechnologiczna. Nawet jaskiniowcy posiadali technologię – produkowali krzemień, chyba widziałeś ich fabryki? Człowiek wykorzystuje narzędzia, jest więc technikiem. Nigdy nie chciałem, żebyśmy zaczęli jak dzikusy. Pytanie tylko brzmi: jakie technologie możemy stworzyć tutaj, zwłaszcza w ciągu pierwszych trzech, czterech pokoleń?

–Masz dalekosiężne plany!

–Muszę je mieć.

–Mówiłeś, że mój zawód nie jest najważniejszy. Co jest więc na pierwszym miejscu?

–Żywność – oznajmił Moray. – I znowu mieliśmy szczęście, bo ziemia nadaje się do

uprawy, choć jest kiepskiej jakości. Zastosujemy nawozy i komposty i rolnictwo

będzie możliwe. Znałem planety, na których problemowi wyżywienia przyznano tak

wysoki priorytet i to na tak długi czas, że nawet najdrobniejsze rzemiosło musiało

**czekać dwa lub trzy pokolenia. Wprawdzie nie kolonizuje się takich planet, ale
równie**

dobrze mogliśmy spaść na jedną z nich. Tu może nawet znajdziemy zwierzęta, które

dadzą się udomowić. Zajmuje się tym MacLeod. Drugie w kolejności są schronienia

**aha, póki pamiętam, podczas swoich badań sprawdź, czy w dolnych partiach
zbcoczy**

**nie ma jaskiń. Mogą okazać się cieplejsze niż wszystko, co zdołalibyśmy zbudować.
Po**

żywności i schronieniu przychodzą proste rzemiosła, to co niesie ze sobą życie:

tkactwo, garncarstwo, paliwo i oświetlenie, odzież, muzyka, narzędzia ogrodowe,

meble. Rozumiesz, o co mi chodzi. Idź więc, MacAran, i przygotuj mi ten plan, a ja

przydzielę ci tylu ludzi, żebyś mógł go wykonać. – Posłał mu kolejny ponury

uśmiezek. – Jak powiedziałem, należysz do grona szczęśliwców. Dzisiaj

powiedziałem ekspertowi od komunikacji międzygwiazdnej, ale bez żadnych innych

umiejętności, że jego zawód jest kompletnie niepotrzebny przez co najmniej dziesięć

pokoleń, po czym dałem mu wybór między rolnictwem, budownictwem lub

kowalstwem!

MacAran opuścił biuro i jego myśli natychmiast powędrowały ku Camilli. Czy i ją

spotka taki sam los? Nie, na pewno nie, każda cywilizowana grupa ludzi musi znaleźć

jakieś zastosowanie dla biblioteki komputerowej! Czy jednak Moray, ze swoimi

ponurymi priorytetami, będzie podzielał jego zdanie?

Ruszył w stronę szpitala. Południowe słońce wisiało wysoko na niebie, wielkie i

czerwone jak nabiegłe krwią oko, rzucając wokół bladofioletowe cienie. W pewnej

odległości od niego samotny człowiek obrabiał kamienie, budując niski mur. MacAran

spojrzał na ojca Valentine, który odbywał swą samotną pokutę. W zasadzie zgadzał

się z teorią, że kolonia nie może marnować żadnej siły roboczej i że ojciec Valentine

lepiej odkupi swoją winę poprzez pracę dla kolonii, aniżeli wisząc na stryczku.

Wspominając własne szaleństwo, które wciąż jeszcze ciążyło mu na duszy, (jakże

łatwo mógł w przypiływie zazdrości zabić kapitana!) nie miał nawet dość siły, aby

potępić księdza lub czuć doń odrazę. Wyrok kapitana Leicestera nie przyniósłby

ujmy samemu Salomonowi: ojciec Valentine miał pogrzebać wszystkich zabitych,

tych, których sam pozbawił życia, a następnie pozostałych, potem zbudować cmentarz i ogrodzić go murem, aby ustrzec groby przed dzikimi zwierzętami, a potem wznieść na mogile ofiar katastrofy odpowiedni pomnik. MacAran nie był pewien, jaki pożytek będzie miała kolonia z cmentarza, chociaż może stanie się on niemym świadectwem tego, jak cienka jest granica dzieląca życie od śmierci, rozsądek od szaleństwa. Praca ta jednak utrzymywała księdza z dala od załogi i kolonistów, którzy nie zawsze zdawali sobie sprawę, że zbrodnia mogła stać się także ich udziałem. I tak miało być do momentu, aż pamięć o jego czynie przynajmniej częściowo się zatrze. Ciężka praca powinna także zaspokoić potrzebę pokuty zrozczonego duchownego.

Widok pochylonej, samotnej sylwetki sprawił, że MacAranowi jakoś odechciało się wizyty w szpitalu. Skierował się więc w stronę lasu, gdzie grupa z Nowych Hebryd pracowała przy długich grzędach zielonych roślinek. Alastair na klęczkach przesadzał

małe, seledynowe kielki z płaskiej, osłoniętej skrzyni. Z uśmiechem odpowiedział na pozdrowienie MacArana. Są zadowoleni z tego, co się stało, takie życie właśnie im odpowiada. Alastair powiedział coś do chłopca, który trzymał skrzynkę z roślinami, wstał i podszedł do MacArana.

–*Padrón...* Moray powiedział, że będzie się pan zajmował geologią. Jakie są możliwości znalezienia materiałów do produkcji szkła?

–Nie mam pojęcia. Po co wam szkło?

–W tym klimacie szklarnie będą konieczne – wyjaśnił Alastair. – Musimy skoncentrować promienie słoneczne. Potrzebujemy czegoś, aby ochronić młode rośliny przed burzami śnieżnymi. Na razie radzimy sobie, jak umiemy, stosując folie przezroczyste i metalizowane oraz naświetlania ultrafioletem, ale to tylko prowizoryczne rozwiązania. Proszę sprawdzić też, czy istnieją naturalne nawozy i azotany. Gleba nie jest tu zbyt bogata.

–Zapamiętam to sobie – obiecał MacAran. – Czy na Ziemi byłeś farmerem?

–Na Boga, nie. Mechanik samochodowy, specjalista od przewozów – skrzywił się Alastair. – Kapitan mówił coś o przekwalifikowaniu mnie na specjalistę od maszyn. Chyba całe noce będę spędzał na modlitwach za tego, który wysadził ten cholerny statek.

–Postaram się znaleźć tę krzemionkę – obiecał MacAran, zastanawiając się, na jakiej pozycji wśród surowych priorytetów Moraya znajduje się szklarstwo. A instrumenty muzyczne? Chyba dość wysoko, jak się należy spodziewać. Nawet dzikusy uprawiają muzykę i MacAranowi, podobnie jak i temu rozśpiewanemu ludowi

trudno byłoby wyobrazić sobie bez niej życie.

Jeśli zima będzie tak paskudna, jak się można spodziewać, właśnie muzyka utrzyma nas przy zdrowych zmysłach i założę się, że Moray, chociaż niezły z niego sukinsyn, już o tym pomyślał.

Jakby w odpowiedzi jedna z dziewcząt pracujących w polu zaczęła śpiewać cichą, żalną pieśń. Jej głos, stłumiony i głęboki, bardzo przypominał głos Camilli, a słowa pieśni wznosiły się i opadały w rytm smutnej i refleksyjnej canzony z Hebrydów.

Moja Caristiona,

Czy nie odpowie na wezwanie? Nikt więc dziś mnie nie zawoła? O, jakże smutne jest moje serce...

Moja Caristiona...

Camillo, dlaczego do mnie nie przyjdiesz, dlaczego mi nie odpowiesz? Czy nie odpowie na wezwanie? O, jakże smutne jest moje serce...

Moje serce rozpacza, rozpacza, A łzy spływają, spływają, Moja Caristiona, Czy nie odpowie na wezwanie?

Wiem, Camillo, że jesteś nieszczęśliwa, ale dlaczego, dlaczego do mnie nie przyjdiesz?

Camilla niechętnie i z ociąganiem weszła do budynku szpitalnego, ściskając w dłoni kartkę z wynikami badań. Była to całkiem przyjemna odmiana po rutynowych pracach na statku, ale kiedy zamiast znajomej twarzy szefa sekcji medycznej Di Asturiena (przynajmniej mówił po hiszpańsku!), zobaczyła przed sobą twarz Ewena Rossa, z irytacją zmarszczyła brwi.

–Gdzie szef? Ty nie masz prawa badać personelu statku!

–Szef operuje tego chłopca, który w czasie Wiatru Duchów został postrzelony w rzepekę kolanową, a poza tym to ja jestem odpowiedzialny za badania okresowe, Camillo. O co chodzi? – Okrągła młodzieńcza twarz uśmiechnęła się czarująco. – Czy

ja nie wystarczę? Zapewniam cię, że mam odpowiednie przygotowanie. A poza tym myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi... towarzyszami nieszczęścia pierwszego Wiatru! Nie niszczyć mojego dumnego „ja”!

Wbrew woli się roześmiała.

–Ewen, ty draniu, jesteś niemożliwy. Tak, sądzę, że to sprawa rutynowa. Kilka miesięcy temu szef mówił o kłopotach z antykoncepcją i zdaje się, że jestem jedną z jej

ofiar. Chcę się po prostu zgłosić do usunięcia ciąży.

Ewen zagwizdał cicho.

–Przykro mi, Camillo – rzekł miękko – ale tego nie da się zrobić.

–Ale ja jestem w ciąży!

–Moje gratulacje i w ogóle – odparł. – Może będziesz matką pierwszego dziecka urodzonego na tej planecie, chyba że któraś z dziewczyn z komuny już cię ubiegła.

Słuchała ze zmarszczonymi brwiami, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

–Zdaje się, że jednak będę musiała porozmawiać z szefem. Widocznie nie znasz zasad, jakie panują w Służbie Kosmicznej.

W jego oczach pojawiło się serdeczne współczucie, rozumiał ją aż zbyt dobrze.

–Di Asturien powie ci to samo – rzekł cicho. – Chyba wiesz, że w koloniach aborcję przeprowadza się jedynie wtedy, kiedy trzeba ratować życie matki lub zapobiec urodzeniu się kalekiego dziecka. A tak w ogóle to nie wiem, czy nawet mielibyśmy potrzebne instrumenty. Poza tym przyrost naturalny jest absolutnym imperatywem co najmniej przez pierwsze trzy pokolenia. Do kolonii przyjmuje się jedynie te kobiety, które są w okresie rozrodczym i podpiszą zobowiązanie, że będą rodzić dzieci. Przecież wiesz!

–Mnie ta reguła i tak nie obowiązuje! – prychnęła Camilla. – Nie starałam się o przyjęcie do kolonii. Jestem członkiem załogi. Na pewno jednak wiesz, że kobiety o wysokich stopniach naukowych nie są objęte tym obowiązkiem, inaczej żadna kobieta, dla której życie zawodowe cokolwiek znaczy, nie wyjechałaby do kolonii! Będę o to walczyć, Ewenie! Do diabła, nikt mnie nie zmusi do rodzenia! Żadnej kobiety nie można zmusić, żeby miała dzieci!

Ewen smutno się uśmiechnął.

–Usiądź, Camillo – poprosił. – Bądź rozsądna. Po pierwsze, kochanie, już sam fakt, że masz stopień naukowy, czyni cię dla nas bardzo cennym nabytkiem. Twoich genów

potrzebujemy bardziej niż zdolności technicznych. Takich umiejętności, jak twoje, nie

będziemy potrzebować jeszcze przez co najmniej dziesięć pokoleń... a może nawet nigdy. Ale geny wysokiej inteligencji i zdolności matematycznych powinny znaleźć się

w naszym materiale genetycznym. Nie możemy pozwolić, aby wyginęły.

–Czy chcesz przez to powiedzieć, że będę zmuszona rodzić dzieci, jak jakaś chodząca macica z prehistorycznych planet? Jak klacz rozrodowa? – Aż pobladła ze złości. – To jest absolutnie nie do przyjęcia! Kobiety z załogi zastrajkują, kiedy o tym usłyszą!

–Wątpię – wzruszył ramionami Ewen. – Po pierwsze, źle interpretujesz prawo. Kobietom wolno wyjeżdżać do kolonii tylko wówczas, gdy mają czyste geny, są w okresie rozrodczym i podpiszą zgodę na rodzenie dzieci, ale kobiety po okresie rozrodczym także są czasami przyjmowane, jeśli mają stopnie medyczne lub naukowe. W przeciwnym przypadku koniec wieku płodnego byłby równocześnie kresem twojej szansy na wyjazd do kolonii, a czy wiesz, jak długie są listy

oczekujących na przydział? Ja czekałem cztery lata, rodzice Heather umieścili jej nazwisko na liście, kiedy miała dziesięć lat, a teraz ma dwadzieścia trzy. Prawa przeludnieniowe na Ziemi oznaczają, że kobieta musi czekać nieraz dwanaście lat, aby móc urodzić drugie dziecko!

–Nie wyobrażam sobie, po co im tyle kłopotu – z odrazą oświadczyła Camilla. –

Jedno dziecko powinno kobiecie wystarczyć, jeśli ma ona cokolwiek między uszami.

Chyba, że jest neurotyczką bez cienia szacunku dla siebie.

–Camillo – łagodnie przerwał jej Ewen. – To kwestia biologiczna. Nawet w

dwudziestym wieku robili doświadczenia na szczurach, ludności mieszkającej w gettach i tak dalej. Okazało się, że jednym z pierwszych skutków poważnego

przeludnienia jest zanik instynktu macierzyńskiego. Ale to patologia. Człowiek jest

zwierzęciem rozumnym, więc socjologowie nazwali to zjawisko „wyzwoleniem kobiet”

albo jakoś podobnie, ale tak naprawdę była to tylko patologiczna reakcja na

przeludnienie i zatłoczenie. Kobietom, które nie mogły mieć dzieci, trzeba było dać

jakieś inne zajęcie, aby utrzymać je przy zdrowych zmysłach. Wiedz jednak, że prędzej

czy później to się znudzi. Kobiety zapisują się do kolonii, aby mieć przynajmniej

dwoje dzieci i większość z nich, skoro tylko znajdą się poza zatłoczoną Ziemią, szybko

odzyskuje zdrowie umysłowe i emocjonalne. Średnio rodzina w kolonii ma czworo

dzieci – co z psychologicznego punktu widzenia stanowi normę. Zanim dziecko

przyjdzie na świat, ty także prawdopodobnie będziesz już miała normalne hormony i

staniesz się dobrą matką. Jeśli nie – cóż, będziemy przynajmniej mieć twoje geny i

oddamy dziecko na wychowanie innej kobiecie. Zaufaj mi, Camillo.

–Czy to znaczy, że muszę urodzić to dziecko?

–Czytasz w moich myślach – odparł Ewen i nagle w jego głosie zabrzmiały twarde tony. – To i następne, jeśli tylko je donosisz. Masz jedną szansę na dwie, że poronisz. – Bez zmruczenia oka, spokojnym głosem wyrecytował dane statystyczne, które MacAran parę godzin wcześniej usłyszał od Moraya. – Jeśli będziemy mieli szczęście, w tej chwili powinno wśród nas być pięćdziesiąt dziewięć płodnych kobiet, z których -znowu przy dużej dozie szczęścia, nawet jeśli wszystkie zajdą w ciążę w tym roku -urodzi się dwanaścioro żywych dzieci. Aby nie dopuścić do wymarcia kolonii, musielibyśmy zwiększyć naszą liczebność do czterystu osób, zanim najstarsza z kobiet straci zdolność rozrodczą. Uważam, że mamy szansę, a każda kobieta, która odmówi urodzenia tylu dzieci, do ilu porodów będzie fizycznie zdolna, stanie się, delikatnie mówiąc, szalenie niepopularna, a tak naprawdę wrogiem publicznym numer jeden.

Głos Ewena stwardniał, ale dzięki szczególnej zdolności, którą posiadał, odkąd pierwszy Wiatr odsłonił przed nim tajniki ludzkich myśli, poznał ohydne myśli wirujące w umyśle Camilli: nie osoba, lecz przedmiot, chodzące łono, maszyna do

rodzenia dzieci, bez rozumu, z bezużytecznym wykształceniem... klacz rozplodowa...

–Nie będzie aż tak źle – rzekł z głębokim współczuciem. – Będziesz miała mnóstwo roboty. Ale, niestety, tak musi być, Camillo. Wiem, że dla ciebie to może gorsze niż dla

pozostałych, ale prawo obowiązuje wszystkich. Od tego zależy nasze przetrwanie.

Odwrócił twarz. Nie był pewien, czy potrafi znieść wybuch jej bólu i gniewu. Zacisnęła usta w bezbarwną linię.

–Może w takich warunkach lepiej byłoby nie przetrwać w ogóle – rzuciła.

–Nie będę o tym z tobą rozmawiał, dopóki nie poczujesz się lepiej – odparł. – Nie warto się męczyć. Zlecę Margaret, aby przeprowadziła badania prenatalne...

–Nie!

Ewen zerwał się na równe nogi. Chwycił Camillę za ramiona i dał znak pielęgniarce stojącej za jej plecami. Drobne ukłucie i Camilla spojrzała nań podejrzliwie oczami, które już zachodziły mgłą.

–Co...

–Nieszkodliwy środek uspokajający. Nie mamy tego zbyt dużo, ale z pewnością wystarczy, żeby przywrócić ci spokój – odpowiedział Ewen. – Kto jest ojcem, Camillo?

MacAran?

–Nie twoja sprawa – prychnęła.

–Pewnie nie, ale muszę wiedzieć dla celów rejestracji genetycznej. Kapitan Leicester?

–MacAran – odrzekła w przypiływie tępej wściekłości i nagle, z przejmującym bólem, przypomniała sobie, jak szczęśliwi byli gdy wiał Wiatr.

Ewen z głębokim żalem spojrzał na jej uśpioną twarz.

–Proszę odszukać Rafaela MacArana – zwrócił się do pielęgniarki. – Niech przy niej będzie, kiedy się obudzi. Może on zdoła jej przemówić do rozsądku.

–Jak ona może być tak samolubna? – ze zgrozą westchnęła pielęgniarka.

–Wychowywała się na satelicie – wyjaśnił Ewen. – A potem w kolonii Alpha. Mając piętnaście lat wstąpiła do służby przestrzennej i przez całe życie wbijano jej do głowy, że rodzenie dzieci jest czynnością, która nie należy do zakresu jej obowiązków. Ale nauczy się. To tylko kwestia czasu.

W duchu jednak zastanawiał się, jak wiele kobiet z załogi podziela jej stanowisko – bezpłodność może mieć również podłoże psychologiczne – i ile czasu upłynie, zanim zdołają pokonać ten uwarunkowany strach i odrazę.

Czy to w ogóle może się udać, czy zdołają się rozmnożyć do odpowiedniej liczebności na tak brutalnym i niegościnnym świecie?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

MacAran usiadł obok uśpionej Camilli, wciąż jeszcze mając w pamięci wywiad szpitalny, który przed chwilą przeprowadził z nim Ewen Ross. Po udzieleniu wyjaśnień dotyczących Camilli, Ewen zadał mu tylko jedno pytanie:

–Pamiętasz, czy miałeś jeszcze jakieś inne stosunki seksualne podczas Wiatru?

Nie pytam z ciekawości, uwierz mi. Niektóre kobiety, a także mężczyźni, po prostu nie

pamiętają lub wymieniają z pół tuzina nazwisk. Zebrawszy wszystko, co każdy zapamiętał, możemy wyeliminować pewnych ludzi. Chodzi o późniejsze rejestry genetyczne. Na przykład, jeżeli kobieta określa trzech mężczyzn, którzy mogą być odpowiedzialni za jej ciążę, musimy przeprowadzić testy krwi tylko tych trzech, aby określić – oczywiście w przybliżeniu – który z nich jest ojcem.

–Tylko z Camillą – odparł MacAran.

Ewen uśmiechnął się.

–Przynajmniej ty jesteś pewien tego, co mówisz. Mam nadzieję, że uda ci się przemówić dziewczynie do rozsądku.

–Jakoś nie mogę wyobrazić sobie Camilli w roli matki – powoli odparł MacAran, czując, że jest nielojalny.

Ewen wzruszył ramionami.

–Czy to ważne? Będziemy mieć mnóstwo kobiet, które chciałyby mieć dzieci, a nie mogą, takich, które poronią podczas ciąży lub stracą dziecko przy porodzie. Jeśli nie

będzie chciała dziecka, gdy się narodzi, to czego jak czego, ale zastępczych matek na

pewno nam nie zabraknie!

Ta myśl sprawiła, że MacAran poczuł żal do uśpionej dziewczyny. Ich miłość

narodziła się z wrogości. Był to dziwaczny, zmienny splot urazy i pożądania, a teraz akurat gniew zapanował nad innymi uczuciami. Rozwydrzony bachor, pomyślał. Przez całe życie robiła to, co chciała, a teraz gdy musiałyby zrobić cokolwiek dla innych, nie tylko dla siebie, zaczyna się awanturować! A niech ją!

Błękitne oczy Camilli otoczone ciemnymi rzęsami spojrzały na niego niespodziewanie, jakby gwałtowność jego gniewu przebiła się przez coraz cieńszą barierę narkotyku. Dziewczyna rozejrzała się wokół, nieco oszołomiona, spojrzała na przejrzyste ściany kopuły szpitalnej, a potem na siedzącego obok niej MacArana.

–Rafe! – Przez jej twarz przebiegł grymas bólu.

Przynajmniej nie mówi już do mnie po nazwisku, przemknęło przez głowę MacAranowi.

–Przykro mi, że źle się czujesz, kochanie – przemówił najłagodniej, jak umiał. –

Poprosili mnie, żebym przyszedł tu i posiedział z tobą przez chwilę.

W miarę, jak wracała jej pamięć, rysy twarzy twardniały. Rafe wyczuwał jej gniew i rozpacz. Czuł to jak jakiś wewnętrzny ból i momentalnie, niczym za sprawą przyciśnięcia wyłącznika, zgasła jego własna uraza.

–Naprawdę mi przykro, Camillo. Wiem, że tego nie chciałaś. Jeśli już musisz kogoś nienawidzić, zacznij ode mnie. To moja wina. Nie działałem zbyt rozsądnie i wiem o tym.

Jego delikatność i gotowość przyjęcia całej winy na siebie rozbroiły Camillę.

–Nie, Rafe – odrzekła z bólem. – To nie byłoby uczciwe wobec ciebie. Wtedy pragnęłam tego tak samo jak ty, więc nie jesteś jedynym winowajcą. Problem polega na tym, że odzwyczailiśmy się od kojarzenia seksu z ciążą, przyjęliśmy całkiem inną, cywilizowaną postawę wobec tego zagadnienia. I oczywiście, nie można się było spodziewać, że ktokolwiek z nas będzie wiedział, iż normalne środki antykoncepcyjne przestaną działać.

Rafe wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

–A zatem podzielimy się winą. Ale czy nie pamiętasz, co czułaś w czasie Wiatru? Byliśmy wtedy tacy szczęśliwi...

–Wtedy byłam szalona. I ty także.

Gorycz w jej głosie sprawiła mu tyle bólu, że bezwiednie się skrzywił. Cierpiał nie tylko za nią, lecz i za siebie. Próbowwała uwolnić dłoń, ale nie pozwolił jej na to.

–Teraz jestem przy zdrowych zmysłach... przynajmniej tak mi się zdaje... i wciąż cię kocham, Camillo. Nie mam słów, żeby powiedzieć ci, jak bardzo.

–Powinnam właściwie uważać, że mnie nienawidzisz.

–Nie mógłbym cię nienawidzić. Smutno mi, że nie chcesz tego dziecka – dodał – i gdybyśmy byli na Ziemi, przypuszczalnie przyznałbym, że masz prawo wyboru... Ale wtedy także byłbym nieszczęśliwy i nie możesz ode mnie oczekiwać słów, że będzie mi przykro, iż nasze dziecko ma szansę żyć.

–Więc cieszysz się, że zostałam przyparta do muru i teraz muszę je donosić? – rzuciła.

–Jak mogę cieszyć się z czegośkolwiek, co przynosi ci cierpienie? – zapytał z rozpaczą. – Czy myślisz, że czerpię jakąkolwiek satysfakcję z twojego nieszczęścia? Ono mnie rozdziera, zabija! Ale jesteś w ciąży, jesteś chora i jeśli po powiedzeniu tych wszystkich rzeczy czujesz się choć trochę lepiej... Kocham cię i nic na to nie poradzę, więc wysłucham wszystkiego, co masz do powiedzenia i zrobię wszystko, żeby jakoś ci pomóc. Wolałbym tylko, żebyś nie była z tego powodu aż tak nieszczęśliwa, a ja wtedy miałbym łatwiejsze zadanie.

Camilla wyczuwała jego zmieszanie i rozterkę tak, jakby to ona je czuła. Trwałość tego zjawiska, które przypisywała jedynie obecności Wiatru, sprawiła, że zapomniała na chwilę o złości i roztkliwianiu się nad sobą. Powoli usiadła na łóżku i wzięła go za rękę.

–To nie twoja wina, Rafe – powiedziała miękko. – A jeśli moje zachowanie rzeczywiście tak cię unieszczęśliwia, spróbuję się poprawić. Nie mogę udawać, że pragnę dziecka, ale jeśli już muszę je mieć... a zdaje się, że tak właśnie jest... wolę, by było twoje niż kogokolwiek innego.

Uśmiechnęła się blado i dodała:

–Myślę... sądząc po tym, co się wtedy działo... że mógł to być ktokolwiek, więc cieszę się, że to byłeś właśnie ty.

Moray skończył przydzielanie prac większości kolonistów i załozce, gdy zjawili się u niego z prośbą o radę sam główny inżynier Laurence Patrick i kapitan Leicester. Pierwszy przemówił Patrick.

–Wiesz co, Moray? Zanim zostałem ekspertem w dziedzinie napędu M-AM, byłem specjalistą od małych pojazdów terenowych. Na statku jest dość metalu z odzysku, aby zbudować kilka takich pojazdów. Można je zasilać przerobionymi układami napędowymi. Myślę, że to bardzo by ci pomogło przy lokalizacji i podziale zasobów tej

planety. Chcę się zająć budową. Jak szybko mógłbym do niej przystąpić?

–Przykro mi, Patrick – odparł Moray. – Ani za twojego, ani za mojego życia.

–Nie rozumiem. Czy nie ułatwiłoby to badania planety? Maksymalizacji wykorzystania zasobów? Czy próbujesz stworzyć środowisko tak barbarzyńskie i dzikie, jak tylko się da? – wybuchnął rozwścieczony Patrick. – Na Boga, czy Ziemskie

Siły Eksploracyjne stały się już tylko bandą neorolników i antytechnokratów?

Moray, niewzruszony, potrząsnął głową.

–Wcale nie – odparł. – Mój pierwszy przydział do kolonii opiewał na planetę, na której stworzyłem wysokotechnologiczną cywilizację opartą o maksymalne wykorzystanie elektryczności. Jestem z niej niesłychanie dumny... w zasadzie mam zamiar... nie, raczej należałoby powiedzieć, miałem zamiar wyjechać na nią i doczekać

tam końca moich dni. Przydział na Coronis zawdzięczam przede wszystkim temu, że projektuję kultury technologiczne, ale w tej sytuacji...

–To wciąż możliwe – wtrącił kapitan Leicester. – Możemy przekazać naszą

techniczną spuściznę naszym dzieciom i wnukom, Moray. Nawet jeśli my musimy pozostać tu do końca życia, nasze dzieci może kiedyś powrócą. Czy nie znasz własnej

historii? Od wynalezienia statku parowego do pierwszego lotu na Księżyc minęło niecałe dwieście lat. Potem, do wynalezienia napędu M-AM, który pozwolił nam osiągnąć Alfę Centauri, jeszcze tylko sto lat. Może wszyscy zginiemy na tym zapomnianym przez Boga kawałku skały, co tam, zginiemy na pewno, ale jeśli zachowamy naszą technikę, nie umrzemy na darmo!

Moray zmierzył go wzrokiem pełnym głębokiej litości.

–Czy pan naprawdę nic nie rozumie? Pozwólcie zatem, panowie, że wyłożę wam to kawałkiem na ławę. Ta planeta nie nadaje się do stworzenia żadnej zaawansowanej techniki. Zamiast jądra z żelaza i niklu znajdują się tu metale o małej gęstości i nieprzewodzące, co wyjaśnia niską grawitację. Skała, przynajmniej to jesteśmy w stanie stwierdzić bez skomplikowanego sprzętu, którego nie mamy i nie możemy zbudować, jest bogata w związki krzemu, ale uboga w rudy metalu. Planeta, o której mówiłem, pochłaniająca ogromne ilości energii elektrycznej, miała potężne złoża paliw kopalnych i wiele ilości strumieni górskich, które były wykorzystywane do produkcji energii... a oprócz tego bardzo trwały system ekologiczny. Ta planeta tylko

w niewielkim stopniu nadaje się do uprawy, przynajmniej na terenach, które poznaliśmy. Jedynie las chroni ją przed głęboką erozją, a zatem musimy być ogromnie ostrożni wycinając drzewa. Lasy należy utrzymać jako gwarancję życia.

Poza tym nie możemy przydzielić wam tylu robotników, ilu byłoby potrzebnych do zbudowania tych pojazdów, ich utrzymania oraz przygotowania dróg, po których mogłyby się one poruszać. Mogę podać panu dokładne fakty i cyfry, jeśli pan chce, ale krótko mówiąc, jeśli pan nalega na zmechanizowanie technologii, to tak, jakby

wydawał pan wyrok śmierci... jeśli nie na nas wszystkich, to na nasze wnuki. Może uda nam się przeżyć trzy pokolenia, ponieważ tak niewielka społeczność będzie mogła przenieść się na inną część planety, kiedy już ta ulegnie zniszczeniu. Ale nic więcej.

–Czy warto przeżyć – odparł Patrick z goryczą – lub nawet mieć wnuki, jeśli mają one tak żyć?

Moray wzruszył ramionami.

–Nie mogę pana zmusić, żeby miał pan wnuki – odrzekł. – Ale jestem odpowiedzialny za te dzieci, które już są w drodze. Istnieją kolonie o niskiej technologii, do których lista oczekujących jest równie długa, jak do tych, na których podstawą jest elektryczność. Nie wy jesteście dla nas ostatnią deską ratunku, panowie, choć przykro mi tak mówić. Jesteście... mówiąc szczerze, kapitanie, jesteście

tylko kawałkiem balastu. Potrzebni nam są ludzie tacy, jak ci z komuny Nowych Hebryd... i uważam, że jeśli w ogóle przeżyjemy, będzie to ich zasługą.

–No cóż – odezwał się kapitan Leicester. – Teraz przynajmniej wiemy, na czym stoimy. – Jeszcze przez chwilę analizował to, co usłyszał. – Więc co mamy robić, Moray?

Moray spojrzał do rejestru.

–W pańskim wydruku osobowym jest informacja, że w czasie studiów zajmował się pan budową instrumentów muzycznych. Nie jest to najważniejsza sprawa, ale tej zimy będziemy mieli zajęcia dla sporej liczby ludzi, którzy znają się choć trochę na tym. A tymczasem, czy wiecie coś na temat wydmuchiwania szkła, pielęgnacji chorych, diety albo nauczania elementarnego?

–Zanim poszedłem do szkoły oficerskiej – niespodziewanie odezwał się Patrick - byłem w korpusie medycznym.

–Więc proszę iść do szpitala i porozmawiać z Di Asturienem. Na razie zapiszę pana jako zwykłego asystenta, podlegającego obowiązkowi powoływania wszystkich sprawnych mężczyzn na place budowy. Inżynier powinien umieć wykonywać prace i

projekty architektoniczne. A pan, kapitanie...

–To idiotyzm nazywać mnie kapitanem – wybuchnął irytacją Leicester. – Kapitan czego, na miłość boską, człowieku!

–A więc Harry – poprawił się Moray ze smutnym uśmiechem. – Myślę, że tytuły i te rzeczy same znikną w ciągu trzech-czterech lat, ale nie będę ich nikogo pozbawiał na siłę.

–Więc uznaj, że mój schowałem do kieszeni – odparł Leicester. – Przydzielisz mnie do kopania ogródka? Skoro nie jestem już kapitanem statku kosmicznego, tylko do tego się nadaję.

–Nie – szczerze odparł Moray. – Będę potrzebował tego czegoś, co zrobiło z ciebie kapitana... twoich zdolności przywódczych.

–Czy jest jakieś prawo, zabraniające ratowania wiedzy technicznej, jaka nam pozostała? Czy wolno wpisać ją do pamięci komputera dla naszych hipotetycznych wnuków?

–Ha, w twoim wypadku nie tak znowu hipotetycznych – uśmiechnął się Moray. – Fiona MacMorair, która jest teraz w szpitalu z rozpoznaniem „możliwość wczesnej ciąży” podała nam twoje nazwisko jako prawdopodobnego ojca.

–Kim u diabła, wybacz mi to określenie, kim na tym cholernym świecie jest Fiona MacMorair? – skrzywił się Leicester. – Nigdy w życiu nie słyszałem o kimś takim.

Moray zachichotał.

–Czy to takie ważne? Większość czasu Wiatru strawiłem na kochaniu się z główkami kapusty i młodymi pędami fasoli, a przynajmniej pozwalałem, aby zwierzały mi się ze swoich kłopotów, ale niektórzy z nas spędzili ten czas w sposób mniej... poważny. Doktor Di Asturien poprosi cię o podanie nazwisk możliwych partnerek.

Leicester mruknął coś pod nosem.

–O jedyną, którą pamiętam, musiałem się bić i przegrałem. – Potarł dłońią

blednący na podbródku siniak. – Och, czekaj... czy to ta ruda dziewczyna z komuny?

–Nie znam jej z widzenia – odrzekł Moray. – Ale około trzech czwartych z grupy Nowych Hebryd ma rude włosy... mają w sobie trochę krwi szkockiej, trochę irlandzkiej. Wydaje mi się, że jest duża szansa na to, iż jeśli tylko dziewczyna nie poroni, za dziewięć lub dziesięć miesięcy będziesz miał rudowłosego synka lub córeczkę. Widzisz zatem, Leicester, zarzuciłeś już kotwicę na tej planecie.

Leicester poczerwieniał z wściekłości.

–Ale ja nie chcę, żeby moi potomkowie żyli w jaskiniach – burknął. – Nie chcę, żeby grzebali się w ziemi, aby tylko przeżyć. Chciałbym, żeby wiedzieli, z jakiego świata przybyliśmy.

Moray przez chwilę nie odpowiadał.

–Zapytam cię całkiem poważnie – rzekł po chwili. – Nie jestem strażnikiem twojego sumienia, ale zastanów się, czy nie lepiej, aby nasi potomkowie wykształcili technologię charakterystyczną i właściwą dla tego świata, zamiast mieć ich wiedzę, która może zniszczyć tę planetę?

–Wierzę, że moi potomkowie będą obdarzeni zdrowym rozsądkiem – mruknął Leicester.

–Więc zrób to. Wprowadź do komputera, co się da. Jeśli tylko chcesz – odrzekł Moray z tym samym lekkim wzruszeniem ramion. – Może będą mieć na tyle zdrowego rozsądku, że nie zrobią z tej wiedzy użytku.

Leicester skierował się do wyjścia.

–Czy mogę dostać z powrotem moją asystentkę? A może Camilla Del Rey została przydzielona do jakichś ważniejszych zadań, jak gotowanie lub szycie zasłonek dla szpitala?

Moray zaprzeczył ruchem głowy.

–Możesz ją mieć z powrotem, kiedy wyjdzie ze szpitala – rzekł. – Zarejestrowałem

ją wprowadzie jako ciężarną, zdolną tylko do lekkiej pracy, i myślałem, że poprosimy ją

o napisanie jakichś podręczników matematyki elementarnej, ale praca przy komputerze nie jest przecież wyczerpująca. Nie sprzeciwiam się.

Znacząco spojrział na grafiki robót piętrzące się na biurku i Harry Leicester, ekskapitan statku kosmicznego, zrozumiał, że po prostu został odesłany do swoich zadań.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ewen Ross zawahał się nad wykresem genetycznym i raz jeszcze spojrzął na Judith Lovat.

–Uwierz mi, Judy, nie chcę ci sprawiać kłopotów, ale to znacznie uprościłoby nasze rejestry. Kto jest ojcem?

–Nie wierzyłeś mi, kiedy ci mówiłam wcześniej – spokojnie odparła Judy – więc jeśli znasz odpowiedź lepiej ode mnie, napisz, co chcesz.

–Naprawdę nie wiem, co ci odpowiedzieć – odrzekł Ewen. – Nie pamiętam, żebym był z tobą, ale skoro tak twierdzisz...

Zaprzeczyła z uporem. Ewen westchnął.

–Ciągle ta historia o obcym. Czy nie myślisz, że brzmi to jak fantazja? Całkiem niewiarygodnie? Czy twierdzisz, że tubylcy są na tyle ludzcy, że mogą krzyżować się z kobietami? – Zawahał się. – Mam nadzieję, że nie zechciało ci się żartów, Judy?

–Ewen, ja nic nie twierdzę. Nie jestem genetykiem, tylko zwykłym specjalistą od dietetyki. Opowiedziałam ci po prostu, co się wydarzyło.

–W czasie, gdy straciłaś rozum. I to dwa razy.

Heather delikatnie dotknęła jego ramienia.

–Ewenie, Judy nie kłamie – szepnęła. – Mówi prawdę... albo to, co za prawdę uważa. Uspokój się.

–Ale do cholery, jej wymysły nie mogą być dowodem – westchnął Ewen i wzruszył ramionami. – Dobrze, Judy, niech będzie po twojemu. Ale to musiał być MacLeod...

albo Zabal. Albo ja. Jeżeli wydaje ci się, że coś pamiętasz, to najprawdopodobniej tak

było.

–Jeśli ty tak mówisz, to rzeczywiście musiało tak być – odpowiedziała Judy.

Wstała i spokojnie opuściła pomieszczenie. Nie musiała patrzeć, bez tego wiedziała, że

Ewen zapisał: Ojciec nieznanym. Możliwość: MacLeod Lewis, Zabal Marco, Ross Ewen.

Heather spojrzała na zamykające się drzwi.

–Kochanie, byłeś dla niej trochę nieprzyjemny.

–Doprawdy, nie sądzę, abyśmy mieli czas na fantazjowanie. Do licha, Heather, zostałem wykształcony tak, aby ratować życie za wszelką cenę... za wszelką cenę. A i tak już widziałem, jak ludzie umierają... to ja pozwoliłem im umrzeć... Więc kiedy jesteśmy przy zdrowych zmysłach, muszą one, dla wyrównania, być superzdrowe! – wykrzyknął młody lekarz.

Heather myślała nad tym przez chwilę, wreszcie powiedziała:

–Ewen, czy potrafimy to osądzić? Może to, co wydaje się rozsądne na Ziemi, tutaj jest szaleństwem. Na przykład, wiesz, że szef szkoli grupy kobiet w opiece prenatalnej i akuszerstwie. Mówi, że to na wypadek, gdybyśmy w czasie zimy stracili zbyt wielu ludzi. Powiedział też, że od czasu, kiedy pracował na internie, nie odebrał ani jednego porodu... ty, w Służbie Kosmicznej też tego nie robiłeś, oczywiście. W każdym razie powiedział nam jedną ważną rzecz – jeśli kobieta ma poronić, nie powinniśmy podejmować żadnych szczególnych kroków, aby ocalić ciążę. Jeśli odpoczynek i ciepło nie uratują dziecka, nie należy podawać nic więcej: ani hormonów, ani leków na podtrzymanie. Nic.

–Fantastyczne! – wykrzyknął Ewen. – Toż to prawie zbrodnia!

–To samo powiedział doktor Di Asturien – wyjaśniła Heather. – Na Ziemi byłaby to zbrodnia, ale tutaj zagrażające poronienie może być przede wszystkim naturalnym sposobem eliminacji embrionu, który nie będzie w stanie zaadaptować się do tutejszych warunków... grawitacji i tak dalej. Lepiej, aby kobieta straciła ciążę, aniżeli sześć miesięcy na donoszenie dziecka, które i tak umrze lub wyrośnie na kalekę. Na Ziemi mogliśmy sobie pozwolić na ratowanie uszkodzonych płodów, śmiertelne geny, opóźnienia umysłowe, deformacje i uszkodzenia płodu i tak dalej. Mieliśmy skomplikowaną aparaturę i służbę medyczną, transfuzje wymienne, transplantacje hormonu wzrostu, rehabilitację i ćwiczenia dla niepełnosprawnych dzieci. Tu jednak, jeśli nie chcemy, aby pewnego dnia doszło do tak brutalnych kroków, jak wypędzanie lub zabijanie kalek, musimy zredukować ich liczbę do absolutnego minimum. Około połowa kalekich dzieci na Ziemi, a może nawet dziewięćdziesiąt procent, nikt tego nie wie dokładnie, bo zapobieganie poronieniom stało się na Ziemi rutyną, są efektem

niedopuszczenia do naturalnej selekcji, do usunięcia płodu, który właściwie nie powinien żyć, błędu natury. Na tej planecie jest to sprawa naszego przetrwania, nie możemy pozwolić, aby śmiertelne geny lub uszkodzenia ciała znalazły się w

naszym materiale genetycznym. Rozumiesz, o co mi chodzi? Na Ziemi to szaleństwo, tutaj – surowy warunek przetrwania. Do głosu musi dojść naturalna selekcja, a to oznacza, że nie możemy podejmować żadnych heroicznym wysiłków w celu podtrzymania ciąży, żadnych skrajnych metod ratowania dzieci kalekich lub z urazami okołoporodowymi.

–No dobrze, a co to ma wspólnego z Judy i historią o kosmicie, który jest ojcem jej dziecka? – zapytał Ewen.

–To tylko, że musimy nauczyć się myśleć po nowemu – wyjaśniła Heather. – Zamiast odrzucać pewne wyjaśnienia tylko dlatego, że brzmią fantastycznie.

–Ty naprawdę wierzysz w to, że jakiś humanoidalny kosmita... och nie, Heather, daj spokój, na Boga!

–Jakiego Boga? – wtrąciła Heather. – Wszyscy bogowie, o jakich kiedykolwiek słyszałam, należeli do Ziemi. Nie wiem, kto jest ojcem dziecka Judy. Nie było mnie tam. Ale ona była, więc z braku dowodu przyjmuję jej słowo za prawdę. Judy nie jest fantastką, jeśli mówi, że jakiś kosmita przyszedł i kochał się z nią, a ona zaszła w ciążę, to do diabła będę jej wierzyć. Przynajmniej dopóki nie zobaczę dziecka. Jeśli będzie to wykapany Zabal, MacLeod albo ty, może uwierzę, że Judy miała zaćmienie.

Ale w czasie drugiego Wiatru ty zachowywałeś się rozsądnie, powiedzmy do pewnego stopnia. MacAran też zachowywał się rozsądnie, do pewnego stopnia. Widocznie po pierwszym wystawieniu na działanie tego narkotyku lub pyłku przy następnych zachowujemy pewną kontrolę. A ona opowiedziała przecież, co robiła tym razem, i dokładnie powtórzyła poprzednią historię. Dlaczego więc nie uwierzyć jej choć trochę?

Ewen z wolna przekreślił wpisane nazwiska, pozostawiając jedynie: Ojciec nieznany.

–To wiemy na pewno – powiedział po chwili. – I niech tak na razie zostanie.

W wielkim budynku, który wciąż służył jako stołówka, kuchnia i świetlica – choć budowano już oddzielne kuchnie wykorzystując do tego celu ciężki, przejrzysty miejscowy kamień – kobiety z Nowych Hebryd, odziane w spódnice z tartanu i ciepłe płaszcze mundurowe, krzątały się koło kolacji. Jedna z nich, dziewczyna o długich, rudych włosach, śpiewała miękkim sopranem:

Kiedy dzień dobiega kresu,

Smutna wędruję nad wodę,

Gdzie mężczyzna ze słońca zrodzony,

Uwiódł córę wrózek.

Czemuż więc siedzę i wzdycham,

Rwąc paprocie, rwąc paprocie,

Całkiem sama i opuszczona?

Na widok wchodzącej Judy urwała.

–Doktor Lovat, wszystko już gotowe. Powiedziałam im, że jest pani w szpitalu, skończyłyśmy więc same.

–Dziękuję, Fiono. Powiedz mi, co śpiewałaś?

–Och, to jedna z naszych wyspiarskich pieśni – odrzekła Fiona. – Nie mówi pani po gaelicku? Tak właśnie myślałam. Nazywa się *Miłosna Pieśń Wrózek...* o wróźce, która zakochała się w śmiertelniku i teraz wędruje po wzgórzach Skye, szukając go i zastanawiając się, dlaczego do niej nie wraca. Ładniej brzmi po gaelicku.

–Więc śpiewaj po gaelicku – zaproponowała Judy. – Gdyby przetrwał tu tylko

jeden język, byłoby strasznie nudno. Powiedz mi, Fiono, czy ksiądz nie przychodzi na

posiłki do wspólnej jadalni?

–Nie, ktoś mu je zanosí.

–Czy mogę to zrobić dzisiaj? Chciałabym z nim porozmawiać – wyjaśniła Judy, a Fiona spojrzała na prowizoryczny plan pracy rozwieszony na ścianie.

–Ciekawe, czy dostaniemy stałe przydziały do pracy, zanim się okaże, która jest w ciąży, a która nie? W porządku, powiem Elsie, że pani to zrobi.

Judy znalazła ojca Valentine na cmentarzu. Był niemal niewidoczny zza ogromnych kamieni, z których budował pomnik. Wziął od niej posiłek i rozłożył go na płaskim kamieniu.

Judy usiadła obok.

–Ojcie, potrzebuję pomocy – rzekła. – Czy wysłuchasz mojej spowiedzi?

Powoli potrząsnął głową.

–Już nie jestem duchownym, pani doktor. Jak, w imię wszystkiego co święte,

mógłbym wydawać sąd o cudzych grzechach? – Uśmiechnął się blado. Był to

niewysoki, szczupły mężczyzna poniżej trzydziestki, ale teraz wydawał się bardzo

stary i zmęczony. – W każdym razie kiedy noszę kamienie, mam mnóstwo czasu na rozmyślenia. Jak mogę uczciwie nauczać Ewangelii Chrystusowej na świecie, na którym On nigdy nie postawił stopy? Jeśli Bóg chce zbawić ten świat, będzie musiał przysłać tu nowego Zbawiciela... Cokolwiek to oznacza. – Zanurzył łyżkę w misce pełnej kaszy i mięsa. – Przyniosła pani swój lunch? Świetnie. Teoretycznie akceptuję izolację, w praktyce jednak okazuje się, że pożądam towarzystwa bliźniego bardziej, niż kiedykolwiek sądziłem.

Odrzucił temat religii, ale Judy, miotana własną, wewnętrzną burzą, nie chciała tak łatwo ustąpić.

–Więc pozostawia nas ojciec bez żadnego duchowego wsparcia?

–Nie sądzę, żebym kiedykolwiek dokonał czegoś w tej dziedzinie – odrzekł ojciec Valentine. – Nie wiem, czy jakkolwiek duchowny czegoś dokonał? Rozumie się samo przez się, że cokolwiek mogę zrobić dla bliźniego jako przyjaciel, zrobię to na pewno. Tyle tylko mogę i nawet jeśli miałbym spędzić na tym resztę życia, w najmniejszym stopniu nie odkupię mojego czynu. Jednak lepsze to niż chodzenie w worku, posypywanie głowy popiołem i mamrotanie pokutnych modlitw.

–Wydaje mi się, że rozumiem – westchnęła. – Ale czy to znaczy, ojcie, że nie ma tu miejsca na wiarę lub religię?

Lekceważąco machnął ręką.

–Proszę nie nazywać mnie „ojcem”. Najwyżej bratem, jeśli pani chce. Wszyscy

jesteśmy tu braćmi i siostrami w nieszczęściu. Nie, tego nie powiedziałem, doktor

Lovat... nie znam twojego imienia... Judith? Nie, Judith, tego nie powiedziałem.

Każda istota ludzka wierzy w dobroć jakiejś mocy, która go stworzyła, obojętne jakie

imię jej nada, oraz w jakąś religię lub inne zasady etyczne. Nie sądzę jednak, abyśmy

potrzebowali tu sakramentów i duchowieństwa ze świata, który jest dla nas jedynie wspomnieniem i tym też pozostanie dla naszych dzieci oraz dzieci naszych dzieci.

Etyka – tak. Sztuka – tak. Muzyka, rzemiosło, wiedza, humanitaryzm – tak. Ale nie

rytuały, które szybko zmieniają się w przesady. I na pewno nie żaden kodeks społeczny

lub lista czysto arbitralnych postaw behawioralnych, które nie mają nic wspólnego ze

społeczeństwem, w jakim teraz żyjemy.

–A jednak pracowałbyś w kościele w kolonii Coronis?

–Tak mi się wydaje. Nigdy naprawdę nie zastanawiałem się nad tym. Należę do Zakonu Świętego Krzysztofa z Centaurusa, który został zorganizowany po to, aby nieść do gwiazd ideę Zreformowanego Kościoła Katolickiego. Zaakceptowałem to po

prostu jako szlachetną sprawę. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem tak poważnie, głęboko, uczciwie. Tutaj jednak, na mojej kupie kamienia mam dużo czasu na myślenie. – Uśmiechnął się blado. – Nic dziwnego, że kryminaliści na Ziemi byli wykorzystywani do tłuczenia kamieni. To zajmuje ręce, ale myśli pozostawia wolne.

–Więc uważasz, że etyka behawioralna nie jest absolutem? – powoli powiedziała Judy. – Że nie ma w niej nic definitywnego, ani zesłanego przez Boga?

–A jak mogłoby być? Judith, wiesz, co uczyniłem. Gdybym nie został wychowany w przekonaniu, że niektóre rzeczy same w sobie, wyłącznie z ich natury wystarczą, aby mnie posłać wprost do piekła, wówczas, po przebudzeniu się z Wiatru, mógłbym z tym żyć. Może byłoby mi wstyd, może byłbym wściekły lub czuł obrzydzenie, ale nie miałbym tego głęboko zakorzonego w umyśle przekonania, że żaden z nas nie zasługuje na to, by żyć dalej. W seminarium nie rozróżniano odcieni zła i dobra, były tylko cnota i grzech, i nic pomiędzy nimi. Morderstwa popełnione w szaleństwie nie

wstrząsnęły mną, ponieważ nauczony zostałem, że rozpusta jest grzechem śmiertelnym, za który mogę pójść do piekła. Jak zatem morderstwo może być czymś gorszym? Możesz iść do piekła tylko raz, a ja już zostałem potępiony. Etyka racjonalna powiedziała mi, że cokolwiek ci biedni chłopcy, niech Bóg zachowa ich dusze, robili wraz ze mną tej szalonej nocy, zaszkodziło to tylko naszemu poczuciu godności i przyzwoitości, jeśli miałyby to jakiegokolwiek, znaczenie. A taką świadomość od morderstwa dzielą całe mile, całe galaktyki!

–Nie jestem teologiem – odrzekła Judy – Oj... to znaczy Valentine, ale czy w stanie obłądu można naprawdę popełnić grzech śmiertelny?

–Uwierz mi, przeanalizowałem już to zagadnienie ze wszystkich możliwych stron. Nie pomaga mi myśl, że gdybym pobiegł do mojego spowiednika i uzyskał rozgrzeszenie za wszystko, co uczyniłem w obłądzeniu, według przyjętych norm były to rzeczy haniebne, ale nieszkodliwe, może wstrzymałbym się przed zabiciem tych biedaków. Musi być coś złego w systemie, który powiada, że winę można nałożyć lub zdjąć jak płaszcz. A szaleństwo... cóż, nie można popełnić pod wpływem szaleństwa rzeczy, które nie tkwią gdzieś w człowieku. Dopiero teraz powoli zdaję sobie sprawę z tego, że właściwie nie chodziło mi o to, iż czyniłem zabronione rzeczy z innymi mężczyznami. W istocie nie mogłem tylko znieść świadomości, że robiłem to radośnie i chętnie, że już nie wierzyłem, iż to coś złego. Czułem, że jeśli kiedykolwiek spojrzę znów w ich twarze, będę wspominał chwile, gdy nasze umysły, serca i ciała były dla siebie tak bez – reszty otwarte w najbardziej wszechogarniającej miłości i wspólnocie,

jakiej tylko ludzie mogą doświadczyć. Nigdy więcej nie mógłbym tego ukryć, więc wzięłem scyzoryk i zacząłem ukrywać to przed sobą samym. – Uśmiechnął się smutno, przerażającym uśmiechem trupiej czaszki. – Judith, Judith, przebac mi. Prosiłaś mnie o pomoc, o wysłuchanie twojej spowiedzi, a to ty wysłuchiłaś mojej.

–Jeżeli masz rację – przemówiła bardzo łagodnie – będziemy duchownymi dla siebie nawzajem, przynajmniej jeśli chodzi o wysłuchanie drugiej osoby i okazanie możliwie najdalej idącej pomocy.

Jedno zdanie, które wypowiedział, chwyciło ją za serce i teraz powtórzyła je głośno:

–... nasze umysły, serca i ciała były dla siebie tak bez reszty otwarte w najbardziej wszechogarniającej miłości i wspólnocie, jakiej ludzkie istoty mogą doświadczyć. Wydaje mi się, że to właśnie ofiarował nam ten świat. W różnym stopniu... to prawda, ale i każdemu na różne sposoby. Właśnie tak powiedział... – I powoli, starannie dobierając słowa, opowiedziała mu o obcym, o ich pierwszym spotkaniu w lesie, o tym jak posłał po nią w czasie Wiatru i o dziwnych rzeczach, o jakich opowiadał jej

bez słów.

–Mówił... że nasze umysły są jak półprzymknięte drzwi! – dokończyła. – Ale my się rozumieliśmy, może właśnie z powodu tej... tej całkowitej wspólnoty. Ale nikt mi nie wierzy! – wykrzyknęła z rozpaczą. – Myślą, że oszalałam albo kłamię!

–Czy to takie ważne, co myślą? – powoli zapytał duchowny. – Dzięki ich niewierze może nawet go chronisz. Powiedziałaś, że boi się nas... Jeśli oni żyją spokojnie, wcale mnie to nie dziwi. Rasa telepatyczna, która zajrzałaby w nasze umysły podczas Upiornego Wiatru, uznałaby nas za okropnie gwałtownych, odrażających - barbarzyńców i chyba nie pomylili by się zbyt, choć i my mamy swoje racje. Kiedy jednak nasi ludzie uwierzą w twój... jak go nazwała Fiona?... kochanka z rodu wrózek, na pewno zaczną szukać jego braci, a to mogłoby się skończyć źle. – Znów uśmiechnęła się lekko. – Nasza rasa ma fatalną opinię, jeśli chodzi o kontakty z kulturami, które uważamy za niższe. Jeśli zależy ci na ojcu twój dziecka, Judy, pozwól im nie wierzyć.

–Na zawsze?

–Tak długo, jak to będzie konieczne. Ta planeta już nas zmienia – odparł

Valentine. – Może kiedyś nasze i jego dzieci znajdą jakiś sposób, aby się połączyć, uniknąć katastrofy, ale musimy cierpliwie czekać.

Judy pociągnęła za łańcuszek na szyi.

–Czy nosiłaś na nim krzyżyk? – zapytał Valentine.

–Tak, ale go zdjęłam. Przebacz mi.

–Co? Przecież on tu nic nie znaczy. Ale co to takiego?

Był to błękitny klejnot, jaskrawo błyszczący, z wirującymi we wnętrzu drobnymi srebrnymi rysunkami.

–Powiedział... że wykorzystują je do uczenia dzieci, że jeśli opanują działanie klejnotu, będą mogła porozumieć się z nim... powiedziec mu, że i ja, i dziecko czujemy się dobrze.

–Pozwól mi obejrzeć... – poprosił Valentine i wyciągnął dłoń, ale Judy drgnęła i cofnęła się.

–Dlaczego...?

–Nie potrafię tego wyjaśnić, nie rozumiem, ale jeśli ktokolwiek inny go dotyka,

to... to boli, jakby był on częścią ciała – wybąkała nieskładnie. – Czy uważasz, że zwariowałam?

Potrząsnął głową.

–Cóż to jest szaleństwo? – zapytał. – Klejnot, który wzmacnia telepatię... może posiada jakieś szczególne właściwości, wpada w rezonans z sygnałami elektrycznymi wysyłanymi przez mózg. Telepatia nie może istnieć tak sobie, musi mieć powiązania z jakimiś zjawiskami naturalnymi. Może klejnot jest dostrojony do tej części twojego umysłu, która z ciebie czyni Ciebie. W każdym razie istnieje i... czy już porozumiałaś się z nim za pomocą klejnotu?

–Czasami mam także wrażenie. – Judy z trudem dobierała właściwe słowa. – To jak słyszenie czyjegoś głosu, rozpoznawanie po samym dźwięku, do kogo należy... nie, to nie całkiem to samo. Czuję... bardzo krótko, ale wyraźnie, jakby stał koło mnie, dotykał mnie, a potem wszystko znika. Moment pokrzepienia, moment... miłości i koniec. Mam dziwne przeczucie, że to dopiero początek, że przyjdzie dzień, kiedy dowiem się innych rzeczy na ten temat...

Valentine przyglądał się, jak ukrywa klejnot pod sukienką.

–Na twoim miejscu trzymałbym to przez jakiś czas w tajemnicy – poradził. –

Powiedziałem, że ta planeta zmienia nas wszystkich, ale chyba zmiany następują nie dość szybko. Są tu naukowcy, którzy chętnie przetestowaliby ten przedmiocik, rozpracowali go, może nawet zabrali ci, robili z nim doświadczenia, zniszczyli, żeby zobaczyć, jak działa. Może pytaliby cię i testowali raz za razem, żeby sprawdzić, czy nie kłamiesz i nie majaczysz. Chowaj go, Judith. Używaj tak, jak on ci kazał. Może przyjdzie dzień, kiedy stanie się ważne, jak on naprawdę działa... jak powinien działać, a nie jak chcieliby go wykorzystać naukowcy. Wstał, strząsając z kolan okruchy po posiłku.

–Muszę wracać do moich kamieni. Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek.

–Dzięki – szepnęła. – Bardzo mi pomogłeś. Pogładził ją po twarzy.

–Cieszę się – szepnął. – To... początek. Droga – powrotna jest daleka, ale najważniejsze, że zaczęliśmy. Niech cię Bóg błogosławi, Judith.

Patrzył w ślad za nią i nagle przyszła mu do głowy dziwna, niemal bluźniercza myśl: A może to Bóg zsyła nam na ten dziwny świat Dziecię... obce Dziecię, nie całkiem ludzkie...? Odsunął tę myśl od siebie, szepcząc, jestem szalony, ale już następna myśl sprawiła, że zadrżał pod wpływem wspomnień i lęku. A może Dziecię, które czciłem przez te wszystkie lata, także było owocem podobnie dziwnego związku?

–Idiotyzm – mruknął półgłosem i znów pochylił się nad nałożoną na siebie pokutą.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nigdy nie sądziłam, że kiedyś będę się modlić o złą pogodę – odezwała się Camilla. Zamknęła drzwi naprawionej małej kopuły, gdzie obecnie umieszczono komputer i podeszła do Harry'ego Leicestera. – Myślałam o tym. Czy wykorzystując dane o długości dnia, inklinacji słońca i tak dalej nie udałoby nam się określić długości roku tej planety?

–To dość proste – odparł Leicester. – Napisz program i wprowadź go. Może dowiemy się, jak długiej zimy i lata możemy się spodziewać.

Podeszła do konsoli. Jej cięża była już widoczna, choć cała sylwetka zachowała jeszcze lekkość i wdzięk.

–Udało mi się odzyskać prawie wszystkie informacje na temat napędu materia-
antymateria. Pewnego dnia... Moray powiedział mi kiedyś, że od etapu parostatku do
statków kosmicznych minęło mniej niż trzysta lat. Pewnego dnia nasi potomkowie
będą mogli powrócić na Ziemię, Camillo.

–Jeśli będą tego chcieli – rzuciła i usiadła przy swoim biurku. Spojrzał na nią pytająco.

–Wątpisz w to?

–Nie wątpię w nic. Po prostu nie wierzę, abym potrafiła przewidzieć czyny i
zamiary moich pra-pra-pra-pra... och, do diabła, moich wnuków w dziewiątym
pokoleniu. W końcu Ziemianie też przez wiele pokoleń żyli nawet nie marząc o
wynajdywaniu rzeczy, które mogły bez trudu zostać wynalezione zaraz po
pierwszym

wytopie żelaza. Czy rzeczywiście myślisz, że Ziemianie ruszyliby w kosmos, gdyby
nie

sprawa populacji i zanieczyszczeń? A nie są to jedyne czynniki społeczne...

–A jeśli Moray dopnie swego, nasi potomkowie będą barbarzyńcami – dodał

Leicester. – Dopóki jednak mamy komputer i dopóki jest on zabezpieczony, wiedza w

nim pozostanie. Będą mogli ją wykorzystać, kiedy tylko uznają to za słuszne.

–Jeśli się zachowa – odparła wzruszając ramionami. – Po kilku ostatnich

miesiącach nie jestem pewna, czy cokolwiek, co ze sobą przywieźliśmy, przetrwa

choćby to jedno pokolenie.

Świadomie, kosztem pewnego wysiłku, Leicester odnalazł w pamięci informację, która wiele wyjaśniała: ona jest w ciąży. Dlatego właśnie przez wiele lat uważano, że kobiety nie nadają się na naukowców. Kobiety ciężarne mają przeczucia. Przyglądał się, jak szybko dokonywała adnotacji, wykorzystując skomplikowaną stenografię komputerową.

–Po co chcesz znać długość roku?

Co za głupie pytanie, pomyślała dziewczyna, po czym przypomniała sobie, że Leicester wychował się na stacji kosmicznej i zmiany pogody nic dla niego nie znaczą. Nie była nawet pewna, czy dostrzegł jakikolwiek związek pomiędzy pogodą, klimatem, zbiorami i przetrwaniem.

–Po pierwsze, chcemy określić pory wzrostu roślin i stwierdzić, kiedy można liczyć na zbiory. To prostsze niż metoda prób i błędów. Gdybyśmy zostali skolonizowani w normalny sposób, wcześniej ktoś obserwowałby tę planetę przez wiele cykli rocznych. Poza tym Fiona i Judy i... i reszta nas chciałybyśmy wiedzieć, kiedy urodzą się nasze dzieci i jaka wówczas może panować pogoda. Sama nie szyję ubranek dla dziecka, ale ktoś inny będzie to robił i musi wiedzieć, z jaką temperaturą musimy się liczyć.

–Już robisz plany? – zdziwił się. – Jest tylko jedna szansa na dwie, że donosisz ciążę, i taka sama, że dziecko przeżyje.

–Nie wiem. Jakoś nigdy nie wątpiłam, że moje dziecko będzie jednym z tych, które przeżyją. Może to przeczucia, może ESP – tłumaczyła, jednocześnie myśląc głośno: – Miałam wrażenie, że Ruth Montana poroni, i tak się stało.

–Nieprzyjemny dar – wzdrygnął się.

–Nie, ale chyba się go nie pozbędę – odparła rzeczowo. – Zdaje się, że może być przydatny w sprawie zasiewów, że już nie wspomnę o studni, którą udało im się wykopać dzięki darowi Heather. Prawdopodobnie odżył w nas jakiś uśpiony potencjał ludzki i nie ma w tym nic dziwnego. Poza tym chyba nauczyliśmy się już z tym żyć.

–Kiedy byłem studentem – rzekł Leicester – wprowadzono do komputera

wszystkie fakty uznawane jako potwierdzenie istnienia ESP. Odpowiedź brzmiała, że prawdopodobieństwo istnienia czegoś takiego wynosi tysiąc do jednego, a te kilka nie całkiem i ostatecznie odrzuconych przypadków spowodowane zostały błędem w metodzie, nie zaś przez ESP. Camilla roześmiała się.

–To tylko powinno cię przekonać, że komputer nie jest bogiem.

Kapitan Leicester obserwował, jak młoda kobieta przeciąga się, prostując zdrętwiałe członki.

–Przeklęte krzesła, nigdy nie były przeznaczone do użytku w warunkach pełnej grawitacji. Mam nadzieję, że wygodnym meblom przypisano jakiś rozsądny priorytet.

Junior nie lubi, kiedy siedzę na twardych krzesłach.

Boże, jak ja kocham tę dziewczynę, któż uwierzyłby w to w moim wieku! Aby tym bardziej zaakcentować dzielącą ich różnicę, zapytał:

–Czy masz zamiar wyjść za MacArana, Camillo?

–Raczej nie – odparła z cieniem uśmiechu. – Nie myśleliśmy o tym w ten sposób... Kocham go... w czasie ostatniego Wiatru staliśmy się sobie bardzo bliscy, tak wiele nas łączyło, że zawsze już będziemy stanowić jedność. Żyję z nim, kiedy tu jest... co nie zdarza się zbyt często... jeśli to właśnie chciałeś wiedzieć. Jestem z nim przede wszystkim dlatego, że on tak bardzo mnie pragnie, a kiedy już raz było się z kimś tak blisko, kiedy możesz... – z trudem dobierała słowa – kiedy czujesz, jak bardzo pragnie cię ta druga osoba, nie możesz odwrócić się od niej, pozostawić jej tak zgłodniałej i nieszczęśliwej. Naprawdę jednak nie wiem, czy moglibyśmy razem stworzyć jakiś dom, przeżyć wspólnie resztę życia. Nie jestem tego pewna... Zbyt się od siebie różnimy.

Uśmiechnęła się do niego w taki sposób, że serce starszego mężczyzny ścisnęło się nagle.

–Wydaje mi się, że z tobą byłabym szczęśliwsza, przynajmniej na dłuższą metę.

Jesteśmy tak bardzo podobni. Rafe jest kochany, ale ty mnie lepiej rozumiesz.

–Nosisz jego dziecko, a jednak mówisz mi to, Camillo?

–Czy aż tak cię zaskoczyłam? – zapytała ze smutkiem. – Przykro mi. Za nic w

świecie nie chciałabym cię zmartwić. Tak, to dziecko Rafe'a i w jakiś sposób cieszę się

z tego. On go pragnie, a przynajmniej jedno z rodziców powinno pragnąć przyjścia dziecka. Dla mnie wciąż jest to wypadek przy pracy. Cóż, nic na to nie poradzę, zostałam w ten sposób wychowana. Gdyby było na przykład twoje... a przecież mogło i

tak się stać, tak samo przypadkowo, jak z Fioną, ledwie ją znasz, a jesteś – ojcem jej dziecka... nienawidziłbyś go, chciałbyś, abym walczyła, aby go nie urodzić.

–Nie jestem tego taki pewien. Przynajmniej nie teraz – cichym głosem odparł Harry Leicester. – Jednak twoje słowa dziwią mnie i budzą niepokój. Może jestem już

za stary.

Potrząsnęła głową.

–Musimy nauczyć się żyć otwarcie. Jaki może być pożytek z nakładania maski w społeczeństwie, w którym nasze dzieci będą rosnać w przekonaniu, że uczucia są otwartą księgą?

–To przerażające.

–Może trochę. One jednak prawdopodobnie będą to uważać za naturalne. – Lekko oparła się plecami o jego pierś, wyciągnęła dłoń i ujęła go za rękę. – Nie bądź zaskoczony – rzekła powoli. – Ale... jeśli przeżyję... jeśli przeżyjemy oboje, chciałabym, aby następne dziecko było twoje.

Pochylił się i pocałował ją w czoło. Był zbyt wzruszony, aby przemówić. Uścisnęła mocniej jego dłoń i cofnęła rękę.

–Powiedziałam o tym MacAranowi – wyjaśniła rzeczowym tonem. – Dla celów genetycznych dobrze będzie, jeśli kobieta będzie rodzić dzieci różnych ojców. Ale... tak jak powiedziałam... moje reakcje nie są aż tak chłodne i pozbawione emocji.

Przez chwilę jej twarz miała dziwny, odległy wyraz. Leicester odniósł przelotne wrażenie, że dziewczyna patrzy na coś niewidzialnego, ukrytego za jakąś zasłoną, na jej ustach pojawił się na chwilę grymas bólu. Na szybkie, zatroskane pytanie odpowiedziała jednak uśmiechem.

–Nie, wszystko w porządku. Zobaczymy, co się da zrobić z tą długością roku. Kto wie, wkrótce może się okazać, że to nasze pierwsze święto narodowe.

Wiatraki były teraz widoczne w odległości wielu mil od Bazy. Były to wielkie twory o drewnianych skrzydłach, które meły mąkę i kaszę (orzechy, zbierane w lesie, dawały drobną słodkawą mąkę, która mogła zaspokoić potrzeby kolonii do pierwszych zbiorów żyta i owsa), a także generowały dla obozowiska niewielkie ilości elektryczności. Ta jednak już na zawsze miała pozostać na tym świecie towarem deficytowym i była ściśle racjonowana: oświetlenie szpitala, zasilanie maszyn w niewielkich warsztatach metalowych i ogrzewanie nowej szklarni. Poza obozem, wewnątrz własnej zapory ogniowej, znajdowało się miejsce zwane Nowym Obozem, choć komuna Hebryd, która tam pracowała, wolała określać je mianem New Skye. Był

to rodzaj eksperymentalnej farmy, na której Lewis MacLeod wraz z grupą asystentów sprawdzał możliwość udomowienia tutejszych zwierząt.

Rafe MacAran wraz ze swą własną, niewielką grupą asystentów zatrzymał się, aby przed zagłębieniem się w las raz jeszcze spojrzeć ze szczytu pobliskiej góry na oba obozy. Były doskonale widoczne; oba kipiały życiem, a jednak pomiędzy nimi a obozami, które widywał na Ziemi, była jakaś trudna do określenia różnica. Nie potrafił powiedzieć, co to takiego. W pewnej chwili stwierdził: to cisza. Ale czy na pewno? Świat wydawanych tu dźwięków był bardzo bogaty: wielkie wiatraki skrzypiały i trzeszczały, od strony placów budowy, na których brygady stawiały zimowe domy, dochodziły odgłosy pił i miarowe, suche uderzenia młotów. Farma także stanowiła źródło licznych dźwięków, włącznie z hałaśliwymi głosami zwierząt: rykami rogatych ssaków, dziwnymi postękiwaniami, skrzekami i piskami nieznanymi form życia. I nagle Rafe zrozumiał. Nie było tu dźwięków, które nie byłyby odgłosami natury. Żadnych pojazdów, maszyn, nic, poza cichym warkotem kół garncarskich i szcękaniem narzędzi. Za każdym z tych odgłosów kryła się jakaś bezpośrednia ludzka działalność. Nie było dźwięków bezosobowych, każdy z nich zdawał się mieć swój cel i to właśnie wydawało się Rafe'owi takie dziwne i nienaturalne. Całe życie spędził w wielkich miastach Ziemi, nawet w górach dźwięki wydawane przez pojazdy terenowe, zmotoryzowany tranzyt, linie wysokiego napięcia i ryk samolotów odrzutowych składały się na muzykę miłą dla ucha. Tu było cicho, przerażająco cicho, ponieważ kiedy już dźwięk zmałcił nieruchomość wiatru, natychmiast kryło się za nim jakieś znaczenie. Nie można było puścić go mimo uszu. Musiał zostać usłyszany i rozumiany, nie można było potraktować go niezobowiązująco, tak jak na Ziemi traktuje się ryk lecącego wysoko nad głową odrzutowca lub statku kosmicznego. Każdy dźwięk w jakimś stopniu dotyczył słuchającego i Rafe przez większość czasu nasłuchiwał w napięciu.

No cóż. Może kiedyś do tego przywyknie.

Zaczął udzielać instrukcji swojej grupie:

–Pracujemy dziś wzdłuż dolnych półek skalnych, przede wszystkim w łożyskach strumieni. Potrzebne nam próbki wszystkich obco wyglądających rodzajów ziemi... no, powiedzmy, gleby. Za każdym razem, kiedy zmieni się kolor glinki lub piasku, pobieramy próbkę i zaznaczamy lokalizację na mapie... ty odpowiadasz za mapę, Janice? – zapytał dziewczyny.

–Tak, nanoszę na papier milimetrowy. Będziemy mieć lokalizację każdej zmiany terenu.

Poranna praca przebiegała właściwie bez większych sensacji, wyjątkiem było jedno odkrycie w pobliżu łożyska strumienia. Rafe wspomniał o nim, kiedy zebrali się, aby rozpaść ogień i przygotować południowy posiłek – bułeczki z mąki orzechowej i herbatę z liści o słodkawym, przyjemnym smaku, przypominającym trochę sasafras. Ogień rozpalono na prowizorycznym palenisku – zgodnie z żelazną zasadą obowiązującą w kolonii ogniska rozpalano wyłącznie w paleniskach lub kręgach z kamienia, nigdy na gołej ziemi – a gdy żywiczne drewno zapłonęło, ze wzgórza zeszła akurat druga grupa badaczy, składająca się z trzech mężczyzn i dwóch kobiet.

–Hej, czy można się do was przyłączyć? Zaoszczędzimy czasu na rozpalanie drugiego ogniska – powitała ich Judy Lovat.

–Będzie nam bardzo miło – zgodził się MacAran chętnie – ale co robisz w lesie, Judy? Myślałem, że jesteś wyłączona z prac fizycznych.

Kobieta machnęła ręką.

–Jestem właściwie traktowana jak dodatkowy bagaż – odparła. – Nie wolno mi nawet kiwnąć palcem, nie mówiąc o jakiejś prawdziwej wspinaczce, ale część testów na roślinach mogę wykonać w terenie, dzięki temu wielu próbek nie muszą mi przynosić do obozu. Tak odkryliśmy lianowój. Wszyscy powtarzają, że trochę ćwiczeń

mi nie zaszkodzi, jeśli tylko będę uważać, żeby się nie zmęczyć i nie przeziębic. –

Wzięła swój kubek z herbatą i przysiadła obok niego. – Powiodło się?

Skinął głową.

–Najwyższy czas. Przez ostatnie trzy tygodnie wszystko, co znosiłem do obozu, było jedynie kolejną odmianą kwarcytu lub kalcytu – odparł. – Teraz wreszcie trafiliśmy na grafit.

–Grafit? A do czego to służy?

–Cóż, między innymi jako rysiki do ołówka – wyjaśnił. – A ponieważ mamy mnóstwo drewna na same ołówki, przyda się nam, kiedy wyczerpią się inne materiały piśmienne. Można go także stosować do smarowania maszyn, co pozwoli zaoszczędzić tłuszcze zwierzęce i roślinne na cele spożywcze.

–Ciekawe, nigdy nie myślałam o takich rzeczach – zaśmiała się Judy. – O tych milionach drobiazgów, których potrzebujemy, a których istnienie uważamy za całkiem naturalne.

–Tak – odezwał się ktoś z grupy MacArana. – O kosmetykach zawsze myślałem jako o czymś bez czego właściwie człowiek może się obyć. A tu Marcia Cameron

powiedziała, że pracuje nad kremem do twarzy i jest on częścią priorytetowego programu. Gdy spytałem, po co, wytłumaczyła, że na planecie z taką ilością śniegu i lodu krem jest niezbędny, aby utrzymać skórę w dobrym stanie. Każde pęknięcie grozi infekcją.

Judy uśmiechnęła się.

–Naturalnie, teraz choćby gorączkowo szukamy substytutu mączki kukurydzianej, żeby zrobić z niego puder dla niemowląt. Dorośli mogą używać talku, którego tu nie

brakuje, ale gdyby dzieci się tego nawdychały, mogłyby mieć kłopoty z płucami. Żadne

z miejscowych ziaren ani orzechów nie daje się zemleć wystarczająco drobno. Mąka nadaje się do jedzenia, ale nie jest dość chłonna dla delikatnych niemowlęcych pupek.

–Czy to będzie pilne, Judy? – wtrącił się MacAran.

Wzruszyła ramionami.

–Na Ziemi miałybyśmy z Camillą około dwóch i pół miesiąca do rozwiązania, a dziewczyna Alastaira, Alanna, idzie niemal równo z nami. Następnego rzutu należałoby się spodziewać miesiąc później, ale tu... no, cóż, zgaduj, kto może. – I

cichszym głosem dodała: – Wygląda na to, że zima przyjdzie wcześniej. Opowiedz mi, co dzisiaj znaleźliście.

–Ziemię fulerską – odrzekł – albo coś tak podobnego, że nie można tego odróżnić od ziemi fulerskiej.

Widząc, że nic z tego nie rozumie, dodał tonem wyjaśnienia:

–Używa się tego do produkcji tkanin. Mamy niewielkie zapasy sierści zwierzęcej, przypominającej wełnę, z rogożrólików, których jest dużo i które można hodować na

farmie, ale dzięki ziemi fulerskiej łatwiej będzie wyprodukować i zdekatyzować tkaniny.

–Niech mnie ichto, nigdy nie wpadłabym na pomysł, żeby pytać geologa o produkcję tkanin – wykrzyknęła Janice.

–Jeśli o to chodzi, większość nauk jest ze sobą powiązana – zauważyła Judy. – Na Ziemi wszystko było tak wyspecjalizowane, że o tym zapomnieliśmy. – Jednym haustem dopiła herbatę. – Rafe, czy wracacie do Bazy?

Potrząsnął głową.

–Nie. Wracamy do lasu, a możliwe, że i w góry, tam, gdzie byliśmy za pierwszym razem. Może w wysokich partiach znajdziemy strumienie? Dlatego jest z nami doktor

Fraser, który zamierza odnaleźć dalsze ślady istot widzianych przez nas w czasie pierwszej wędrówki i zdobyć więcej informacji na temat poziomu ich cywilizacji.

Wiemy już, że budują mosty od drzewa do drzewa. Jeszcze nie próbowaliśmy na nie wchodzić, ponieważ są oni znacznie od nas lżejsi. Nie chcielibyśmy ani ich przestraszyć, ani zniszczyć ich artefaktów.

–Chciałabym pójść z wami – westchnęła Judy z lekką zazdrością. – Mam jednak nakaz, aby nie oddalać się od Bazy o więcej niż parę godzin drogi, dopóki nie urodzi

się dziecko.

MacAran pochwycił w jej spojrzeniu dziwną tęsknotę.

–Nie obawiaj się, Judy. Nie skrzywdzimy nikogo z napotkanych tubylców, czy będą to niziołki z mostów, czy też... ktoś inny. Gdyby którakolwiek z zamieszkujących tu istot była nam nieprzyjazna, już byśmy to odkryli. Nie chcemy im przeszkadzać. Ostrożność jest właśnie jednym z powodów, dla których się tam wybieramy. Nie chcemy naruszyć ich przestrzeni życiowej, ani zniszczyć czegokolwiek, co jest im potrzebne do życia. Kiedy dowiemy się, gdzie mieszkają, będziemy wiedzieć, gdzie nam nie wolno się osiedlać.

–Dziękuję ci, Rafe – szepnęła z uśmiechem. – Dobrze o tym wiedzieć. Jeśli w ten właśnie sposób myślisz, niepotrzebnie się martwię.

Wkrótce po rozdzieleniu się obu grup ekipa testująca pożywienie zawróciła do Bazy, a MacAran ze swoimi ludźmi ruszył dalej w góry.

W ciągu następnych dwóch okresów dziesięciodniowych kilkakrotnie natknęli się na ślady małych, futrzastych stworków o dużych oczach. Raz był to most przerzucony nad górskim strumieniem, wykonany z długich, posplatanych zwojów pnączy, starannie powiązany i umocowany, ze sznurowymi drabinkami wiodącymi nań z niższych poziomów drzew. Doktor Fraser przyjrzał się pnączom, nawet ich nie dotykając, i stwierdził, że prawdopodobnie zapotrzebowanie na włókno, sznury i grube plecionki będzie większe, aniżeli niewielki zapas, jakiego są w stanie dostarczyć rośliny zwane przez nich lianowojem. Około stu mil dalej w górach odkryli coś, co wyglądało jak pierścień drzew zasadzonych w idealnym kręgu, skąd w górę prowadziły kolejne drabinki sznurowe, ale miejsce to wydawało się opuszczone. Platforma, która prawdopodobnie łączyła kiedyś te drzewa, częściowo się rozpadła i przez większe dziury widać było niebo.

Fraser łakomie spojrział w górę.

–Oddałbym pięć lat życia za to, żeby tam zajrzeć. Ciekawe, czy używają mebli? Czy to jest ich dom, świątynia, czy jeszcze coś innego? Szkoda, że nie mogę wspiąć się na

drzewo drabinki. Pewnie nie utrzymają nawet ciężaru Janice, a co dopiero mojego.

Jeśli dobrze pamiętam, żaden z nich nie był większy od dziesięcioletniego dziecka.

–Mamy mnóstwo czasu – odparł MacAran. – Miejsce jest opuszczone, możemy wrócić tu któregoś dnia z drabiną i badać, ile dusza zapragnie. Osobiście uważam,

że

to jakaś farma.

–Farma?

MacAran pokazał palcem. Na pniach drzew widać było wyjątkowo równe linie; wzdłuż nich rosły te same pyszne szare grzyby, które MacLeod odkrył przed pierwszym Wiatrem. Rosły w jednakowych odstępach, jakby narysowane przy linijce.

–Same z siebie nie rosłyby tak równo – wyjaśnił MacAran – więc musiał je ktoś posadzić. Może wracają tu co kilka miesięcy, aby zebrać plony, a na platformie może być właściwie wszystko: altana, stryszek, magazynek, obóz. Oczywiście, może to także być farma opuszczona przed wielu laty.

–Miło wiedzieć, że można je hodować – uśmiechnął się Fraser i zaczął starannie zapisywać w notesie gatunek drzewa, na którym rosły, rozstaw i wysokość rzędów. – Spójrzcie na to! Wygląda jak bardzo prosty system irygacyjny, odprowadzający wodę z miejsc, gdzie rośnie grzyb, do korzeni drzewa!

Starannie nanieśli „farmę” na mapę Janicę i ruszyli dalej. MacAran zaczął się zastanawiać, jacy są ci obcy. Na pewno prymitywni, jakież inny typ społeczności mógłby naprawdę istnieć na tym świecie? Na podstawie odnalezionych śladów można jednak sądzić, że ich poziom inteligencji prawdopodobnie zbliżony jest do poziomu większości ludzi.

Kapitan mówił o powrocie do dziczy, pomyślał MacAran. Podejrzewam, że nawet gdybyśmy chcieli to zrobić, pewnie by nam się nie udało. Po pierwsze, jesteśmy grupą wyselekcjonowaną, połowa posiada wyższe wykształcenie, reszta przeszła proces adaptacji do życia w kolonii. Przybyliśmy tu z bagażem wiedzy zdobytej w ciągu milionów lat ewolucji i kilkuset technologii wymuszonej przez przeludniony, zanieczyszczony świat. Może nie uda się przenieść naszej kultury w całości, bo i ta planeta nie przeżyłaby podobnej operacji, i dla nas podobna próba byłaby samobójstwem, ale nie musimy się bać, że wrócimy do poziomu jaskiniowców. Cokolwiek ostatecznie uczynimy z tego świata, wynik końcowy, jak podejrzewam, na pewno nie będzie gorszy od tego, co mieliśmy na Ziemi. Umysł ludzki wykorzystuje wszystko, co znajduje, w możliwie najlepszy sposób. Oczywiście, będzie tu nieco inaczej... za kilka pokoleń nawet ja pewnie nie byłbym w stanie znaleźć tu śladów ziemskiej kultury. Ludzie jednak nigdy nie będą niczym innym, jak tylko ludźmi, a

inteligencja z reguły nie funkcjonuje poniżej swego normalnego poziomu.

Mali tubylcy rozwinęli się tak, jak pozwalał ten świat, jako obrośnięty leśny ludek (MacAran dygoczący w lodowatym deszczu letniej nocy szczerze zazdrościł im sierści) i żyjący w symbiozie z lasem. Jeśli mógł jednak ocenić, to ich budowę nie

były pozbawione elegancji.

Jak to nazwała ich Judy? Mali bracia, którzy nie mają rozumu? A ci inni? Planeta, na której się znaleźli, stała się prawdopodobnie kolebką dwóch inteligentnych ras, które w pewnym stopniu ze sobą współlistnieją. Dla ludzkości to dobry znak, ale kosmita Judy – tak go między sobą nazwali – musiał bardzo przypominać człowieka, skoro był w stanie spłodzić dziecko z Ziemianką. Myśl ta była dziwnie niepokojąca.

Czternastego dnia podróży dotarli do dolnych części zboczy wielkiego lodowca, który Camilla ochrzciła nazwą „Mur Wokół Świata”. Strzelał w niebo wysoko ponad ich głowami, przecinając nieboskłon na pół i MacAran wiedział, że nie uda się na niego wspiąć, nawet przy tym poziomie tlenu w powietrzu. Poza tym zboczem nie było już nic, oprócz nagiego lodu i skał, chłostanych wiecznymi, lodowatymi wichrami. Idąc dalej nie osiągało się właściwie niczego. Kiedy jednak reszta grupy odwróciła się plecami do monstrualnej góry, umysł MacArana wciąż nie dopuszczał do siebie określenia „nie zdobyta”. Pomyślał tylko: Nie, nie ma rzeczy niemożliwych. Nie zdobyta dziś, jutro. Może pozostanie taka przez całe moje życie, na pewno zaś przez najbliższe dziesięć, dwadzieścia lat, ale człowiek nie uznaje takich ograniczeń. Pewnego dnia albo ja, albo moje dzieci wrócimy tu i zdobędziemy ten szczyt. A może dopiero dzieci moich dzieci...

–No cóż, więc to jest kres naszej drogi w tym kierunku – oznajmił doktor Fraser. – Może w innym kierunku leży pustynia albo ocean, albo coś, o czym nie wiemy, może znajdują się tam żyzne ziemie i miasta. Odpowiedź może nam dać tylko czas.

Przejrzał mapy, które do tej pory nakreślili, i z satysfakcją objął wzrokiem wypełnione ich części. Wiedział jednak, że na tej czynności mogą spędzić resztę życia. Tej nocy obozowali u samych stóp lodowca i MacAran zbudził się przed świtem. Miękki, puszysty śnieg przestał już padać. MacAran wyszedł na zewnątrz i spojrzał w nieznane gwiazdy. Trzy spośród czterech księżyców wisiały tuż ponad grzbietem góry jak klejnoty. Spojrzenie i myśli MacArana powędrowały w doliny. Tam byli jego przyjaciele i Camilla, nosząca w łonie jego dziecko. Daleko na wschodzie, gdzie wkrótce miało pojawić się słońce, rozbłysła mroczna, mdła luna. Nagle poczuł niewypowiedziane zadowolenie.

Na Ziemi nigdy nie był szczęśliwy. Kolonia kusiła go, ale nawet tam musiałby wpasować się w świat stworzony i zaprojektowany przez innych ludzi, tak zupełnie różnych od niego. Tu miał swój udział w tworzeniu najdrobniejszych rzeczy, rzeźbieniu i kształtowaniu tego, czego chciał dla swoich dzieci i ich dzieci. Rzuciła ich tu katastrofa, zniszczyło szaleństwo i śmierć, a jednak MacAran czuł, że należy do wybranych. Znalazł swoje miejsce w życiu i było to cudowne uczucie...

W tak ponurą pogodę powrót po własnych śladach od podnóża lodowca zajął im większą część dnia. MacAran, który zaczął już się obawiać słońca i suszy, nagle

poczuł znajomy dreszczyk niepokoju. Następnego dnia wieczorem zaczął padać wyjątkowo gęsty śnieg; takiej śnieżycy jeszcze na tej planecie nie widział. Nie pomagała nawet ciepła odzież. Ziemiańskie marzli, rychło też stracili orientację w świecie wirujących białych płatków. Wiedzieli, że nie wolno im się zatrzymać, choć wkrótce stało się oczywiste, że w coraz głębszych zaspach miękkiego, sypkiego śniegu, przez który przedzierali się, kurczowo trzymając jedno drugiego, nie zjadą daleko. A jednak mogli zrobić tylko jedno – iść za wszelką cenę w dół. Pod drzewami było trochę lepiej, ale wysoko nad ich głowami porywisty wiatr, wirujący i tańczący w gałęziach i konarach, niczym w takielunku niewyobrażalnie wielkiego okrętu wypełniał powietrze przedziwnymi głosami. Raz, kryjąc się za pniem drzewa, próbowali rozstawić namiot, ale podmuch natychmiast go zerwał i musieli gonić łopoczącą tkaninę po coraz gęstszym śniegu, dopóki sama nie zaplątała się wokół drzewa. Dopiero wtedy udało im się ją odzyskać. Była zresztą bezużyteczna, bo wokół robiło się coraz zimniej i zimniej. Płaszcze chroniły ich przed wilgocią, ale nie były w stanie zatrzymać przenikliwego zimna. Stanęli wreszcie za pniem jednego z większych drzew, stłoczeni w poszukiwaniu ciepła.

–Jeśli tak jest w lecie, to jakich cholernych burz śnieżnych możemy spodziewać się zimą?

–Myślę, że zimą lepiej będzie, jeśli nikt z nas nie wystawi nawet czubka nosa poza Bazę.

–MacAran przypomniał sobie burzę po pierwszym Wietrze, kiedy to szukał Camilli w wirującym śniegu. Wtedy wydawało mu się, że to śnieżycą. Jak mało znał wówczas tę planetę. Ogarnęły go dławiący strach i uczucie żalu. Camilla jest bezpieczna w osadzie, ale czy kiedykolwiek tam dotrzemy? Ja albo ktokolwiek z nas?

Nagle rozżalony pomyślał, że nigdy nie ujrzy twarzy swojego dziecka, ale szybko gniewnie odepchnął od siebie tę myśl. Nie, to nie koniec walki. Trzeba po prostu znaleźć jakieś schronienie, inaczej nie przeżyją nocy. Namiot nie był lepszym schronieniem niż arkusz papieru, ale przecież jakiś sposób musi istnieć!

Myśl. Puszyłeś się niedawno, jaką to wybraną, inteligentną grupą jesteście. Użyj więc mózgu albo okaże się, że równie dobrze mógłbyś być australijskim Buszmenem.

Może lepiej, gdybyś nim był. To naprawdę twardziele, potrafią przetrwać w każdych warunkach, a ty przez całe życie byłeś rozpieszczany.

Przeżyj, do cholery!

Jedną ręką złapał za ramię Janice, drugą doktora Frasera, potem przyciągnął młodego Domenicka, chłopca z komuny, który studiował geologię na potrzeby pracy w kolonii.

–Czy ktoś widzi, gdzie drzewa są najgęstsze? – zawołał, przekrzykując wycie wiatru. – Chyba nie ma szans, abyśmy znaleźli tu jaskinię lub inne schronienie.

Najlepiej zrobimy, jeśli ukryjemy się w zaroślach lub gdziekolwiek indziej, byle ochronić się przed wiatrem i wilgocią.

–Trudno coś zobaczyć – powiedziała Janice. Jej cichy głos był ledwie słyszalny – ale wydawało mi się, że tam widać jakąś ciemną plamę. Jeśli to nie skały, więc drzewa

muszą rosnąć na tyle gęsto, że nic przez nie nie widać. O to ci chodziło?

MacAran był pewien, że owo uczucie nie jest mu obce, wtedy zaprowadziło go wprost do Camilli, musi więc i teraz mu zaufać.

Zwariował? Może. Ale nie ma nic do stracenia.

–Wszyscy chwytają się za ręce – rozkazał. – Jeśli się pogubimy, nigdy się już nie odnajdziemy.

Trzymając się mocno ruszyli w stronę miejsca, które wydawało się jedynie ciemniejszą plamą wśród drzew.

Dłoń Frasera zacisnęła się na ramieniu Rafe'a. Doktor przybliżył twarz do jego ucha i wrzasnął:

–Może zwariowałem, ale widziałem światło.

MacAran pomyślał, że to chyba omamy pojawiające się pod chłostanymi wiatrem powiekami, chociaż i jemu wydawało się, że coś widzi – i to coś znacznie bardziej nieprawdopodobnego: sylwetkę człowieka. Wysokiego, błyszczącego bladym światłem, nagiego mimo burzy śnieżnej... nie, już znikł. To było jedynie złudzenie. Miał jednak wrażenie, że postać skinęła na nich z głębi czarnej plamy... Ruszyli w tamtym kierunku.

–Widziałeś to? – wymamrotała Janice.

–Tak mi się zdawało.

Później, kiedy siedzieli już w kręgu ciasno splecionych ze sobą drzew, porównywali wrażenia. Każde z nich widziało co innego. Doktor Fraser ujrzał jedynie światło, MacAran – nagiego człowieka wzywającego ich gestem dłoni, a Janice – tylko oblicze otoczone przedziwnym światłem. Było to tak, jakby ta twarz znajdowała się w jej głowie, znikając niby kot z Cheshire, gdy tylko zmrużyła oczy, chcąc zobaczyć ją lepiej. Dla Domenicka wizja przybrała kształt wysmukłej, lśniącej postaci.

–Jak anioł – wyjaśnił – lub kobieta... kobieta o długich lśniących włosach.

Idąc za zjawiskiem trafili na grupę drzew rosnących tak blisko siebie, że z trudem przecisnęli się pomiędzy pniami. MacAran położył się na ziemi i wpełzł do środka, wciągając ich za sobą.

Wewnątrz kręgu śnieg był jedynie delikatną mgiełką, a rozszalała nawałnica nie mogła ich dosięgnąć. Opatulili się kocami i przytulili do siebie ogrzewając wzajemnie. Sięgnęli po zimne resztki prowiantu. Nieco później MacAran zapalił światło i ujrzał przymocowane do pnia płaskie kawałki drewna. Była to drabina, prowadząca w koronę drzewa...

Jeszcze zanim zaczęli się wspinać, odgadł, że nie jest to dom futrzastych niziołków. Szczeble były od siebie oddalone tak bardzo, że on miał trudności z ich pokonaniem, a Janice, która była niska, musieli po prostu wciągnąć na górę. Fraser wahał się, ale MacAran był pewien tego, co mówił.

–Jeśli każdy z nas widział co innego – wyjaśnił swoje stanowisko – to znaczy, że zostaliśmy tu przyprowadzeni. Coś przemówiło wprost do naszych umysłów. Można powiedzieć, że zostaliśmy zaproszeni. Jeśli stworzenie to było nagie i tak zobaczyło

ją... lub jego... dwoje z nas, to znaczy, że pogoda nie ma na niego wpływu, kimkolwiek

jest. Wiedział jednak, że my jesteśmy w niebezpieczeństwie. Proponuję przyjąć gościnnie, oczywiście z należnym szacunkiem.

Aby wejść na platformę, musieli przecisnąć się przez luźno przywiązaną klapę. I nagle znaleźli się w szczelnym, drewnianym domu. MacAran znowu zaczął ostrożnie rozpalać ogień, ale stwierdził, że nie jest to konieczne. W pomieszczeniu było bowiem dość jasno, a mdły, miękki blask pochodził od jakiejś fosforyzującej substancji, która pokrywała ściany. Na zewnątrz wył wiatr, ogromne korony drzew skrzypiały i chwiały się, przez co podłoga pomieszczenia lekko się kołysała, ale nie

było to nieprzyjemne, raczej nieco niepokojące. Dom składał się z jednej dużej izby, podłoga pokryta była czymś miękkim i gąbczastym, jakby porastał ją mech lub jakaś miękka, zimowa trawa.

Wyczerpani, przemarznięci podróżnicy z wdzięcznością wyciągnęli się na niej, odpoczywając w stosunkowo ciepłym, suchym i szczelnym pomieszczeniu. Wkrótce zasnęli.

Zanim MacAran zapadł w sen, wydawało mu się, że gdzieś z dala, poprzez szalejącą burzę, dochodzi do niego cichy, słodki głos, przypominający śpiew. Śpiew? Nic, co żywe, nie mogłoby przetrwać w tej burzy, a jeszcze śpiewać! Jednakże wrażenie nie ustępowało, a na samym progu snu pojawiły się w jego umyśle także słowa i obrazy.

Kiedy opętani i zagubieni pierwszym kontaktem z Wiatrem, odnaleźli wreszcie obozowisko, stwierdzili, że namiot został rozstawiony, a plecaki i instrumenty starannie ułożone w środku. Camilla myślała wtedy, że to dzieło Rafe'a. On był przekonany, że to ona rozbiła namiot.

Ktoś nas obserwuje. Strzeże nas.

Judy mówiła prawdę.

Na krótką chwilę w jego umyśle pojawiła się piękna, nie kobieca, ale i nie męska twarz.

–Tak. Wiemy, że tu jesteście. Nie mamy złych zamiarów, ale nasze drogi się rozchodzą. Pomożemy wam tyle, ile to będzie możliwe, chociaż porozumienie się z wami jest niezwykle trudne, bo drzwi waszych umysłów są zamknięte. Lepiej będzie, jeśli nie zbliżymy się do siebie za bardzo. Dziś jednak śpijcie spokojnie i bezpiecznie, a potem odejdźcie w pokoju...

Oczami duszy widział tę piękną twarz, okoloną światłem i srebrzyste oczy, choć ani wówczas, ani potem nie był pewien, czy rzeczywiście widział oczy i świetliste rysy nieznanego, czy też jego mózg zarejestrował je i uformował w obraz stworzony z dziecięcych marzeń o aniołach, wróżkach i świętych w aureoli. Uspłył go odległy śpiew i monotonne wycie wiatru.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

...I to już naprawdę wszystko. Pozostaliśmy tam około trzydziestu sześciu godzin, dopóki śnieżyca i wiatr trochę się nie uspokoiły. Potem ruszyliśmy dalej. Nie widzieliśmy jednak mieszkańca tej chaty, podejrzewam, że starannie ukrywał się do momentu, aż odeszliśmy. Czy to nie tam byłaś wcześniej, Judy?

–O, nie. Nie tak daleko. Nie, na pewno nie. Zresztą to nie był dom jego ludu, przypuszczam, że raczej miasto leśnych niziołków, jak ich nazywał. Tych, którzy budują nadrzewne mosty. Sama jednak nie mogłam nigdy odnaleźć tego miejsca. Zresztą chyba nawet nie chciałabym – dodała po chwili.

–Jestem jednak przekonany, że mieli wobec nas przyjazne zamiary – upierał się MacAran – Chyba... chyba to nie był ten sam, którego ty znasz?

–A skądże mam wiedzieć? Na pewno są rasą telepatyczną, więc przypuszczalnie wszystko, co wie jeden z nich, wiedzą także pozostali, a przynajmniej jego bliscy, członkowie rodziny... jeśli jest u nich coś takiego.

–Może kiedyś dowiedzą się, że nie chcemy zrobić im krzywdy? – myślał głośno.

Judy uśmiechnęła się lekko.

–Jestem pewna, że wiedzą, że ani ty, ani ja nie chcemy im zrobić krzywdy -szepnęła. – Nie znają jednak wszystkich ludzi, zresztą wydaje mi się, że dla nich czas nie ma tak wielkiego znaczenia, jak dla nas. To nic niezwykłego. Jedynie my, mieszkańcy Europy Zachodniej, możemy się temu dziwić. Na Ziemi ludzie Wschodu także snuli plany i myśleli w kategoriach pokoleń, a nie miesięcy czy nawet lat. Może on też uważa, że ma całe wieki na zapoznanie się z nami. MacAran zachichotał.

–No cóż, nigdzie się nie wybieramy, myślę, że będzie dość czasu. Doktor Fraser

jest w siódmym niebie, ma dość notatek antropologicznych, żeby przez najbliższe trzy lata nie narzekać na brak pracy. Musiał zarejestrować wszystko, co widział w chacie... mam nadzieję, że nie obraził ich tym wścibstwem. Oczywiście opisał też wszystkie rodzaje pożywienia. Jeśli należymy do zbliżonych gatunków, moglibyśmy jeść to, co oni – dodał MacAran. – Naturalnie, nie tknęliśmy jego zapasów, ale Fraser wszystko spisał. Mówię „on” dla wygody, Domenick jest przekonany, że osoba, która nas tam zaprowadziła, była kobietą. Jeden z mebli... właściwie główny mebel, wyglądał jak kołowrotek z nawleczoną nitką. Były tam też kokony czegoś, co przypominało włókno roślinne, mniej więcej nasz wilczomlec, namoczone i widocznie przygotowane do przędzenia. W powrotnej drodze znaleźliśmy parę takich kokonów i przekazaliśmy je MacLeodowi na farmę. Zdaje się, że można z nich utkać całkiem ładną tkaninę. Już miał wyjść, ale Judy zatrzymała go.

–Wiesz zapewne, że w obozie są ludzie, którzy do tej pory nie wierzą w istnienie na tej planecie obcych istot?

MacAran spojrział w jej przerażone oczy i odpowiedział łagodnie:

–Czy to ważne, Judy? My wiemy. Może powinniśmy tylko czekać i także zacząć myśleć w kategoriach pokoleń. Może nasze dzieci dowiedzą się wszystkiego...

Na planecie czerwonego słońca lato dobiegało kresu. Słońce w swej wędrówce po niebie minęło już zrównanie i znowu się zniżało. Zdaniem Camilli, która podjęła się przygotowywać dane do przygotowania kalendarza, codzienne zmiany w wyglądzie słońca i nieba wskazywały, iż dni, coraz dłuższe w ciągu pierwszych czterech miesięcy ich pobytu, systematycznie się skracają, nieuchronnie zmierzając ku niewyobrażalnej zimie. Komputer po otrzymaniu wszystkich posiadanych danych przepowiadał dni mroku, temperatury średnie około zera w skali Celsjusza i niemal nieustanne burze gradowe. Dziewczyna powtarzała sobie, że jest to tylko matematyczne odzwierciedlenie prawdopodobieństwa, które może nie mieć nic wspólnego z rzeczywistością.

W ciągu drugiego trymestru ciąży zdarzały się chwile, w których sama siebie nie poznawała. Nigdy do tej pory nie przyszło jej do głowy, że surowe nauki matematyczne, jej świat, w którym żyła od najwcześniejszego dzieciństwa, mogą mieć jakieś wady. Nie przypuszczała, że stanie kiedyś twarzą w twarz z problemem - oczywiście z wyjątkiem spraw czysto osobistych – którego nie będzie w stanie rozwiązać za pomocą znanych jej metod. Nawet coraz wyraźniejsze przejawy nowej umiejętności czytania w ludzkich umysłach i zagłądania w przyszłość sama określała

„przeczuciami” i wyśmiewała, kwitując ironicznym wzruszeniem ramion, chociaż doskonale wiedziała, że inni także zaczynają doświadczać tego samego.

Dopiero Harry Leicester (w myślach wciąż nazywała go kapitanem Leicesterem) wyjaśnił wszystko w sposób, który najbardziej jej odpowiadał. Kiedy przebywała z nim, umiała jakoś spojrzeć na wszystko jego oczami.

–Trzymaj się tego, co wiesz, Camillo. Tylko tyle możesz zrobić. Określa się to mianem integralności intelektualnej. Jeśli wiesz, że coś jest niemożliwe, to znaczy, że jest niemożliwe.

–A jeśli niemożliwe staje się faktem? Na przykład ESP?

–Wówczas – odrzekł twardo – można przypuszczać, że prawdopodobnie źle

zinterpretowałaś fakty lub zgadujesz na podstawie niejasnych przesłanek. Nie łap się

za głowę, ponieważ akurat chcesz w to wierzyć. Poczekaj na dowody.

–A co ty uznałbyś za dowód? – zapytała łagodnie.

Potrząsnął głową.

–Szczерze mówiąc, nic. Gdyby mi się to przytrafiło, uznałbym, że jestem stuknięty,

a doświadczenia, przekazywane mi przez zmysły, są bezużyteczne.

A co w sytuacji, gdy nie chcę uwierzyć, pomyślała. Jak zachować integralność intelektualną, kiedy odrzucasz jako niemożliwe cały zestaw faktów bez ich wcześniejszego sprawdzenia? Kochała jednak kapitana i dawne zwyczaje już weszły jej w krew. Może któregoś dnia pojawi się namacalny dowód, ale na razie w cichej desperacji marzyła jedynie o tym, aby nie pojawił się zbyt wcześnie.

Systematycznie powracały nocne deszcze, wiatr niosący szaleństwo nie pojawił się więcej, ale tragiczna statystyka przepowiedziana przez Ewena sprawdzała się z przerażającą dokładnością. Ze stu czternastu kobiet około osiemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu powinno było zająć w ciąży. Czterdziestu ośmiu rzeczywiście się udało, a dwadzieścia dwie poroniły w ciągu następnych dwóch miesięcy. Camilla wiedziała, że jest jedną z tych szczęśliwych, które utrzymały. Jej ciąża przebiegała tak gładko, że chwilami całkiem o niej zapominała. Ciąża Judy także przebiegała normalnie, ale dziewczyna z komuny Hebryd, Alanna, w szóstym miesiącu, wydała na świat bliźnięta, które zmarły natychmiast po porodzie. Camilla nie miała wielu znajomych pośród dziewcząt z komuny – większość z nich pracowała w New Skye, z wyjątkiem ciężarnych, które leżały w szpitalu – ale kiedy się o tym dowiedziała, przeszło ją dziwne uczucie, podobne do bólu. Tej nocy poszła do MacArana i została u niego, tuląc się w niewysłowionym przerażeniu, którego nie mogła ani wyjaśnić, ani

sama zrozumieć.

Wreszcie zapytała:

–Rafe, czy znasz dziewczynę imieniem Fiona?

–Tak, nawet dość dobrze. To piękny rudzielec z New Skye, ale nie musisz być zazdrosna, kochanie. Wydaje mi się, że akurat teraz żyje z Lewisem MacLeodem.

Dlaczego pytasz?

–Znasz wielu ludzi z New Skye, prawda?

–Tak, ostatnio często tam bywałem. Dlaczego pytasz? Myślałem, że uważasz ich za odrażających dzikusów – odparł obronnym tonem. – To mili ludzie i odpowiada mi ich sposób życia, ale nie zamierzam namawiać cię, żebyś do nich dołączyła. Wiem, że nie będziesz chciała. Oni także nie pozostawiliby mnie bez kobiety... starają się o utrzymanie równowagi płci, choć się nie żenią. Ale traktują mnie jak swojego.

–Cieszę się z tego – odrzekła z niezwykłą łagodnością. – I na pewno nie jestem zazdrosna. Chciałabym jednak zobaczyć się z Fioną i nie potrafię powiedzieć, dlaczego. Czy mógłbyś zabrać mnie na jedno z ich spotkań?

–Nie musisz nic wyjaśniać. Urządzają dziś koncert, och nie, nic oficjalnego, ale trudno to inaczej nazwać. Każdy może przyjść i zostanie przyjęty. Możesz nawet przyłączyć się do nich, jeśli zechcesz zaśpiewać. Znasz przecież jakieś stare hiszpańskie pieśni, prawda? Istnieje taki na razie luźny projekt, żeby zachować w pamięci możliwie jak najwięcej starych melodii.

–Może kiedy indziej. Chciałabym, ale za bardzo brakuje mi tchu, żeby teraz

śpiewać – uśmiechnęła się przepraszająco. – Może kiedy dziecko się urodzi.

MacAran poczuł ukłucie zazdrości. Ona wie, że Fiona nosi dziecko kapitana i dlatego chce się z nią zobaczyć. I dlatego nie jest zazdrosna, cóż ją to obchodzi... To ja jestem zazdrosny. Dlaczego jednak miałbym chcieć, aby kłamała? Kocha mnie, nosi moje dziecko. Czegóż jeszcze mógłbym pragnąć?

Nim jeszcze dotarli do nowej świetlicy na farmie New Skye usłyszeli skoczną melodię. Camilla spojrzała na towarzysza ze szczerym przerażeniem.

–Boże drogi, a cóż to za kocia muzyka?

–Zapomniałem, że nie jesteś Szkotką, kochanie. Nie lubisz kobzy? Moray,

Domenick i kilku innych świetnie na nich grają, ale jeśli ci się to nie podoba, możemy

zaczekać, aż skończą – roześmiał się.

–Brzmi gorzej niż banshee na wolności – stwierdziła ponuro. – Mam nadzieję, że nie tylko takie utwory grają?

–Nie, mają też harfy, gitary, lutnie, co tylko chcesz. Tworzą również nowe

instrumenty. – Gdy muzyka ucichła, ścisnął rękę Camilli i weszli do sali. – To tradycja,

nic więcej. Kobzy i regalia szkockich górali: kilty i miecze.

Camillę zaskoczyło, że na widok wielkiej sali, oświetlonej świecami i pochodniami poczuła ukłucie zazdrości. Były tu dziewczyny odziane w jaskrawe spódnice z tartanu i szale, mężczyźni w kiltach, z mieczami u boku i szalami spiętymi na ramieniu, a większość z nich hojnie obdarzona ogniście rudymi czuprynymi. Barwna tradycja. Przekazują ją z pokolenia na pokolenie, podczas, gdy nasze tradycje... umierają. Och, do licha, a cóż my mamy za tradycje? Coroczna parada Akademii Kosmicznej? Ich obyczaje przynajmniej pasują do tego dziwnego świata.

Dwóch mężczyzn, Moray i wysoki rudowłosy Alastair, tańczyło taniec z mieczami, zwinnie przeskakując przez lśniące klingi. Przez chwilę Camilla miała przedziwną wizję zimnego blasku mieczy skrzyżowanych nie w zabawie, ale w śmiertelnym starciu. Otrząsnęła się i przyłączyła do ogólnego aplauzu.

Później było jeszcze wiele tańców i pieśni, których nie знаła, dźwięczących dziwną, melancholijną nutą i rytmem przywodzącym na myśl fale morza. Temat morza zresztą pojawiał się w wielu pieśniach. Pomimo blasku pochodni w sali panował półmrok i Camilla nigdzie nie mogła dostrzec rudowłosej dziewczyny, której szukała. Po chwili jednak zasłuchana w żalobną pieśń o zaginionym świecie wysp i morza zapomniała, po co przyszła.

O Mhari, o moja Mhari

Twoje oczy barwy morza

Magią wzywają mnie z dzikich plaż Muld...

Moje serce krwawi miłością do ciebie...

Ramię MacArana mocniej zacisnęło się wokół jej talii. Szepnęła:

–Jakie to dziwne, że tyle pieśni o morzu przetrwa na świecie bez mórz...

–Daj nam trochę czasu – odrzekł. – Znajdziemy jakieś morza, o których będzie można śpiewać... – Urwał, bo pieśń dobiegła końca i ktoś zawołał:

–Fiona! Fiona, zaśpiewaj dla nas!

Inni podjęli wezwanie i po chwili przez tłum precyzyjnie się rudowłosa dziewczyna, odziana w zielono-niebieską spódnicę, która nie tylko nie ukrywała, ale wręcz

podkreślała jej stan.

–Nie mogę zbyt dużo śpiewać – zawołała lekkim, słodkim głosem. – Brakuje mi tchu. Co chcielibyście usłyszeć?

Ktoś zawołał coś gaelicku. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, po czym z rąk innej dziewczyny wzięła niewielką harfę i usiadła na drewnianej ławce. Przez chwilę jej palce poruszały się po strunach w cichych arpeggiach, aż wreszcie zaśpiewała:

*Wiatr od wysp unosi pieśń o naszym smutku, Krzyk mew i westchnienia strumieni,
W każdym śnie słyszę szept wód, Płynących od gór ku naszym marzeniom...*

Miała niski, miękki głos, który przywiódł Camilli na myśl niskie, zielone wzgórza, krajobrazy z dzieciństwa, wspomnienia Ziemi, jaką niewielu z nich mogło pamiętać, przechowane jedynie w pieśniach, wspomnienia czasów, kiedy wzgórza Ziemi w promieniach żółtozłotego słońca, pod turkusowoniebieskim niebem były zielone...

Wiej na zachód, o wietrze, i przynieś nam głosy O mej ziemi, gdzie honor i prawda wciąż gości. We śnie i na jawie wciąż słyszę szmer wód Płynących od gór w kraju mej młodości.

Camilla poczuła ucisk w gardle, który natychmiast przeszedł w krótki szloch... Rodzinna ziemia... zapomniana... Po raz pierwszy uczyniła świadomy wysiłek, aby otworzyć oczy swej duszy na szczególną wrażliwość, jaka stała się jej udziałem od pierwszego Wiatru.

Gorączkowo skupiła wzrok i wszystkie myśli na śpiewającej dziewczynie. Poczowała, jak wzbiera w niej uczucie namiętnej miłości. Po chwili napięcie znikło. Camilla odetchnęła.

Fiona nie umrze. Jej dziecko będzie żyło.

Ja nie mogłabym go nosić, albowiem on zostanie starty z powierzchni ziemi, jakby nigdy nie istniał...

Co się ze mną dzieje? Jest tylko o kilka lat starszy od Moraya, nie ma powodu, aby nie przeżył wielu z nas... Ale lęk pozostał wraz z gwałtowną ulgą, gdy Fiona zakończyła pieśń:

W tej ziemi wygnania śpiewamy nasze pieśni, Kobzy i harfy grają, tak jak grały,

Lecz słodka muzyka już nie popłynie jak rzeka, Tej rzeki nasze dzieci już nie będą znały...

Camilla poczuła, jak łzy ściekają jej po policzkach, ale nie była osamotniona. W

półmroku pomieszczenia wszyscy wygnańcy rozpaczali nad swoim losem i straconym światem. Nie mogąc dłużej tego znieść, wstała i na oślep, po omacku zaczęła przeciskać się ku wyjściu. Tłum rozstępował się, kiedy tylko zauważono jej stan. MacAran ruszył za nią, ale nie doczekał się z jej strony ani cienia uwagi. Dopiero gdy znaleźli się na zewnątrz, przystanęła i zwróciła ku niemu, a potem przylgnęła, szlochając rozpaczliwie. Nawet kiedy jego pełne troski pytania zaczęły wreszcie do niej docierać, nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć.

Rafe próbował ją pocieszyć, ale nagle zaczął podzielać jej niepokój. Przez dłuższą chwilę nie wiedział, dlaczego. Zrozumienie przyszło nagle.

Ponad ich głowami niebo było czyste, bez jednej chmurki, bez śladu deszczu. Dwa wspaniałe księżycy, jeden zielony jak limon, drugi jaskrawoniebieski, wisiały nisko na ciemniejącym fioletowym niebie. Zerwał się Wiatr...

W świetlicy Komuny Nowych Hebryd wspólne muzykowanie niepostrzeżenie przerodziło się w ekstatyczny taniec grupowy, połączony z narastającym poczuciem wspólnoty, miłości i komunii wiążącej wszystkich więzami niewyobrażalnej bliskości, których już nigdy później nie można będzie ani zapomnieć, ani zerwać. Raz tylko, późną nocą, dwójka mężczyzn zerwała się z miejsc, mierząc się wzrokiem pełnym niepohamowanej wściekłości. Miecze, część ich wspaniałego góralskiego stroju, zabłyśły w świetle pochodni i zwały się ze szczękiem. Moray, Alastair i MacLeod, działając niby palce jednej ręki, rzucili się pomiędzy walczących i obalili ich na ziemię, wytrącając miecze z dłoni. Usiedli na nich – całkiem dosłownie – dopóki z oczu przeciwników nie znikła zwierzęca wściekłość. A potem stopniowo ich uwalniając zaczęli wlewać w nich whisky (Szkoci zawsze jakimś cudem potrafią pędzić whisky nawet w najodleglejszych zakątkach Wszechświata, choćby brakowało im wszystkiego innego pomyślał Moray), dopóki zamroczeni antagoniści nie ucałowali się z pijacką wylewnością, przyrzekając sobie wieczną i niezłomną przyjaźń. Święto miłości trwało

dalej, dopóki na bezchmurnym niebie nie weszło czerwone słońce.

Judy przebudziła się, całym wnętrzem czując powiew wiatru niczym tchnienie lodu. Ciało i mózg opanowały rodzącą się odmienność. Szybko, jakby w poszukiwaniu pokrzepienia, położyła dłoń tam, gdzie jej dziecko poruszyło się nagłym, silnym zrywem życia. Tak, z nią wszystko w porządku, ale i ona czuje Wiatr Obłądu...

W pokoju było całkiem ciemno. Judy wsłuchiwała się w rytm odległej pieśni. Zaczyna się, ale teraz... czy teraz, kiedy już wiedzą, co to jest, będą w stanie bez lęku i wyobcowania stawić temu czoło? Ona czuła wyłącznie doskonały spokój, milczenie, przenikające do samego centrum jej istoty. Nie zaskoczyło jej to, że wie już, co po raz pierwszy przyniosło szaleństwo. Wiedziała także, że w jej przypadku to szaleństwo już nigdy nie powróci. Zawsze w porze Wiatru będzie się czuła nieco

dziwnie, otwarta, pełna uśpionych dotąd mocy i możliwości, które pod wpływem niesionego wiatrem silnego narkotyku staną się silniejsze, pełniejsze. Teraz jednak umiała już sobie z nimi radzić i od tej chwili jej szaleństwo będzie niewielkie – po prostu uspokojenie dla duszy i uwolnienie umysłu od stresów. Wypoczynek, który pozwoli jej na skuteczniejsze w przyszłości zmaganie się z przeciwnościami. Teraz także dała się ponieść tej fali, myślą szukając wokół siebie półwyczuwalnego dotknięcia niby wspomnienia. Miała wrażenie, że wiruje, płynie z wiatrem rozwiewającym jej myśli, które na ułamek sekundy zwały się i związały z nieznanym w krótkim, ekstatycznym kontakcie (nawet teraz nie znała jego imienia, nie było jej to zresztą potrzebne, znali się bowiem, tak jak matka rozpoznaje twarz swego dziecka, bliźniak rozpoznaje bliźniaka, i zawsze będą razem, nawet jeśli nigdy nie ujrzy jego twarzy). Choć dotknięcie to trwało ułamek sekundy, nie żądała, ani nie potrzebowała więcej.

Wyjęła z sukni klejnot, podarunek miłości. Wydawało się, że kamień świeci w mroku własnym, wewnętrznym ogniem tak samo, jak zabłyśnięcie raz w jego dłoni, gdy zamykał na nim jej palce. Postaraj się opanować klejnot. Skoncentrowała na nim wzrok i myśli, usiłując za pomocą swego nowego, wewnętrznego oka dostrzec, co to miało znaczyć.

W pokoju panowała ciemność, ponieważ w miarę upływu czasu księżycy skryły się za ścianę, a światło gwiazd było mdłe i słabe. Judy, nie wypuszczając klejnotu z dłoni, sięgnęła po świecę żywiczną. Nie miała już ochoty spać. Macała wokoło w poszukiwaniu zapalniczki, znalazła ją i usłyszała, jak zanurzona w chemikaliach drzazga spada na podłogę. Mruknęła pod nosem jakieś niewyraźne przekleństwo – teraz

będzie musiała wstać z łóżka i znaleźć ją. Ze złością spojrzała na świecę i w jakiś sposób wzrok jej przenikał również trzymany w dłoni klejnot.

Światła, do cholery.

Żywiczna świeca w jednej chwili rozbłysła jasnym płomieniem. Judy krzyknęła ze zdumienia. Z bijącym sercem zdmuchnęła płomień, odsunęła dłoń, skoncentrowała wszystkie myśli na klejnocie i natychmiast ujrzała nowy płomień, który rozbłysł pomiędzy palcami.

A więc to jest ich sekret...

Sekret, który może być niebezpieczny. Ukryję go, dopóki nie przyjdzie właściwy czas. W tym samym momencie zrozumiała, że dokonała odkrycia, które być może wypełni kiedyś lukę pomiędzy dawną wiedzą tego dziwnego świata, a technologią przywiezioną z Ziemi. Wiedziała jednak, że nie wspomni o tym przez długi, długi czas, a może nawet nigdy. Kiedy przyjdzie pora, a nasze umysły będą silne i gotowe, może wówczas... może staną się godne, by powierzyć im tę tajemnicę. Gdybym pokazała

im teraz... połowa nie uwierzyłaby, a druga połowa zaczęłaby knuć, jak wykorzystać ją do własnych celów. Nie teraz.

Od chwili, gdy statek został zniszczony, a kapitan pogodził się z myślą, że pozostaną na tej planecie (na całe życie? na zawsze? dla mnie w każdym razie na zawsze), w jego życiu liczyło się już tylko jedno, zadanie, które nadawało sens jego egzystencji i rozpałało iskierkę optymizmu w przepelniającej go rozpacz.

Moray może stworzyć społeczeństwo, które zwiąże ich z tą glebą, by jak świnie ryli ją w poszukiwaniu pożywienia. To było zadanie Moraya. Może nawet stworzenie silnego społeczeństwa, które może zapewnić przetrwanie rasy, było w tym momencie niezbędne, ale samo przetrwanie nie miało najmniejszego sensu. Kapitan czuł, że powinien dokonać czegoś więcej. Czegoś, co kiedyś uniesie ich dzieci w stronę gwiazd. Miał komputer, odpowiednio wyszkoloną załogę i lata nauki za sobą. Przez ostatnie trzy miesiące systematycznie, krok po kroku, kawałek po kawałku wynosił ze statku najmniejsze nawet urządzenia, które mu niegdyś służyły. Przy pomocy Camilli i trzech innych techników zaprogramował w nie całą swoją wiedzę. Wczytał wszystkie książki z biblioteki. Od astronomii po zoologię, od medycyny po technikę elektronową. Przeprowadzał tu, jednego po drugim, wszystkich techników i inżynierów ze statku, pomagając im przenieść całą posiadaną wiedzę do komputera. Nie było rzeczy zbyt błahej, aby ją wprowadzać: od naprawy syntetyzera żywności po wszywanie suwaków.

Z tryumfem pomyślał: Oto cała technologia, cała spuścizna, przechowana dla przyszłych pokoleń. Może nie nastąpi to za mojego życia, nie za życia Moraya, może nawet nie za życia naszych dzieci, ale kiedy uporamy się z drobnymi zmaganiem, byle przeżyć z dnia na dzień, cała spuścizna, cała wiedza będzie już na miejscu. Dla szpitala – jak wyleczyć guza mózgu dla kuchni, jaką polewą pokrywać garnki. A kiedy w strukturalnym społeczeństwie Moraya pojawią się problemy, a pojawią się na pewno, także i na nie znajdą tutaj odpowiedź. Cała historia świata, z którego przybyliśmy, pozwoli nam ominąć ślepe zaułki i od razu przejść do technologii, która pewnego dnia wzniesie nas znowu ku gwiazdom i pozwoli powrócić do wielkiego świata cywilizowanych ludzi, nie jako ludzkość pełzająca w tę i z powrotem po jednej planecie, ale jak drzewo, sięgające swymi konarami od świata do świata, od galaktyki do galaktyki.

Wszyscy możemy zginąć, ale to, co czyni z nas ludzi, przetrwa – w całości – i powróci któregoś dnia. Któregoś dnia sami po to przyjdziemy.

Leżał w kopule, która stała się całym jego światem, wsłuchując się w śpiew dochodzący ze świetlicy New Skye. Nagle przemknęło mu przez myśl, że może powinien wstać, ubrać się, pójść tam, dołączyć do innych. Oni także mają coś, co chcą zachować. Pomyślał o ślicznej, rudowłosej dziewczynie, którą znał tak krótko, a która ku jego wielkiemu zdumieniu, nosiła w łonie jego dziecko. Ucieszyłaby się na

jego widok. Ma w końcu pewne zobowiązania wobec niej – nawet jeśli splodził to dziecko w stanie półprzytomności, jak zwierzę w rui. Skrzywił się na tę myśl. Dziewczyna była niezmiernie miła i wyrozumiała. Był jej coś winien, jakąś uprzejmość za to, że ją wykorzystał i zapomniał. Jakże brzmiało jej dziwne, śliczne imię? Fiona? Chyba gaelickie. Wstał z pryczy, gorączkowo szukając ubrania, i nagle się zawahał. Stanął u wejścia, spoglądając w jasne, czyste niebo. Księżyc weszły już i na wschodzie pojawiła się pierwsza blada luna – fałszywy świt, tęczowa gra światła, która jak przypuszczał, była odbiciem promieni słonecznych od odległego lodowca. Lodowca, którego nigdy ani nie widział, ani już nie zobaczy. Nie dbał o to.

Wciągnął w nozdrza wiatr. Poczuł, jak chłodne powietrze wypełnia mu płuca i nagle ogarnęło go dziwne, okrutne podejrzenie – ostatnio zniszczyli statek, teraz zechcą zapewne zniszczyć jego i jego dzieło. Zatrzasnął drzwi i założył kłódkę, którą dostał od Moraya. Tym razem nikt nie zbliży się do komputera, nawet ci, którym ufał. Nawet Patrick. Nawet Camilla.

–Leż spokojnie, kochana. Patrz, księżyc już weszły, wkrótce nadejdzie świt – wymruczał Rafe. – Jak ciepło jest pod gwiazdami, w tym Wietrze. Dlaczego płaczesz,

Camillo?

Uśmiechnęła się w ciemności.

–Nie płaczę – szepnęła czule. – Myślę tylko, że pewnego dnia znajdziemy ocean... i wyspy... dla pieśni, które dzisiaj usłyszeliśmy, i dla naszych dzieci, by je tam zaśpiewały.

–Czyżbyś zaczęła kochać ten świat, tak jak ja go kocham, Camillo?

–Kochać? Nie wiem – odparła spokojnie. – Ale to nasz świat. Nie musimy go kochać, musimy tylko nauczyć się na nim żyć. I to nie na naszych, lecz na jego warunkach.

Umysł Ziemiaków na terenie całej Bazy ogarnęło szaleństwo, niewytłumaczalna radość lub lęk. Kobiety bez powodu płakały lub wybuchały śmiechem z radości, której nie potrafiły wyjaśnić. Ojciec Valentine, uśpiony w swej samotni, zbudził się i cicho zszedł z góry. Nie zauważony wszedł do świetlicy New Skye i zmieszał się z ludźmi w pełnej miłości i akceptacji. Kiedy Wiatr uspokoi się, wróci do swego odosobnienia, ale już nigdy nie będzie całkiem samotny.

Heather i Ewen pełniący akurat dyżur w szpitalu obserwowali wschód słońca na

bezchmurnym niebie. Spłeceni ramionami w ekstazie chłonęli widok nieba (tysiące rubinowych iskrzeń, jarząca się fala światła przepędzająca mrok), dopóki nie wyrwał ich z tego stanu krzyk – przerażający, przepełniony grozą krzyk cierpienia i strachu.

Jakaś dziewczyna zerwała się z łóżka i biegła ku nim, oszalała od nagłego bólu i widoku chlustającej krwi. Ewen uniósł ją w ramiona i ułożył, przywołując na pomoc całą swą siłę i spokój (możesz to opanować! walcz! próbuj!), ale zatrzymał się w pół gestu, zmrożony tym, co ujrział w jej oczach. Heather dotknęła go współczująco.

–Nie – rzekła. – Nie ma sensu próbować.

–O Boże, Heather, nie mogę tak, nie tak!... Ja tego nie zniosę... Oczy dziewczyny rozszerzone były strachem.

–Nie możecie mi pomóc? – błagała. – Pomóżcie mi, och, pomóżcie... Heather uklękła i wzięła ją w ramiona.

–Nie, kochanie – szepnęła łagodnie. – Nie możemy ci pomóc, musisz umrzeć. Nie bój się, Lauro, kochanie, to stanie się bardzo szybko, a my będziemy przy tobie. Nie płacz, kochanie, nie płacz. Nie ma się czego bać.

Mocno obejmowała dziewczynę, szepcząc jej słowa pociechy i wsparcia, próbując uspokoić, dopóki ta – cicha już i słaba – nie złożyła głowy na jej ramieniu. Teraz obejmowali ją oboje, płacząc wraz z nią do chwili, gdy przestała oddychać. Wówczas delikatnie złożyli ją na łóżku i okryli prześcieradłem, a sami trzymając się za ręce, pogrążeni w smutku, wyszli na światło wstającego dnia i oplakiwali zmarłą.

Kapitan Harry Leicester popatrzył na wschodzące słońce, potem przetarł zmęczone oczy. Nie odrywał wzroku od konsoli komputera, czuwając nad tym, co dawało jedyną nadzieję ocalenia tego świata od barbarzyństwa. Raz, tuż przed świtem, wydawało mu się, że słyszy głos Camilli, wzywający go od drzwi, ale na pewno było to tylko złudzenie. (Kiedyś dzieliła z nim jego marzenia. Co się z nią stało?)

Teraz, w przedziwnym półśnie, półtransie, oglądał oczami swego umysłu cały korowód niezwykłych stworzeń, nie całkiem ludzi, unoszonych w czerwone niebo planety przez statki międzygwiazdne i powracających po stuleciach. (Czego szukali na światach poza granicą gwiazd? Dlaczego nic nie znaleźli?) Czy kruczata może być nieskończona, czy może zakreślić pełny krąg i powrócić do miejsca swego początku?

Ale przecież my mamy coś, na czym będziemy budować historię świata.

Nie tego świata. Innego.

Czy rozwiązania z innego świata będą pasować do zagadnień postawionych na tym świecie?

Gniewnie upomniał samego siebie, że wiedza jest wiedzą, że wiedza jest siłą i może ich ocalić...

... lub zniszczyć. Po długiej walce o przetrwanie, czyż nie będą szukać starych rozwiązań, gotowych, choć pochodzących z przeszłości, czy nie spróbują odtworzyć burzliwej historii Ziemi, tu, w świecie, gdzie łańcuch życia jest jeszcze bardziej nietrwały? Przypuśćmy, że pewnego dnia uwierzą, iż w komputerze zawarte są odpowiedzi na wszystkie pytania?

A czy nie są?

Zerwał się i podszedł do drzwi kopuły. Pod dotknięciem jego dłoni rozwarły się na całą szerokość okiennice mające chronić przed przenikliwym zimnem. Obserwował obce słońce. Nie moje. Ich. Pewnego dnia odkryją jego tajemnice.

Dzięki mnie. Dzięki mojej samotnej walce o przekazanie im całej spuścizny prawdziwej wiedzy, całej technologii, która zabierze ich z powrotem do gwiazd.

Głęboko zaczerpnął tchu i zasłuchał się w odgłosy tego świata. Wiatr w gałęziach drzew i lasach, szmer strumieni, zwierzęta i ptaki żyjące własnym sekretnym życiem w głębi puszczy, nieznanymi kosmici, których kiedyś ujrzą jego potomkowie...

I nie będą barbarzyńcami. Będą wiedzieć. Jeśli skusi ich jakaś ślepa uliczka wiedzy, będzie na nich czekała gotowa odpowiedź. Gotowa – jeszcze nim pytanie zostanie zadane, gotowa, dająca rozwiązanie.

Dlaczego w jego głowie rozbrzmiewa głos Camilli? „To powinno cię przekonać, że komputer nie jest Bogiem. „

Czy prawda nie jest kształtem Boga? Gorączkowo pytał siebie i Wszechświat. Poznasz prawdę i prawda uczyni cię wolnym...

Lub niewolnikiem? Czy jedna prawda może ukrywać inną?

I nagle pojawiła się przerażająca wizja. Jego myśli uwolniły się z pęt czasu i pomknęły w przyszłość, która drżąca rozpościerała się teraz u jego stóp. Ludzie nauczeni przychodzić tu po wszystkie rozwiązania, tu, do grobowca, który kryje odpowiedź na każde pytanie. Świat, w którym żaden problem nie pozostaje otwarty, ponieważ zna już wszystkie rozwiązania i nie ma miejsca na poszukiwania innych.

Barbarzyński świat, czczący komputer jak Boga.

Bóg. Bóg. Bóg.

I to on tworzy tego Boga.

Boże! Czyżbym oszalał?

I przyszła odpowiedź. Zimna i jasna: od katastrofy statku byłem szalony a teraz ozdrowiałem. Moray ma rację, miał ją przez cały czas. Rozwiązania z innego świata nie mogą być wykorzystane tutaj. Ta technologia, ta nauka, są tylko technologią i nauką Ziemi i jeśli spróbujemy przenieść je tu w całości, zniszczymy tę planetę. Pewnego dnia, może nie tak prędko, jakbym sobie tego życzył, ale według ich własnych możliwości stworzą technologię głęboko zakorzenioną w tej glebie, w kamieniach, słońcu, zasobach tego świata. Może i ona uniesie ich ku gwiazdom, jeśli zechcą tam wyruszyć. Może przeniesie ich w czasie lub w głąb ich własnych serc. Ale będzie należała do nich, nie do mnie. Nie jestem Bogiem. Nie mogę stworzyć świata na mój obraz i podobieństwo.

Zgromadził w tej kopule wszystkie materiały i urządzenia z mostku statku. Teraz już uspokojony odwrócił się i zaczął konstruować to, co było mu potrzebne. W głowie dzwoniły mu słowa starej pieśni z innego świata.

Świat kręci się bez końca, bez końca wiruje słońce

I droga nie ma końca;

Powracam więc do mego własnego początku.

By tu odnaleźć spokój.

Spokojną dłonią zapalił świecę żywiczną i z pełnym rozmysłem podpalił długi lont. Camilla i MacAran usłyszeli eksplozję i pobiegli w stronę kopuły po to tylko, by ujrzeć, jak strzela ku niebu w deszczu gruzu i rozpada się w płomieniach.

Harry Leicester mocował się z kłódką. Nagle dotarło doń, że tym razem nie zdoła się wydostać. Tym razem mu się nie uda. Ranny chwiał się na nogach, ale umysł jego był radośnie przytomny. Spojrzał na ruiny. Daję wam czysty początek, pomyślał nieco niepewnie. Może jednak rzeczywiście jestem Bogiem, tym, który wygnał Adama i Ewę z raju, przestał im podpowiadać wszystkie rozwiązania i pozwolił dorosnąć... bez kół ratunkowych, bez poduszek, pozwolił znaleźć własną drogę, umrzeć lub żyć...

Nie dotarło do niego, że ktoś wyłamał drzwi, podniósł go ostrożnie, ale jego umierający umysł zarejestrował delikatny dotyk Camilli. Kapitan otworzył oczy, by spojrzeć w błękitne, współczujące źrenice.

–Jestem bardzo starym, zakochanym głupcem – wyszeptał zmieszany.

Jej łzy kapały mu na policzki.

–Nie próbuj mówić. Wiem, dlaczego to zrobiłeś. Chcieliśmy to zrobić razem, pamiętasz? A potem... och, kapitanie, kapitanie...

Przymknął oczy.

–Kapitanie czego? – szepnął i z ostatnim tchnieniem dorzucił: – Nie można posłać kapitana na emeryturę. Trzeba go zastrzelić... i ja go zastrzeliłem...

I czerwone słońce zgasło na zawsze, rozpadając się w nieskończone, promieniste galaktyki światła.

EPILOG

Nawet wsporniki statku zniknęły, przeniesione do starannie strzeżonych składów metalu. Na tym świecie górnictwo zawsze będzie znikome, a metalu brakować będzie jeszcze przez wiele, wiele lat. Camilla z przyzwyczajenia obrzuciła wzrokiem to miejsce, ale nic więcej – powędrowała dalej w głąb doliny. Szła lekkim krokiem wysmukła kobieta o włosach ledwie tkniętych siwizną podążając za podświadomym wezwaniem. Kątem oka dostrzegła wysoki kamienny pomnik ofiar katastrofy, cmentarz, na którym tuż obok zabitych w katastrofie i w czasie Wiatrów przynoszących obłęd spoczywały też wszystkie ofiary pierwszej, straszliwej zimy. Ciaśniej otuliła się futrzanym płaszczem, spoglądając na jeden z zielonych pagórków z żalem tak zadawnionym, że nawet nie budził już smutku.

MacAran, który górską drogą schodził do doliny, zobaczył ją i uniósł dłoń na powitanie. Nawet teraz, po tylu latach serce biło mu mocniej na jej widok. Kiedy stanęli naprzeciw siebie, ujął jej obie dłonie i zanim przemówił trzymał przez chwilę.

–Dzieci czują się dobrze – odparła. – Dziś rano byłam u Mhari. I nie pytając mogę powiedzieć, że miałeś dobrą podróż. Widać to po tobie.

Trzymając się za ręce szli obok siebie uliczkami New Skye. Ich domostwo znajdowało się na samym końcu ulicy, skąd widać było wysoki Szczyt Wschodni i co ranka wstające spoza niego, spowite w chmurę, czerwone słońce. Z drugiej strony znajdował się mały budynek, stacja meteorologiczna – specjalna działka Camilli.

Weszli do głównego pomieszczenia domu, który dzielili z sześcioma innymi rodzinami. MacAran zdjął futrzaną kurtkę i podszedł do ognia. Jak większość mężczyzn w kolonii, którzy nie nosili kiltów, miał na sobie skórzane spodnie i tunikę z wełnianego tartanu.

–Czy wszyscy wyszli?

–Ewen jest w szpitalu, Judy w szkole, Mac poszedł z wypasem – odpowiedziała. – Ale jeśli tak pilno ci zobaczyć dzieci, to wszystkie są w szkole, z wyjątkiem Alastaira, który został dziś z Heather.

MacAran podszedł do okna i spojrzął na spiczasty dach szkoły. Jak szybko wyrosły, pomyślał, jak lekkim brzemieniem czternaście lat rodzenia dzieci spoczywa na barkach ich matki. Siódemka, która przeżyła straszną plagę głodu, jaka ich dotknęła pięć lat temu, rosła jak na drożdżach. Zahartowały ich burzliwe początki tej cywilizacji, a choć Camilla miała dzieci również z Ewenem, Lewisem MacLeodem oraz jeszcze z kimś, kogo nazwiska nawet nie znał i jak przypuszczał, ona nie znała go także, dwoje najstarszych i dwoje najmłodszych zostało splodzonych przez niego.

Najmłodsza, Mhari, nie mieszkała z nimi. Trzy dni przed jej urodzeniem Heather straciła dziecko i Camilla, której nigdy nie zależało na karmieniu własnych dzieci, jeśli mogła to robić mamka, oddała ją Heather na wykarmienie. Kiedy zaś ta ociągała się ze zwróceniem dziewczynki po odstawieniu od piersi, Camilla zgodziła się oddać jej małą na wychowanie, choć odwiedzała ją prawie codziennie. Heather nie miała szczęścia: urodziła siedmioro dzieci, z których jedno tylko żyło dłużej niż miesiąc. W tym społeczeństwie więzy opiekuńcze były silniejsze od rodzinnych, matką dziecka była kobieta, która się nim opiekowała, ojcem – mężczyzna, który je uczył. MacAran miał dzieci z trzema innymi kobietami i kochał je wszystkie jednakowo, ale najbardziej darzył uczuciem dziwną córkę Judy – Lori, która mając czternaście lat była już wyższa od matki, a mimo to niezwykle dziecinna. Połowa osady nazywała ją odmieńcem, a o jej ojcu wiedzieli tylko nieliczni.

–Chyba nieprędko znów wyjedziesz? – zapytała Camilla.

Objął ją ramieniem.

–Najpierw przez kilka dni posiedzę w domu, a potem... ruszamy na poszukiwanie morza. Gdzieś na tej planecie musi przecież być jakieś morze. Najpierw jednak... mam

coś dla ciebie. Kilka dni temu badaliśmy jaskinię i znaleźliśmy je w skale. Wiem, że błyskotki nie przyniosą nam wiele pożytku i wydobywanie ich jest stratą czasu, ale te

bardzo się spodobały i mnie, i Alastairowi. Przywieźliśmy więc kilka dla ciebie i dziewczynek. Mam w związku z nimi jakieś dziwne przeczucie.

Wyjął z kieszeni garść niebieskich kamieni i przesypał je w stulone dłonie Camilli, obserwując zaskoczenie i radość w jej oczach. W tym momencie wbiegły dzieci i

MacAran wpadł nagle w deszcz dziecięcych pocałunków, uścisków, pytań i żądań.

–Tato, czy mogę następnym razem iść z tobą w góry? Harry chodzi, a ma tylko czternaście lat!

–Tato, Alanna zabrała mi ciasteczka, powiedz jej, żeby oddała!

–Tatku, tatku, patrz, popatrz tu, jak się wspinam!

Camilla jak zwykle zignorowała harmider i jednym gestem nakazała spokój.

–Po kolei, po kolei. O co chodzi, Lori?

Srebrzystowłosa dziewczynka o szarych oczach wzięła do ręki jeden z błękitnych klejnotów, uważnie spoglądając w gwiaździste wzory migoczące w jego wnętrzu.

–Moja mama ma taki sam. Czy mogę wziąć jeden? Myślę, że może będę umiała używać go tak jak ona.

–Możesz – zgodził się MacAran, spoglądając na Camillę ponad głową dziecka.

Pewnego dnia, kiedy sama Lori zechce tego, dowiedzą się, co miała na myśli, ich dziwna pasierbica nigdy nie robiła niczego bez powodu.

–Wiesz – mruknęła Camilla – mam przeczucie, że któregoś dnia te kamienie staną się dla nas bardzo, bardzo ważne.

MacAran przytaknął. Jej intuicja nie zawiodła tyle już razy, że zaczął w nią święcie wierzyć. Mogą przecież poczekać na spełnienie przepowiedni. Podszedł do okna i spojrzał na wysoką, znajomą linię gór na horyzoncie, marząc o znajdujących się poza nimi równinach, wzgórzach i nieznanym morzach. Jasnoblękitny księżyc, podobny do kamienia, w który wciąż wpatrywała się Lori, wzeszedł i spokojnie popłynął ponad skrajem chmury otaczającej górę. Zaczął padać delikatny, drobny deszczyk.

–Mam nadzieję – odezwał się nagle – że pewnego dnia ktoś nada tym księżycom... i tej planecie... jakieś imię.

–Może kiedyś – odrzekła Camilla. – Ale tego nigdy się nie dowiemy.

W sto lat później nazwano tę planetę DARKOVEREM. Ale Ziemia nie miała pojęcia o jej istnieniu jeszcze przez najbliższe dwa tysiące lat...

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-17

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/